

KONKRETY

nr 51
52

WESOŁYCH



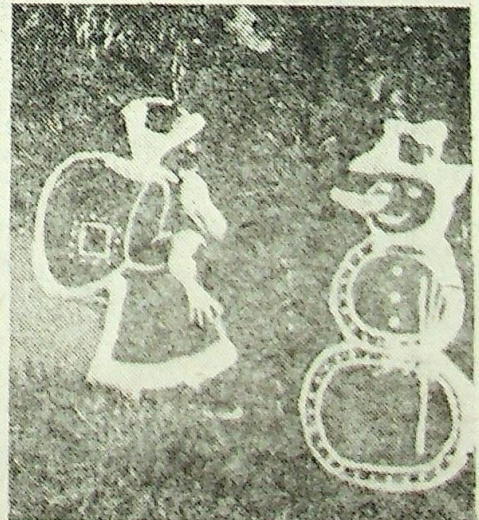
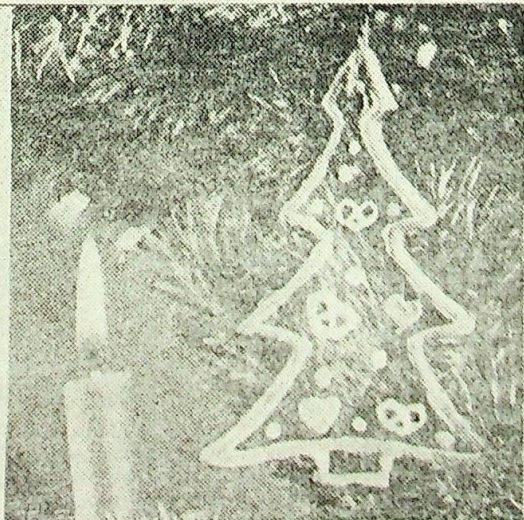
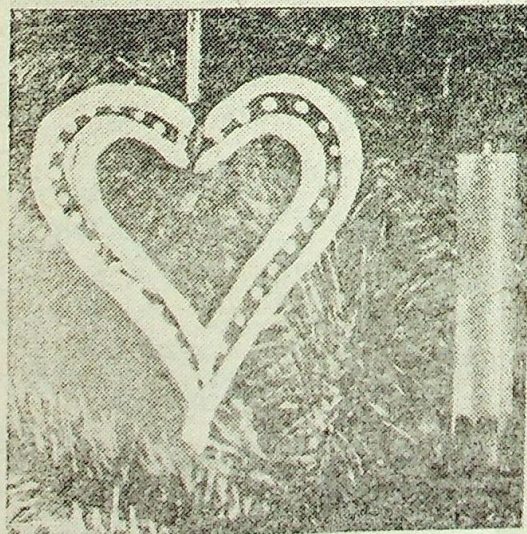
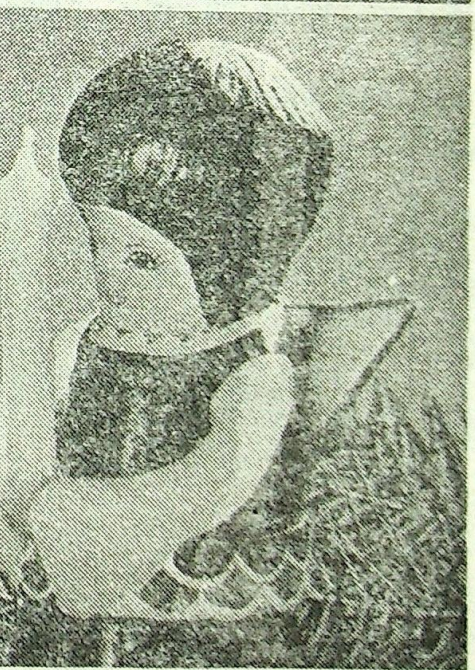
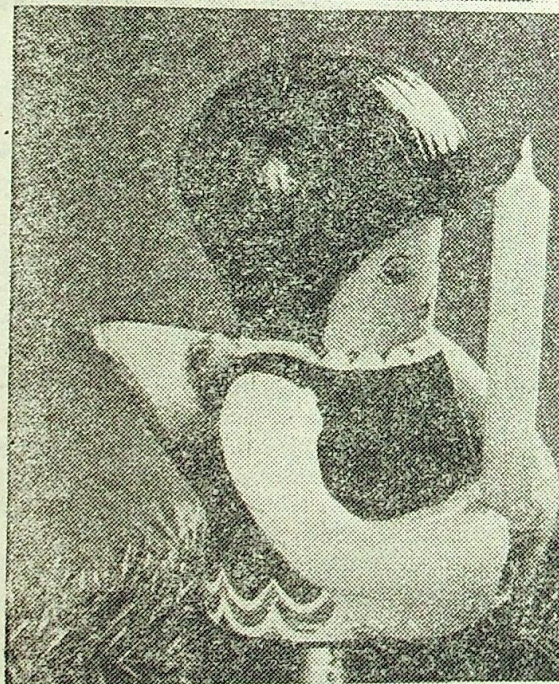
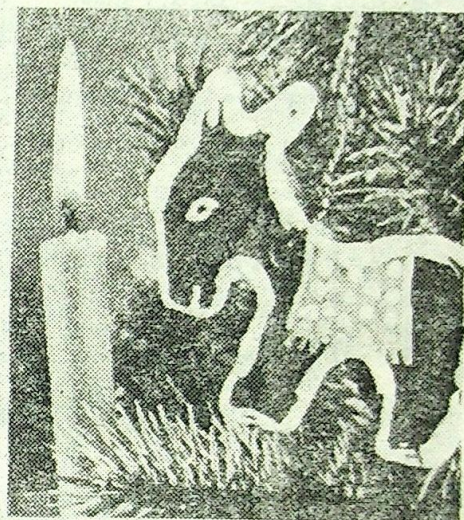
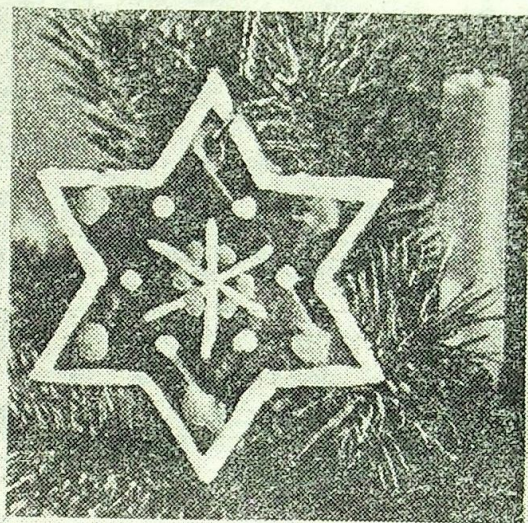
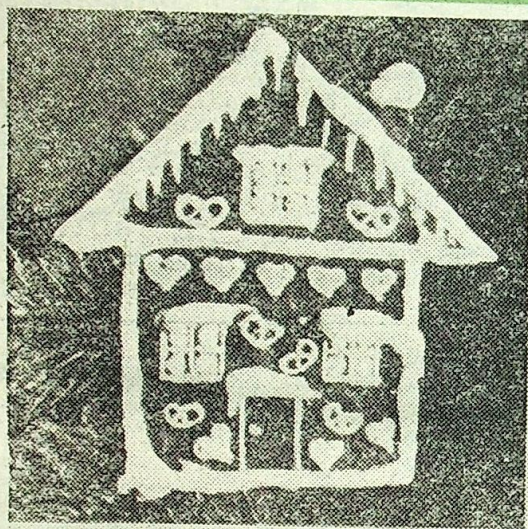
ŚWIĄT!



DOBREGO



1981 ROKU!



● **REALIZACJA ZADAŃ SPOŁECZNO-GOSPODARCZYCH** oraz przewidywane wykonanie planów do końca grudnia br. było 15 bm. tematem obrad Egzekutywy KW PZPR w Legnicy. Posiedzeniu przewodniczył I sekretarz KW tow. Ryszard Romaniewicz. Sytuacja gospodarcza województwa jest bardzo trudna; podobnie jak w całym kraju działają tu niekorzystnie braki materiałowe i narzędziowe. Członkowie Egzekutywy zwrócili się do załóg produkujących artykuły rynkowe, zwłaszcza spożywcze, aby wykorzystać wszelkie możliwości zwiększenia produkcji. Negatywnie oceniono nierozważność niektórych właścicieli gospodarstw rolnych, którzy nie wykorzystali możliwości terminowego zbioru płodów. Egzekutywa zaleciła wyciągnięcie surowych konsekwencji wobec winnych, zwłaszcza, że decyzją wojewody legnickiego zapewniono nie nadążającym gospodarstwom wszelką pomoc. Zdecydowano, iż plan gospodarczo-społeczny województwa na rok 1981 zostanie najpierw rozpatrzony w komisjach problemowych KW PZPR, a potem ponownie trafi pod obrady Egzekutywy.

● **SPRAWY ORGANIZACYJNE** były zasadniczym tematem plenum KM PZPR w Lubinie, które obradowało 12 bm. Uczestniczył w nim I sekretarz KW tow. Ryszard Romaniewicz. W związku z rezygnacją dotychczasowego I sekretarza KM tow. Antoniego Malika, plenum powierzyło tę funkcję Piotrowi Czai.

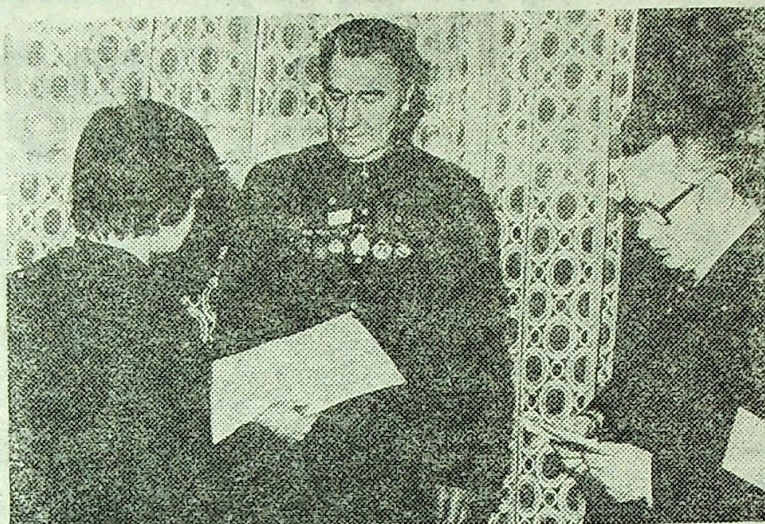
● **Z OKAZJI 32 ROCZNICY KONGRESU ZJEDNOCZENIOWEGO POLSKIEGO RUCHU ROBOTNICZEGO KG PZPR, ZG ZSMP i GH ZHP** w Kotli zorganizowały 15 bm. uroczyste spotkanie z 32 weteranami ruchu robotniczego, byłymi członkami PPR i zasłużonymi działaczami PZPR. Odznaki „Za Zasługi dla Województwa Legnickiego” otrzymało pięć osób: Jan Malcher, Emil Proszek, Józef Relich, Stanisław Stępień i Aleksandra Stojek. W czasie uroczystości weterani dzielili się swymi wrażeniami, doświadczeniami w pracy partyjnej. Zuchy, harcerze i ZSMP-owcy złożyli życzenia i wręczyli zebranim wiązanki kwiatów.

● **ZADANIOM KOMBATANTÓW** po VII Plenum KC PZPR poświęcone było 12 bm. nadzwyczajne posiedzenie plenarne ZW ZBoWiD w Legnicy. Referat programowy wygłosił wiceprezes zarządu Walerian Waszak. W odezwie kombatan ci zaapelowali o poparcie przedsięwzięć partii, Sejmu i rządu PRL rzetelną, wydajną pracę. Obecny na plenum wojewoda legnicki Zdzisław Barczewski poinformował o sytuacji społeczno-gospodarczej zagłębia miedziowego. Plenum przyjęło rezygnację Jana Binka z funkcji prezesa ZW ZBoWiD. Nowym szefem wojewódzkiej organizacji kombatanckiej został dotychczasowy wiceprezes Mieczysław Janczewski.

● **SESJA MIEJSKIEJ RADY NARODOWEJ W LEGNICY** obradowała 12 bm. nad funkcjonowaniem kontroli wewnętrznej w legnickich zakładach pracy, a także nad sprawami organizacyjnymi. W związku z powołaniem Edwarda Nira na stanowisko wicewojewody legnickiego — dokonano wyboru nowego przewodniczącego rady. Został nim Michał Domagała, dotychczasowy przewodniczący Komisji Rozwoju Gospodarczego MRN, długoletni radny, członek PZPR, główny specjalista do spraw socjalno-bytowych Legnickiego Kombinatu Rolnego.

● **JUŻ 15 GRUDNIA 1980 R. WYKONAŁA ROCZNY PLAN** legnicka spółdzielnia „Legspin”. Wartość wykonanej produkcji — 176 mln zł. Do końca roku spółdzielnia wyprodukuje jeszcze artykuły za 7 mln zł, w tym sprzedaż na rynek — ponad 3 mln zł. W sferze usług dla ludności „Legspin” wypracuje jeszcze 200 tys. zł.

Sytuacja społeczno-gospodarcza regionu oraz zadania środków masowego przekazu po VII Plenum KC były 12 bm. zasadniczymi tematami spotkania I sekretarza KW PZPR w Legnicy tow. Ryszarda Romaniewicza z pracującymi w Legnickim dziennikarzami.
Fot. Krzysztof Raczkowiak

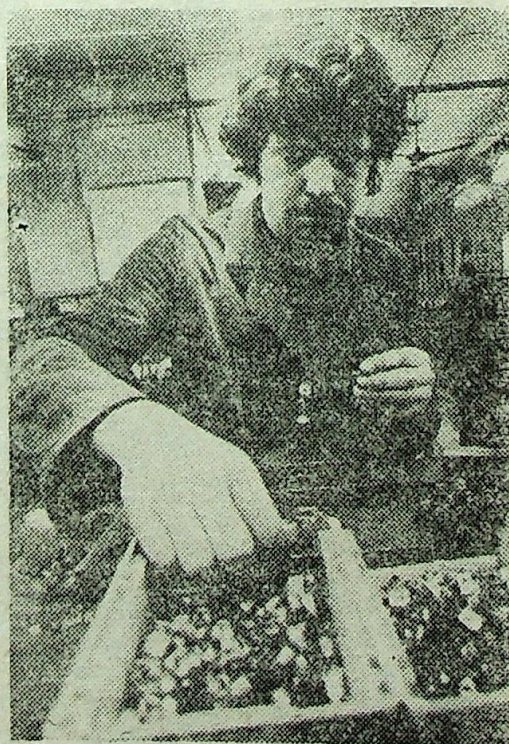
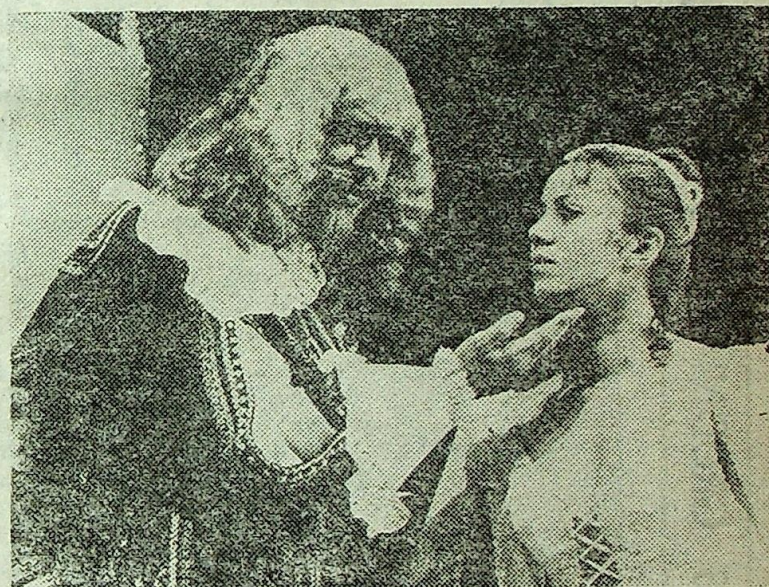


12 bm. w klubie NOT w Lubinie odbyło się uroczyste wręczenie nagród i oficjalne zakończenie VIII Plebiscytu na Najpopularniejszego Górnika Zagłębia Miedziowego organizowanego przez Rozgłosnię Polskiego Radia we Wrocławiu, związki zawodowe działające w KGHM oraz redakcję tygodnika „Konkrety”. Największa liczba czytelników głosowała na STANISŁAWA SEKULĘ, sztygara zmianowego ZG POLKOWICE. Drugie miejsce zajął Jan Jonis z PBK „Częstochowa”, a trzecie — Eugeniusz Pisarski z PBK „Bytom”. Nagrody wręczyli: dyrektor naczelny KGHM Włodzimierz Woźniczko i redaktor naczelny „Konkretów” — Maria Samborska.

Fot. Waldemar Sikorski

„ISKRA WE MGLE” — to tytuł najnowszej propozycji legnickiego Teatru Dramatycznego. Sztukę napisał i reżyserował Stanisław Janicki, scenografię opracowała Jadwiga Wiesiołowska. Premiera odbyła się 12 bm. Na zdjęciu: Danuta Kołaczek i Janusz Sykutera.

Fot. Waldemar Sikorski

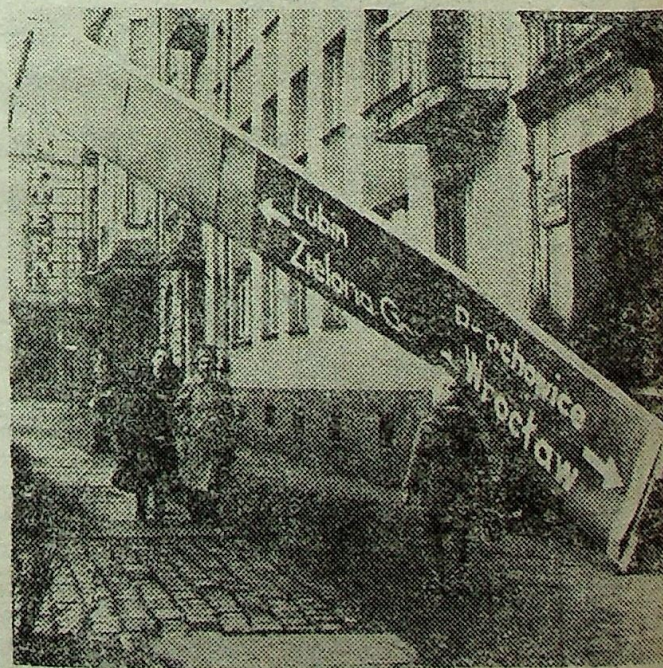


Spółdzielnia Inwalidów „Inprodus” w Jaworze specjalizuje się w produkcji elektrotechnicznej. Za rozwój produkcji eksportowej spółdzielnia otrzymała pierwsze miejsce w kraju w konkursie aktywizującym eksport Inofex. Na zdjęciu: Ryszard Gulik na wydziale pracy chronionej.

Fot. Waldemar Sikorski

Nieostrożność kierowcy samochodu ciężarowego nr rej. XV 26 16 była przyczyną groźnego zważenia znaku bramowego na ulicy Złotoryjskiej. Kierowca przewożący koparkę nawet się nie zatrzymał.

Fot. Waldemar Sikorski



UWAGA CZYTELNICY!
NASTĘPNY NUMER „KONKRETÓW”
UKAŻE SIĘ 2 STYCZNIA 1981 ROKU

Oczy świata od czterech miesięcy wpatrzone są w Polskę. Jesteśmy tematem gigantycznego serialu prasowego, radiowego i telewizyjnego, prezentowanego dzień w dzień na czołówkach programu. Byłoby nam z pewnością łatwiej rozwiązywać swoje problemy, gdyby tego napiętego zainteresowania w opinii międzynarodowej było mniej, a powody, które każą jej rozważać każde nasze wydarzenie, nie miały tak dramatycznego charakteru. Realia są jednak inne, przeto wszystko, co się u nas ostatnio robi, mówi i pisze, nie jest i nie może być tylko naszą i tylko wewnętrzną sprawą.

JAK CZYTAĆ, JAK ROZUMIEĆ?

W dniach ostatnich uwagę świata przykuwa ze szczególnym natężeniem to, co dzieje się w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Powodów po temu jest kilka, dwa z nich jednak zdają się wybić zdecydowanie na czoło.

Pierwszy określa — i w świecie i w naszym kraju — szeroko ugruntowane przekonanie, że w istniejących w Polsce warunkach ustrojowych wyprowadzić kraj z obecnego zamętu społecznego i destabilizacji gospodarczej może tylko ta siła polityczna, którą dążenia polskiego świata pracy do socjalizmu obarczyły obowiązkiem przewodzenia na tej trudnej drodze i na którą z tej racji spada dzisiaj pełna odpowiedzialność zarówno za przyczyny kryzysu, jak i skonstruowanie programu wyjścia z niego ku nowym, otwierającym się przed nami horyzontom. Drugi powód wypływa ze świadomości, że przeobrażenia w partii, ich treść, charakter i konsekwencje kadrowe, są kluczem otwierającym całemu społeczeństwu perspektywę uruchomienia nie wykorzystywanego dotąd w pełni, a ostatnio wręcz ignorowanego, potencjału energii obywatelskiej i możliwości intelektualnych, a także jego dorobku materialnego i narzędzi technicznych — dla dzieła, które zwykło się u nas nazywać odnową.

Wyda się, że tylko z tak wysoko umieszczonego punktu obserwacyjnego i przy użyciu tak pryncypialnych kryteriów oceny można prawidłowo odczytać myśli, postanowienia oraz postępy zmian — określonych na VII Plenum KC PZPR. Najpierw bowiem rzuca się nam w tych materiałach w oczy cała mnogość spraw dozażnych, związanych bezpośrednio z gwałtownie napierającą lawiną wydarzeń spowodowanych przez kryzys. Wywołują one wprawdzie — i to jest naturalne — najostrejsze dolegliwości, a więc oddziałują najmocniej na psychikę społeczeństwa i domagają się najszybszych rozwiązań. Mimo to pozostają przecież tylko powierzchnią zjawiska i to postrzegana z lokalnego obserwatorium. Jeśli sięgnąć głębiej i — jako się rzekło — ogarnąć teraźniejszą panoramę polską spojrzeniem globalnym, dopiero wówczas spod zagmatwanego nieśamowicie obrazu wydobędzie się to, co w naszej sytuacji całkowicie nowe, trwałe i nieodwracalne. I co w konsekwencji decy-

duje zarówno o treści i kierunku głębokiej reformy zachodzącej wewnątrz partii, jak i dyktuje tempo zmian składających się w sumie na odzyskiwanie zdolności sprostanania zadaniom historycznym chwili.

Co konkretnie wolno już dziś zaliczyć do rzędu zjawisk trwałych, do dorobku osiągniętego podczas tego dramatycznego egzaminu ze zdolności do przywództwa?

Wyda się, że najpierw należy skierować uwagę na zmianę strategicznej orientacji wychodzącą równocześnie od dołu, od robotniczych, podstawowych ogniw partii, i od góry, od regionalnych i centralnych kręgów aktywu. Obie te tendencje zdają się już mieć za sobą paraliżujące przeżycie szoku spowodowanego wybuchem buntu społecznego i — co ważniejsze obecnie — wykazują prawidłowe zrozumienie płynących stąd nauk. I sekretarz KC PZPR, Stanisław Kania, wyraził na plenum prosto i jasno przewodnie credo partii, mówiąc: „Partia nasza, wszystkie jej organizacje i instancje powinny stanąć na czele procesu socjalistycznej odnowy... Powinna być źródłem inicjatyw w jej kształtowaniu i realizacji, całą swoją siłą wspierać dążenia klasy robotniczej i społeczeństwa dla przywrócenia socjalizmowi wszystkich jego wartości”.

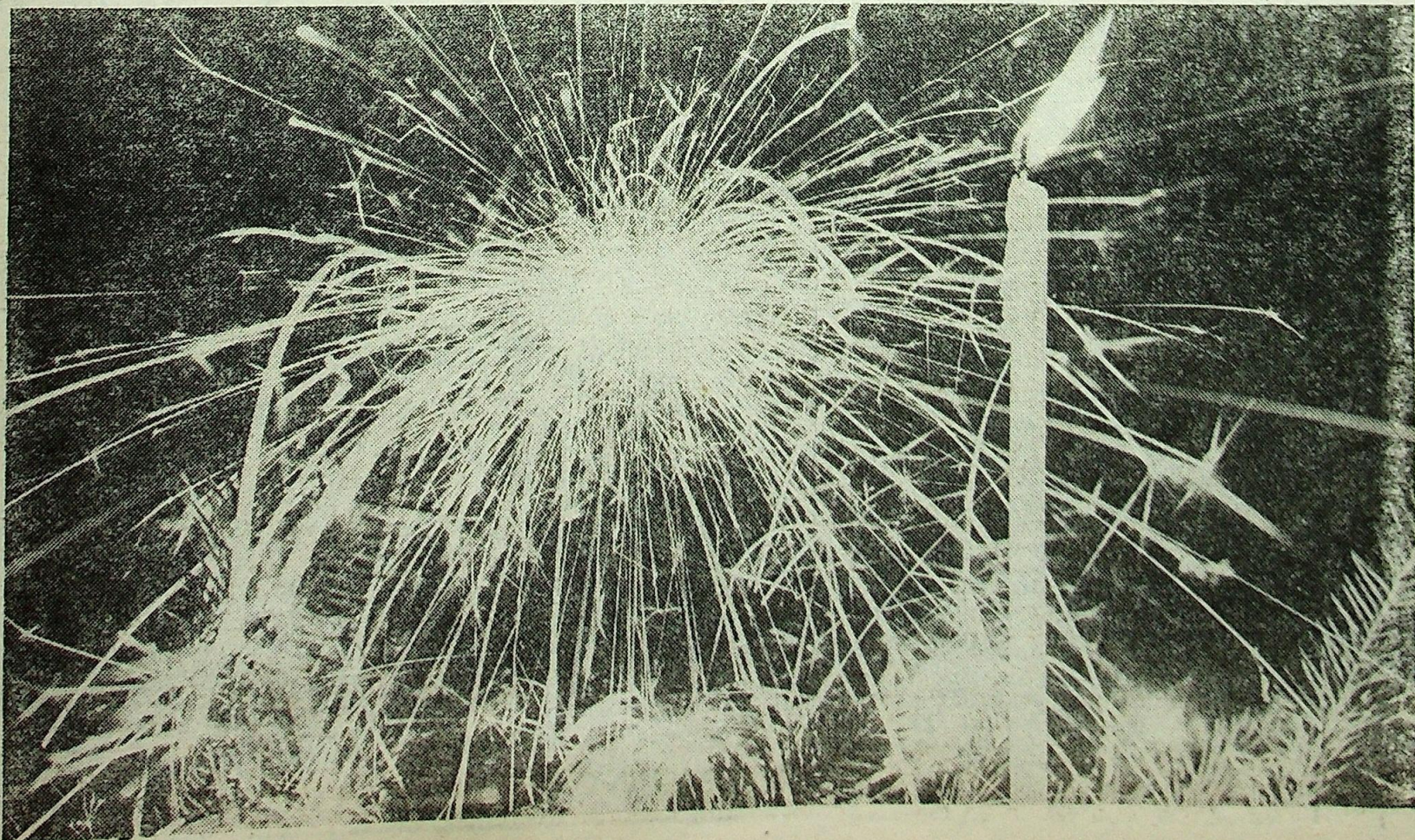
Drugą w hierarchii znaczeń wartość stanowi przyjęcie przez VII Plenum robotniczej koncepcji zrealizowania tego celu przez powołanie do życia możliwie najszerszego sojuszu wszystkich istniejących w narodzie sił rozsądku i odpowiedzialności w pracy nad socjalistyczną odnową, skupionych wokół hasła „program narodu — programem partii”. W tej sferze szczególną rolę ma do odegrania cały ruch związkowy, zarówno w swych dotychczasowych, ale zreformowanych, jak i nowych strukturach — stanowiących łącznie najbardziej pewną, bo z klasy robotniczej wyrastającą, siłę motoryczną przekształceń naszego ustroju a równocześnie — rozstrzygającą gwarancję jego konsekwentnej demokratyzacji oraz zdolności przywracania warunków mobilizowania wszystkich potencjałów twórczych tkwiących w społeczeństwie. A są to możliwości zaiste ogromne, pozwalające mieć pewność, że przy rozumnym i sprawnym kierownictwie oraz w warunkach stabilizacji społecznej przywracającej naszemu życiu ład i dyscyplinę obywatelską — zdolne będą

nie tylko przezwyciężyć obecne załamanie rozwoju Polski, ale nadać jej w przyszłości kierunek i tempo przypominające zryw, z jakim w pierwszych powojennych latach podnosiliśmy kraj z gruzów i wprowadzaliśmy go na drogę nowoczesnego awansu cywilizacyjnego.

Trzecią, najtrudniejszą zapewne w partii sprawą do rozwiązania, jest toczący się z oporami, po niezliczonych wybojach konfliktów i zderzeń interesów, ale w sumie wytrwale i konsekwentnie, proces uwalniania aparatu władzy w partii i państwie — a w konsekwencji całego życia społecznego — od tego wszystkiego, co z różnych stron i różnych powodów usiłuje zahamować odnowę. Nazwijmy to otwarcie: ekspansji sojuszu sił konstruktywnych przeciwstawiają się zbieżne uderzenia skierowane przeciw socjalizmowi, groźne jednak bez względu na cele, którymi się powodują, bo jednak destabilizujące nasze życie, pogłębiające zamęt i utrudniające partii przewodzenie — jak to określił Stanisław Kania — w ogólnonarodowej „pracy nad konsekwentną realizacją socjalistycznej demokracji oraz walce przeciwko rozprężeniu i anarchii”. Dodajmy do tego jego konkluzję: „W sprawach tego typu nie możemy pozwolić sobie na żadne pokaźowanie” i zważmy, że odnosi się ona do wszystkich — tak w ogólnej grze politycznej, jak i w przemianach zachodzących wewnątrz partii — którzy usiłują sparaliżować ruch odnowy i tym samym przekreślić wylaniającą się realnie, bo leżącą w naszych samodzielnymi możliwościach rozwiązania, perspektywę skutecznej naprawy i dalszego rozwoju naszej socjalistycznej ojczyzny.

Czytając wnikliwie materiały VII Plenum można dostrzec, że to jest może dopiero pierwszy, ale rozstrzygający o wszystkim krok na drodze dojrzewania partii do roli przewodnictwa w nowych warunkach. Chciałoby się powiedzieć, że tak właśnie zarysowała się już strategia lat osiemdziesiątych. Ale trzeba pamiętać, w jak straszliwie trudnych warunkach przyjdzie ją realizować. I jak dużo jeszcze trzeba zmienić, oczyścić, przebudować, zwalczyć oporów, żeby tej szansy otwartego dla wszystkich ludzi dobrej woli sojuszu konstrukcji nie zaprzepaścić.

ZBIGNIEW GURKA



URSZULA ZBORUCKA — pracownik klubu „Żuraw” w Lubinie i aktorka teatru lalkowego „Świerszcz”.

— W tym roku ważyło się być lub nie teatru. W czerwcu skończyły się pieniądze. Przekonałam się ile, głównie nerwów, kosztuje klub z ambicjami, bo jak zaczynałyśmy dwa lata temu to tylko chwalono nas i ściskano ręce. Pisano o nas, że jesteśmy teatrem, w którym spektakle powstają w atmosferze zabawy. Prawda. Tylko, że zapomniano, że zatrudniamy profesjonalistów. No, i właśnie w czerwcu zabrakło pieniędzy na honoraria. To znaczy były, tylko nie było konta, z którego można je było brać. Teraz już mamy pieniądze i konto — pierwsze półrocze skończyło się dobrze.

Zrobiliśmy dwa nowe przedstawienia: „Bajki pana Brzechwy” i „O piesku, który był szczotką”. Pierwszy zrobili nam profesjonaliści, drugi — bardzo kameralny, bo grają dwie osoby, zrobiliśmy sami. W ciągu miesiąca — premiera była pod koniec października — daliśmy 15 przedstawień, zawsze przy pełnej sali.

Najpiękniejsze są wyjazdy na wieś. Gramy w małych klubkach „Ruchu”, w świetlicach szkolnych. Sale są przeważnie nie ogrzane, dzieciaki siedzą w paltocikach, gębusie rozdławione — to jest wrzuszające. Idą kilometry z okolicznych wiosek, żeby zobaczyć „prawdziwy” teatr.

Co jeszcze? Mamy już garderobę z prawdziwego zdarzenia, nie przebieramy się jak poprzednio za sceną. Najważniejsze, że wszystko zrobiliśmy sami, tak samo jak z przyniesionych z domu szmatek robimy dekoracje, lalki. To robienie teatru od początku do końca samodzielnie — łącznie z noszeniem dekoracji — powoduje, że to już nie jest tylko teatr, ale styl życia. Mogę spokojnie powiedzieć, że żyjemy teatrem.

ZBIGNIEW SZYMAŃSKI — pełnomocnik zarządu legnickiej Spółdzielni Mieszkaniowej d/s eksploatacji:

— Chyba dla każdego Polaka był to rok bardzo ważny. Dla mnie jednak to już czwarty wielki wstrząs, który przeżywam w Polsce Ludowej. Jestem pewny, że jest to już ostatnie moje tego typu przeżycie. Dostałem właśnie materiały z VII Plenum, przeczytałem dokładnie wszystkie głosy i sądzę, że na pewno nigdy się już takie lato nie powtórzy. Nie może!

Dla spółdzielni ten rok był ostatnim, w którym przejmowaliśmy nowe mieszkania. Teraz wszystkie inwestycje prowadzi już nowo powstała spółdzielnia „Piekary”. Nie oznacza to jednak, że będziemy mieli mniej kłopotów. Wręcz odwrotnie. Dachów ciekących, urwanych rynien, klatek do malowania, i domów do remontowania będzie siłą rzeczy coraz więcej. Nie tylko jednak czas przysparza roboty naszym służbom remontowym. Niestety i w tym roku zaobserwowaliśmy znowu duży brak poszanowania wspólnego naszego spółdzielczego mienia przez mieszkańców. Na okrągło wstawiamy wybijane szyby, zerwane kontakty, zmorą się zapychane zsypy na śmieci.

W minionym roku, co mnie bardzo cieszy, zapadła też ostateczna decyzja — odwołana od lat — budowy klubu osiedlowego. W tej chwili nie ma na osiedlu miejsca, gdzie ludzie mogliby spotkać się, pogadać. O ten klub, jak i w ogóle o usługi na nowych osiedlach przez cały czas walczyły samorządy mieszkańców. I właśnie ten rok, a raczej ostatnie półrocze, daje samorządom, a więc przede wszystkim naszej radzie spółdzielni i komitetowi osiedlowemu nowe możliwości działania. Spółdzielnia zaczęła być bardziej samorządna niż była dotychczas, kiedy rada mogła tylko akceptować pewne narzucone z góry wskaźniki. Poza tym sądzę, że bardzo dużo mogą zdziałać komitety domowe. Najniższe ogniwo samorządowe. Mamy ich 18.

Jeżeli mam podsumować rok, to powiem z czego się cieszyć może w tej chwili najbardziej: Cóż wreszcie spółdzielnia przeniesie się do nowych pomieszczeń na ul. Galileusza. Wreszcie ludzie będą mieli możliwość normalnej pracy, na co tak długo czekali.

JERZY WYŻGA — nauczyciel przedmiotów ekonomicznych w Zespole Szkół Samochodowych w Legnicy.

— W życiu prywatnym nie odnotowałem ważniejszych wydarzeń. Przeżywałem na-

MÓJ ROK 1980

tomiast niepokoję jak każdy Polak. Więcej zarabiam dzięki nadgodzinom — około 10 tys. złotych, a więc o całe 5 tys. więcej. Nie oszczędzałem, kupowałem na bieżąco, dlatego, że jest duża stopa inflacyjna. Jestem ekonomistą...

W szkole na tyle poprawił się klimat, że są widoki na lepszą przyszłość. Mamy „Solidarność” — jestem w zarządzie koła. Mam niewyraźne odczucia co do jutra, aczkolwiek jestem optymistą: musi być dobrze!

Cieszy mnie, że są podejmowane działania, które prowadzą do zwiększenia prestiżu zawodu nauczyciela. Zyczyłbym sobie, żeby poprzez zachętę materialną uatrakcyjnić ten zawód, ściągnąć do niego wartościowych ludzi.

Jako nauczyciel-ekonomista dużo rozmawiam z młodzieżą na temat obecnej sytuacji w kraju. Wyjaśniam im ekonomiczne podłoże kryzysu. Myślę, że większość młodzieży rozumie trudności, w jakie popadł nasz kraj i chce współuczestniczyć w odnowie społeczno-politycznej. Jednak uważam, że uczniowie za mało pracują nad sobą, za mało przejawiają inicjatywy, preferują styl uczenia się „od—do”.

W porównaniu z moim okresem nauki, liberalizm w oświacie poszedł tak daleko, że uczniowie otrzymują świadectwa, za którymi nie zawsze kryje się właściwe przygotowanie do zawodu. Trzeba tę sytuację zmienić, wrócić do poprzednich, zwiększonych wymagań.

ELŻBIETA ADAMCZEWSKA — sprzedawca WPHW w Legnicy.

— Kiedy kończył się rok 1979 miałam jedno marzenie: pojechać na wycieczkę nad Balaton. Niewiele, ale co może chcieć więcej dziewiętnastoletnia dziewczyna. Nic więcej nie planowałam, można więc powiedzieć, że rok mi się udał. Ale miał on też swoje cienie. Chorowałam na serce, leczyłam się, wystawiałam godzinami w kolejkach do specjalistów. Lekarze zalecali mi spokój, a jak się miałam nie denerwować, skoro przybyło mi obowiązków. Pracuję w „Pasmantarii” przy ul. Rosenbergów od 10 rano do 18 wieczorem (wcześniej miałam tylko praktykę) i chodzę dwa razy w tygodniu na zajęcia w Centrum Kształcenia Ustawicznego Ekonomistów w Legnicy. Zajęć niby niewiele, ale kiedy mam się przygotować, jeżeli do domu wracam około dziewiętnastej zmęczona nieustannym staniem na nogach i głowa mi puchnie od sklepowego hałasu. Uczę się więc najczęściej na ostatnią chwilę, zarywam noce, brakuje mi dnia. Denerwuję się, że jeszcze czegoś nie zrobiłam, że się z nauką i pracą „nie wyrabiam”, a chciałabym gdzieś jeszcze przecież pójść z moim chłopcem.

Praca, szkoła, pomaganie rodzicom w zakupach, sprawia, że dzień jest podobny do dnia i jest właściwie szary. Zapomina się wtedy, że były w roku również i radosne dni. Np. rodzice otrzymali nowe mieszkanie. Mam teraz własny pokój. Ile się namęczy-

łam by go urządzić! I chociaż w rezultacie nie jest taki, jak go sobie wymarzyłam, mimo wszystko jest wspaniały, bo własny. Albo podwyżka. W jednym roku cztery podwyżki, niewielkie, po sto złotych. Ale jakże się cieszyłam, kiedy dostawałam...!

Sumując rok, powiem, że był on dla mnie właściwie trudny, ponieważ podejmując moją pierwszą pracę, musiałam się przystosować do nowych warunków. Poza tym niewiele się różnił od poprzednich.

MICHAŁ LEŻYŃSKI — kierowca.

— Wiele się ostatnio zmieniło w życiu każdego Polaka. Także w moim, chociaż ośmiście nie uczestniczyłem w strajkach. Jestem kierowcą pogotowia ratunkowego na PKP, więc o przerwaniu pracy w sierpniu nie mogło być mowy. Jeździłem. Jako pracownik z dwudziestoletnim stażem zarabiałem około 5 tys. złotych. Ostatnio dostałem 400 zł podwyżki, a po Nowym Roku obiecali dodać jeszcze 500 zł, gdy przejdziemy na nowy taryfikator płac.

W pogotowiu już 6 lat pracuje moja żona. Zarabiała 2700 zł, tak ceniona jest praca sanitariuszki. Teraz dostała 1300 zł podwyżki.

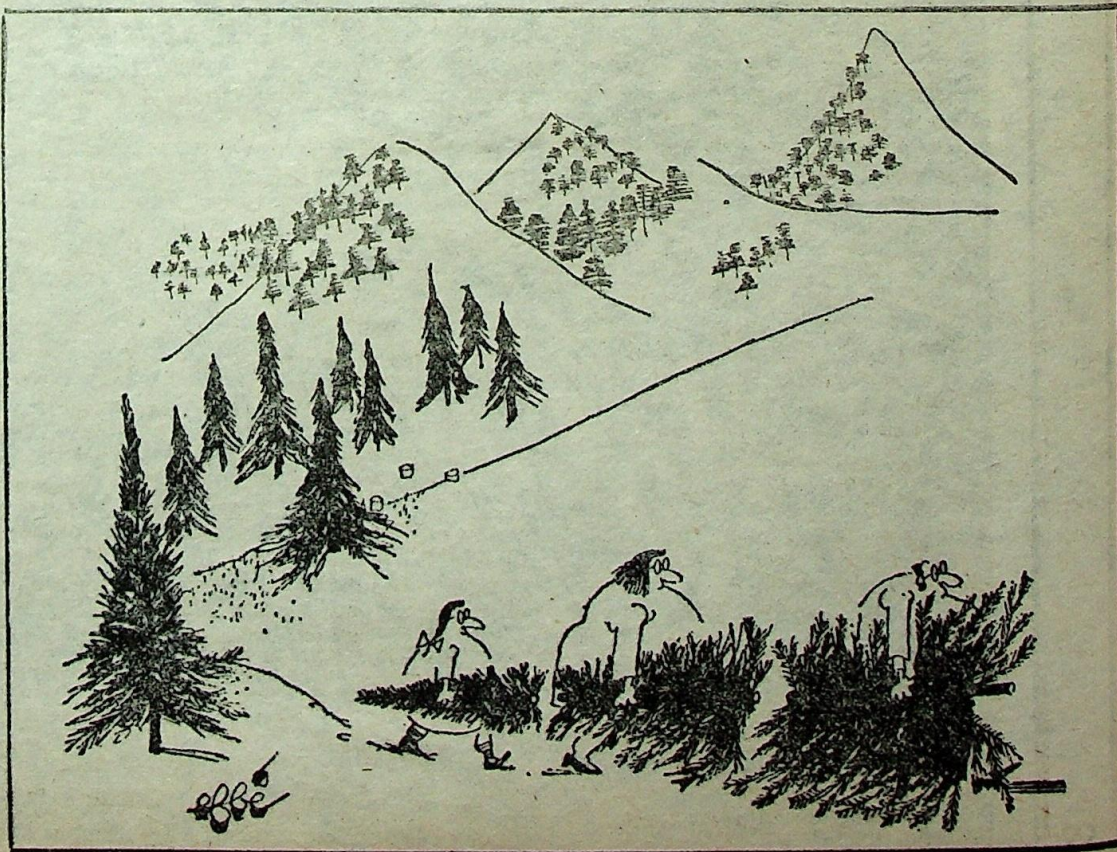
Mamy dwoje dzieci, więc trzeba było dorabiać. Pracuję na pół etatu w WPK, jeżdżę autobusem 100 godzin miesięcznie po nocnej zmianie w pogotowiu, kiedy mam 48 godzin wolnego.

Rok był ciężki też na wsi. Mam liczną rodzinę w Mikołajowicach za Legnickim Połem, jeżdżę tam bardzo często i wiem, jak się musieli napracować, żeby zebrać to, co wyrosło na polach. Było bardzo duże opadów. Opóźnił się zbiór buraków cukrowych. Razem z żoną i córką (syn poszedł w tym roku do wojska) pomagaliśmy im trochę. Myślę, że z tego względu nie będę miał kłopotów z zaopatrzeniem świątecznym.

Na karetę było raczej spokojnie. Może trochę za dużo wezwzań do błahych spraw. Jeżeli nie będzie teraz epidemii grypy — rok minie bez specjalnych wrażeń.

Zmienił się stosunek dyrektorów do zwykłego pracownika. Kiedyś dyrektor często nawet nie chciał wysłuchać o co chodzi, nie mówiąc już o tym, żeby coś załatwił. Szary człowiek się nie liczył. Można było go objechać, wystraszyć zwolnieniem z pracy. Teraz dyrektorzy znajdują czas dla naszych spraw, interesują się, załatwiają. Tak powinno być zawsze...

W WPK oprócz braku części zamiennych i sprawnych autobusów są też inne mankamenty. Złe jest zorganizowana praca warsztatów. Oprócz dyspozytorów utworzono jeszcze stanowiska kontrolerów. Ci podpisują Papierki i oglądają telewizor, a ludzi do reperowania autobusów wciąż mało. W niedzielę wszystkie autobusy obsługuje jeden mechanik — czy może być dobrze? — Za dużo ludzi do rządzenia i podpisywania, kontrolerów, brygadystów, kierowników. Za mało do pracy...



Jeszcze nie było czasu na refleksję. Mimo głosów, że koniec z oglądaniem się na górę, koniec z czekaniem na dyrektywy, wszyscy czekali na Plenum Komitetu Centralnego, które miało zdecydować jak właściwie ma wyglądać ta odnowa.

Najpierw więc ludzie wyrzucali z siebie wszystko, co ich bolało. Choroeba tocząca partię, ładnie zwana propagandą sukcesu, dotarła wszędzie. Najboleśniej odczuli to ci, którzy byli na dole hierarchii partyjnej — oni na co dzień byli z ludźmi w kopalniach, hutach, fabrykach, zakładach.

23 września. Narada aktywu społeczno-gospodarczego Huty Miedzi w Głogowie. Fragmenty nagranej dyskusji:

„Większość wniosków (robotniczych) pokrywa się z naszymi, o których mówiliśmy przed VIII Zjazdem na zebraniach partyjnych... Poszczególne wydziały straciły zaufanie do partii... Sekretariat KC wydał w grudniu 1978 roku zalecenie żeby zacieśniać więź z załogami. Zalecenia te realizowaliśmy z wielkim trudem. Podejmowano błędne decyzje gospodarcze, a my mieliśmy nawoływać do lepszej pracy...”

„Następuje odnowa. Wyszła ustawa o nowych związkach. Nie zabraniamy wstępować. Potrzebna jest roztępa, spokój i pryncypialność w działaniu. Musimy rozwiązywać bolące załogę problemy. To pozwoli nam na odzyskanie autorytetu...”

„Wydarzenia sierpniowe przyniosły coś nowego, z czego możemy korzystać, a nie kwitować, że nie możemy im zabronić. Nie wolno mówić, że postulaty w dużej części zgadzały się z naszymi, bo to jest nieprawda, chyba, że za takowe uznać nieśmiało wypowiedzi. Liczy się duch wystąpień i my członkowie partii musimy wiedzieć jak się w tej nowej sytuacji znaleźć...”

„Co mnie zdenerwowało i załamało wewnętrznie? To, że towarzysze, którzy siedzą w prezydium potrafią się nagle zmienić i głęszą nowe prawdy...”

— „Rozliczyć należy tych, do których są zastrzeżenia...”

— Konkretnie prosimy.

— Ja mówię ogólnie. Nie mówię też o województwie. Chyba mówię otwarcie”.

VI Plenum Komitetu Centralnego biorąc za podstawę porozumienia zawarte w Gdańsku i Jastrzębiu określiło drogi wyjścia z kryzysu gospodarczego i politycznego.

W październiku i listopadzie wiele się wydarzyło: przyspieszono realizację podwyżek płac, poprawiono warunki pomocy finansowej dla młodych małżeństw, opracowano projekty racjonalizacji mięsa i tłuszczów zwierzęcych oraz sposobu sprzedaży samochodów, przedłożono do konsultacji społeczeństwa zasady wprowadzenia 5-dniowego tygodnia pracy. W tym czasie również zakończyła się rejestracja większości nowych związków, a przede wszystkim „Solidarności”, wzrosła rola Sejmiku odpowiednio do jego konstytucyjnych uprawnień, dokonano zmian kadrowych w partii — około 500 osób odeszło z funkcji kierowniczych. Równocześnie trwały prace nad reformą gospodarczą, których pierwszym efektem jest tzw. mała reforma, oraz nad ustawami o związkach zawodowych, szkołach wyższych i cenzurze prasy.

Jest to skrótowny rejestr spraw załatwionych lub realizowanych. W tym czasie partia szukała równocześnie swojego oblicza, takiego, które pozwoliłoby odzyskać zaufanie społeczeństwa.

Problemem partii poświęcone było VII Plenum Komitetu Centralnego (1-2 grudnia).

★

2 grudnia. Huta Miedzi w Głogowie. Tu też trwały dyskusje. Szukano odpowiedzi na pytania: Jaka powinna być partia? Co powinna robić? Ja szukam odpowiedzi na pytanie najprostsze: Jaka jest rola partii w zakładzie?

Moim przewodnikiem jest Marian Żelazowski sekretarz Komitetu Zakładowego.

Plan dnia mamy typowy. Rozmowa w gabinecie, objazd huty. — Co robi partia w hucie? — pytam.

— Obecnie jest duże parcie na działalność czysto partyjną — odpowiada sekretarz. — Jest duże zapotrzebowanie na wyjaśnienie podstawowych mechanizmów działania partii.

— Ludzie ich nie znają?

— Od dłuższego czasu organizacja partyjna w zakładzie pracy była biurom skarg i wniosków. Wynikało to z niejasności mechanizmów gospodarczych. Sprawy te powinna załatwiać administracja, tylko, że ona nie chciała z ludźmi rozmawiać.

Jakie są te sprawy do załatwienia? A to, że niesprawiedliwy rozdział mieszkań, że brak filcowych butów na zimę, że zepsuł się autobus i pracownikom nie zwrócono za taksówkę, chociaż im to obiecano, że brak ciepłej wody na wydziale, itp.

— Dlaczego nie załatwia tego administracja?

ODEBUDOWA



Fot. Krzysztof Raczkowski

— Według mnie wynika to z kilku przyczyn. Po pierwsze kierownictwo i administracja czują się głównie działaczami gospodarczymi. Sprawy ludzkie nauczone się traktować osobno, nie dlatego, żeby im się lepiej przyjrzeć, lecz wręcz przeciwnie, żeby sobie nimi nie zawracać głowy. Wynikało to także ze słabości związków zawodowych, które nie przeciwdziałały takiemu działaniu.

Sekretarz co chwilę wychodzi. Gorący okres — za parę dni konferencja sprawozdawczo-wyborcza. Właściwie byłby to przyczynek do pytania: co robi partia w zakładzie pracy. Kręcę się po pokoju i streszczam sobie dotychczasową rozmowę. Partia nie powinna wyręczać administracji — to raz, powinna prowadzić działalność czysto partyjną — to dwa. Co to oznacza?

Zadaje to pytanie sekretarzowi.

— Głównym zadaniem partii jest praca ideologiczno-wychowawcza. To znaczy, nie doraźne interweniowanie, tylko likwidowanie zjawisk. Celem w zakładzie jest poprawa stosunków międzyludzkich. Członkowie partii powinni być wzorem.

— Żeby być wzorem trzeba mieć autorytet osobisty.

— Autorytet musi mieć organizacja, z niego dopiero rodzi się poszanowanie jej przywódców. Jak ja to rozumiem... Myślałem o tym już wcześniej, bo zdziwiło mnie zdanie w jednym z przemówień Stanisława Kani. Powiedział, że nie potrzebuje przywódców. Do tej pory mówiło się o autorytecie partii w społeczeństwie. Wszyscy widzieliśmy, że jest to coraz bardziej tylko hasło. Wydarzenia letnie ostentacyjnie rozwiały te złudzenia. Autorytet mieli przywódcy, w momencie, gdy go stracili, straciła cała partia. Fakt, że szeregowi członkowie partii mówili już dawno to wszystko, co powiedzieli głośnie strajkujący robotnicy, świadczy o słabości całej organizacji. Według mnie pozycję przywódcy powinien tworzyć autorytet grupy, a nie odwrotnie. Nie może być tak, że jest wysublimowana góra organizacji, później długo nic i wreszcie gdzieś nisko masa szarych członków.

— Czy te rozważania nie są zbyt ogólne? Spróbujmy może konkretniej...

— Teraz na przykład był kandydat partii. Mówi, że czuje się związany z organizacją, ale nie chce płacić składek, żeby nie aprobować bezowocnego mielenia stą-

rych spraw na zebraniach oddziałowych. — Staralem się go przekonać. Partii potrzebni są ludzie, którzy mają własne zdanie, którzy nie przyjmują życia biernie.

★

Scenariusza część dalsza. — Zwiedzanie huty. Problemy te same jak w całej Polsce. Można zrobić ankietę: brak lekarzy, brak przychodni (właściwie podkreślić), brak stołówki, jest stołówka tylko brudna i mała, jest stołówka czysta i duża, ale nie ma w niej co jeść (właściwie podkreślić). W dalszej kolejności idą dojazdy do pracy, złe warunki sanitarne. W hucie występuje większość tych problemów, trzeba by podkreślić prawie wszystko. Dochodzi do nich jeszcze zanieczyszczenie powietrza. Sekretarz nazywa to tematami złośliwymi lub agresywnymi. Po sierpniu dwie sprawy już można wykreślić. Jest nowa, duża, czysta, doskonale wyposażona, estetyczna stołówka. Działa od 1 grudnia.

Jest też przychodnia. Co prawda tak jak poprzednio w baraku ale w dużym, ze wszystkimi gabinetami, ciepłym. Trwały o to boje przez lata. Przyjeżdżał lekarz wojewódzki, rozmawiano na ten temat z I sekretarzem KW i dyrektorem kombinatu. Brakowało wykonawcy. Teraz wiele rzeczy dawniej niemożliwych okazało się możliwymi.

Tylko, co do tego ma partia? Do tych inicjatyw przynajmniej się teraz wszyscy. I dawne związki, i nowe i na dobrą sprawę wszyscy pracownicy, bo oni w końcu nie mieli gdzie po ludzku zjeść, oni tłoczyli się w dawnym baraku przed drzwiami gabinetów lekarskich.

— Mamy w tym swój udział — mówi sekretarz. Nieważne jest w końcu, kto ile i w jakim stopniu załatwił. Ważne, że jest załatwione.

Klimat do autentycznego działania stworzyły porozumienia zawarte na Wybrzeżu. Dlatego też chodzimy sobie teraz od tyłu huty, tam gdzie powyginane żelastwa walają się na ziemi, obok zupełnie dobrze wyglądających konstrukcji stalowych, które rdzewieją nie wiadomo po co, tam gdzie powybijane szyby huty „Głogów 1”. Tak, teraz nastąpi moda na okazywanie wszystkiego, co nieładne. Sekretarz pokazuje mi kominy, których dym zatruwa cały Głogów. W tej chwili jest spokój, bo tylko jeden dział.

— Postawiłem ten temat na spotkaniu z ministrami Słowińskim i Szalajdą. Nie ma środków na filtry.

— Robotnicy je znaleźli w marnujących się materiałach — podpowiadam, bo wcześniej wpadłem na chwilę do „Solidarności”. Pokazywali mi eksponaty z wysypiska.

Sekretarz pokazał mi jeszcze dworzec kolejowy, niedaleko nowej stołówki, na który wynajętym pociągami mogliby ludzie dojeżdżać z Głogowa, zamiast rano tłoczyć się w autobusie. Te same autobusy po południu jeżdżą puste, bo ludzie podwożą się prywatnymi samochodami. A płacić trzeba, czy jeżdżą pełne czy puste tak samo. Też zaoszczędziłoby się trochę pieniędzy, a miasto miałoby więcej autobusów. To jest jego projekt. Kto to doprowadzi do realizacji — partia czy „Solidarność”? W sumie nie jest to istotne. Chodzi o to, żeby od teraz zawsze pamiętać o sprawach ludzkich.

Jeszcze raz przeczytałem ostatnio reportaż Jerzego Lovella z lat 1970-72. W posłowie pisze: „W moim odczuciu a zapewne i w odczuciu ogółu — jesteśmy świadkami i uczestnikami zjawisk ważnych i przełomowych w życiu naszego kraju. Program zmian zarysowany na VI Zjeździe partii i już realizowany z wielkim dynamizmem i konsekwencją, nie pozostawia odłogi żadnej dziedzinie życia społecznego i gospodarczego, przeorzuje głęboko zarówno obszar faktów materialnych, jak i świadomości narodowej... Oznacza to — w języku konkretnym — uporeczywą walkę o przezwyciężenie starych, przeżytych nawyków i metod w organizacji, w ustalaniu hierarchii społecznych celów i zadań, itd. itp.

Te słowa pasują do dzisiejszego dnia równie dobrze, jak osiem lat temu. Mówienie o rzeczach najprostszych jest potrzebne, żeby nie rozmyły się one w codziennej praktyce. „... stare demony lubią powracać w nowej postaci... do czego dopuścić nie wolno” — mówi podtytuł jednego z reportaży cytowanego dziennikarza.

JERZY JAGODZIŃSKI

Już za kilka dni spotkamy się przy wigilijnym stole. Czy gorączka przedświątecznych zakupów dotarła także do naszych milusińskich? Czym są dla nich święta? Oto kilka rozmów.

ŻEBY ŚWIĘTA BYŁY PRZEZ CAŁY ROK...

WYOBRAŻENIA O ŚWIĘTACH

— Z czym ci się kojarzy choinka?
— Choinka jest z lasu, albo ze sklepu — **Przemek**, lat pięć.
— To takie drzewo, które się stawia na stole, a później mamusia z tatusem się kłóci, kto posprząta podłogę, bo ona strasznie się sypie. — **Monika** lat pięć i pół.
— Jak tatuś kupił choinkę w sklepie, to mama strasznie na niego krzyczała, że przyniósł barachło, które nic nie pachnie. — **Kuba**, lat prawie sześć.
— A mój tata powiedział, że na choinkę da mi trochę pieniędzy. — **Tomek** lat pięć.
— Dlaczego ludzie kupują choinki?
— By najpierw je ubierać, a później składać pod nie prezenty, by w domu było weselej — **Kuba**.
— A mój tatuś powiedział, że w tym roku nie kupi choinki, tylko pojedziemy do Karpacza, bo tam przynajmniej babcia nie przyjedzie — **Tomek**.
— Bo są święta Bożego Narodzenia — **Monika**.
— Dlaczego są takie święta?
— By się nie szło do pracy i można przez cały dzień oglądać telewizję — **Przemek**.
— Jak są święta, przyjeżdża do nas zawsze ciocia z wujkiem, bo wcześniej nie mają czasu — **Monika**.
— Tatuś mówi, że święta są po to, by się najeść — **Kuba**.
— Czy święta były zawsze?
— Nie, nie zawsze — **Tomek**.
— Święta zawsze były, bo zawsze była Wigilia. Dziadek mówi, że pierwszej, to nawet nie pamięta, a dziadzio jest bardzo, bardzo stary — **Monika**.
— Co to jest Wigilia?
— Wtedy się siedzi uroczysto przy stole i zapala się takie świeczki — **Kuba**.
— Tatuś kiedyś ubierał wieczorem choinkę, a rano znalazłem pod nią taaaką wyścigówkę — **Przemek**.
— Wtedy się śpiewa kolędy, a my z dziadkiem poszliśmy do kuchni, żeby nikt nie widział i stłukliśmy dwa talerze — **Tomek**.
— Na Wigilię trzeba kłaść pieniądze pod talerz, bo wtedy się ma przez cały rok — **Monika**.

ŚWIĄTECZNE ZAKUPY

— Teraz wszystko trudno kupić, dlatego święta będą takie same jak ostatnie — **Monika**.

— Mama mówi, że teraz będzie jeszcze gorzej, bo nawet masła nie ma, a kiedyś to nie było tylko maki — **Kuba**.
— Dlaczego trudno wszystko kupić?
— Bo w Polsce jest bieda. Wszyscy wszystko wywożą za granicę samochodami — **Monika**.
— i pociągami — **Tomek**.
— Bo Gierek długi płacił i dlatego nie ma — **Kuba**.
— Dlatego że były strajki i ludzie nie chcą teraz pracować, a jeszcze wcześniej była powódź i nie ma buraków, i nie ma cukru — **Przemek**.
— A ja mam cukierki, bo do taty przychodzi taka pani i przynosi — **Monika**.
— Mama z ciocią i wujkiem pojechali do Wrocławia i stali w kolejce i przywieźli cukierki, nawet takie w pudełkach, a tata powiedział, że to skandal, żeby mamy w domu dwa dni nie było — **Kuba**.

— A my z sąsiadami się umówiliśmy, że pojedziemy na zakupy do Czechosłowacji, ale mamie pieniędzy w banku nie dali — **Przemek**.
— Tata powiedział, że pojedzie do Szwecji, bo tam wszystko jest — **Tomek**.
— Kto robi zakupy na święta?
— Wszystkie kobiety robią — **Tomek**.
— Może nie tylko kobiety, może i mężczyźni — **Przemek**.
— Nie, tylko kobiety, bo moja babcia też stoi w kolejkach — **Monika**.
— Czy to dobrze, że tylko kobiety robią zakupy?
— Tak, bo tatuś tak powiedział — **Kuba**.
— Jakby mężczyźni mieli robić zakupy, to nie miałby kto pracować — **Monika**.
— Mama powiedziała, żeby tata lepiej nie chodził do sklepu, bo nigdy nic nie przyniesie, albo nie to co trzeba — **Tomek**.

— Ja nie lubię chodzić z mamą do sklepu, ponieważ jak kiedyś poszliśmy po mięso, to się zrobiła awantura i taka pani na mamę nakrzyczała, że taka młoda i się pecha bez kolejki. A mama przecież stała i później strasznie płakała — **Przemek**.

PREZENTY

— Kto przynosi prezenty pod choinkę?
— Aniołek i święty Mikołaj — **Monika**.
— ...i Dziadek Mróz — **Kuba**.

— Mikołaj jest czerwony, a Dziadek biały... — **Przemek**.
— Skąd się oni wzięli?
— Mikołaja się zamawia. Słyszałem jak mama kiedyś krzyczała przez telefon, że potrzebuje Mikołaja — **Tomek**.

— Niektórzy się wygłupiają, pukają do drzwi i uciekają. Mama mówi, że to aniołki przyniosły prezent, a ja widziałam jak pan Kazik uciekał do góry po schodach — **Monika**.

— A ja napisałem do św. Mikołaja, by pod choinkę przyniósł mi pełno cukierków — **Tomek**.

— A ja, by przyniósł mi ciężarówkę i milicjantów na baterie, bo takich ma Paweł — **Przemek**.

— Mój tata powiedział, że kupi nam telewizor kolorowy — **Kuba**.

— Co twój tata robi?
— Kiedyś malował mieszkania, a teraz buduje domy z robotnikami.

— To twój tata nie jest robotnikiem?

— Mój tata wszystko potrafi — **Kuba**.

— Czy dorośli też powinni dostawać prezenty?

— Oni są za duzi — **Monika**.

— I mają pieniądze — **Kuba**.

— Jakby mi tata dał pieniądze, to kupiłbym mamie perfumy — **Tomek**.

— Co byś zrobił jakbyś miał dużo pieniędzy?

— ...zrobiłbym, żeby święta były przez cały rok — **Tomek**.

— O! Właśnie! — **Kuba**.

WIGILIJNY STÓŁ

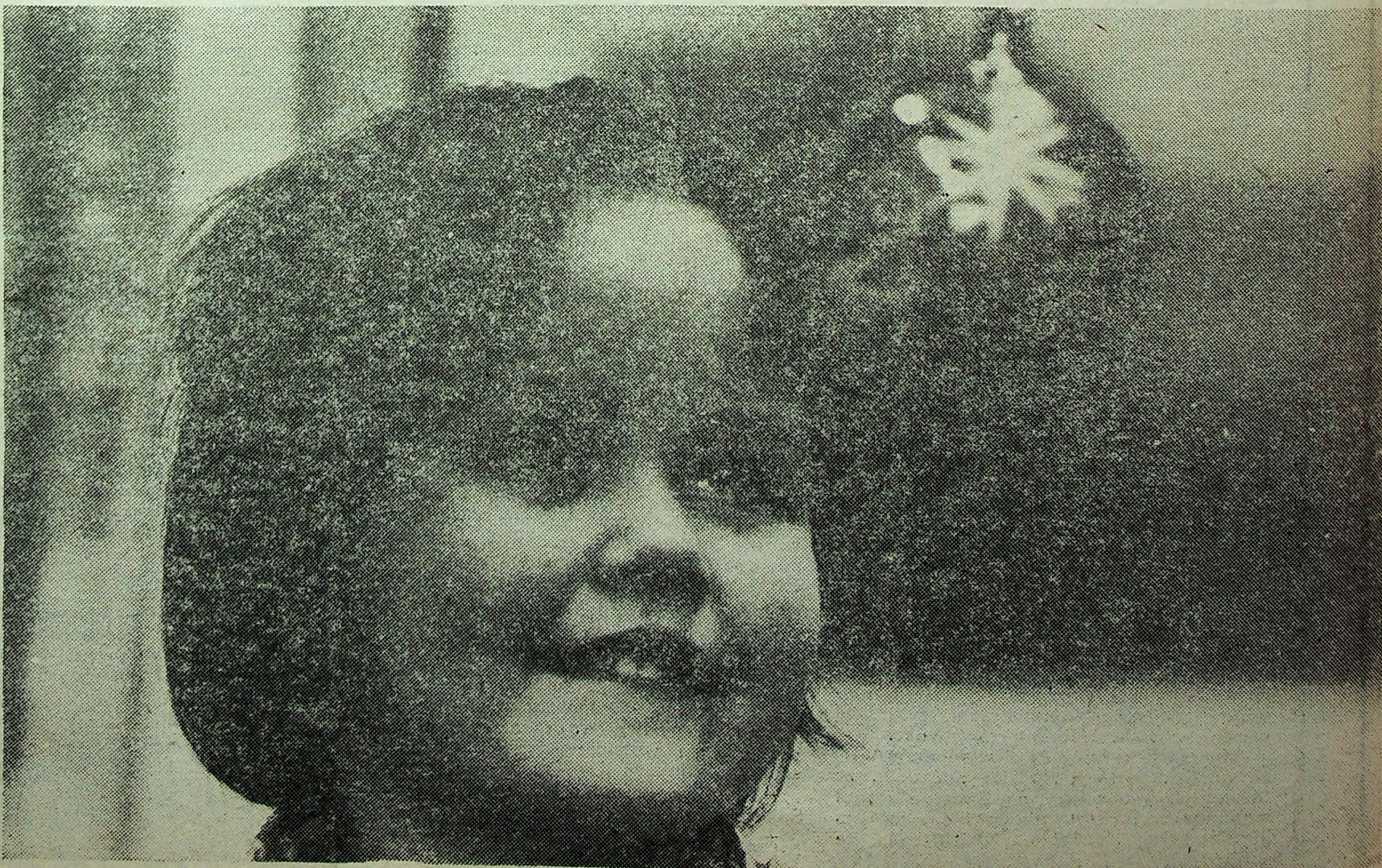
— Czy wiecie dlaczego na Wigilię musi być 12 potraw?

— Wcale nie musi. Mama powiedziała, że wystarczy ryba i opłatek — **Przemek**.

— Babcia mówiła, że kiedyś tak było, bo wszystko można było kupić. Nawet na ścianę się jedzenie rzucało (kutia — przyp. red.) a teraz nikt nie będzie rzucał, bo tapety się zniszczą — **Monika**.

— A moja mama powiedziała tacie, że musi stanąć na głowie i kupić karpia, bo bez niego nie będzie żadnej Wigilii — **Kuba**.

Zanotował: ZBIGNIEW KRUPA



W noc wigilijną zwierzęta mówią. Można by posłuchać, stanowczo twierdzi Jadwiga Prus. Chyba ma rację. bo ja się zorientuję, że człowiek w pobliżu, przestają gadać. In

co mają do powiedzenia. Ale podsłuchiwać nie wolno — koś nigdy i nikomu się to nie udało. Widocznie, jak tylko tego wytłumaczenia nie ma. Bo gadają na pewno!

WIGILIJNA KSIĘGA ŻYCZEŃ

W gadające zwierzęta trzeba wierzyć. Nieodłączny to element świątecznych tradycji, kultywowanych przez wieki obyczajów, których rodowód sięga hen, dalekich, pogańskich czasów. Pilnują ich przestrzegania rodzice Prusów, a Prusowie nauczą ich swoich córek, te przekażą swoim dzieciom...

A więc siano pod obrusem — koniecznie. I suto — choć postnie — zastawiony ten wigilijny stół, z „kutia” oczywiście. I nakrycie wolne dla niespodziewanego gościa — wędrowca. I pasterka. Pasterka jest pół na pół tradycyjna, bo tradycyjnie byłoby wędrować gromadą do drugiej wsi, gdzie jest kościół. A jest tak, że przed północą kawalkada fiałów, syren i tarpanów pędzi zawiłymi śniegami szosami.

Żeby chociaż sanie. Ale sanie nie ma i już pewnie nie będzie, bo w Pielaszkowicach, jak i w całej gminie, koni już prawie nie ma i sanie nie ma. Są tylko traktory. Przez to też i kowali nie ma. Jeden się ostał w gminie Udanin. A przecież kowal w dzisiejszej zmechanizowanej wsi nie byłby bynajmniej bezrobotny. Zdolny kowal, kowal — złota rączka obeznany z mechanizmami, przy ursusach, vistulach i orkanach bardzo by się przydał. Byłoby wówczas tradycyjnie, czyli samowystarczalnie, jak kiedyś, kiedy pod ręką był kowal, cieśla do dachu, bednarz do beczki, kolodziej do koła...

Dopiero później przyszła nowoczesność, a z nią manufaktury, fabryki, automaty i fachowcy. A także mechanicy i części zamienne.

Kupił Krzysztof Prus rozstrząsacz obornika. Za ponad 50 tysięcy kupił bo teraz najbardziej nawet prymitywna maszyna rolnicza wyceniana jest jak automat na układach scalonych (lemiesz do pluga kosztuje 350 złotych, tyle co kwintal zboża prawie, a jest to kawałek wykutej stali i kiedyś robił ją właśnie wiejski kowal). Kupił tedy Prus potrzebną mu maszynę, zapłacił i używał. Nie minęło pół roku i rozstrząsacz się rozsypał, ściślej mówiąc rozleciała się skrzynia. Okazało się — zapomnieli w fabryce o zawleczkach. Gospodarz składa teraz wszystko do kupy, samodzielnie, jako że nie chce po raz wtóry ryzykować.

— A co z gwarancją?

Powiada na to Krzysztof Prus, że dla rolników nie przewiduje się. Gwarancja, owszem, jest. Ale, żeby była ważna, trzeba wszak jeździć na przeglądy do wytypowanych warsztatów. Taki jest niezłomny warunek producenta.

— Wyobraża pan sobie rolnika, który z rozstrząsaczem, siewnikiem, rozrzuśnikiem nawozów, kopaczką do ziemniaków, orkanem czy jakąkolwiek tego typu maszyną jedzie kilkadziesiąt kilometrów do przeglądu? Absurd przecież...

— Mógłby przecież przyjeżdżać mechanik specjalnym wozem technicznym do przeglądów gwarancyjnych...

— Do chłopca?! Pan żartuje...

Pewnie, że żartuje. Znam już przecież opowieść gospodarza o zgarniaczu obornika i POM w Jaworze. Zgarniacz ów zainstalowali fachowcy ze wspomnianego POM-u w wybudowanej przez Prusa oborze — w pełni zmechanizowanej, nowoczesnej, jak z podręcznika. Zapłacił Prus za tych kilkadziesiąt metrów łańcucha, kilka kół zębatach i płaskownikach — 60 tysięcy. Podpisano umowę, w której zawarto gwarancję i dokonywanie okresowych przeglądów (zgarniacza już żadną siłą wyjąć z obory się nie da, żeby powieźć do fachowców). Od roku nie może się Krzysztof Prus doczekać wizyty. A że zgarniacz zaczyna szwankować, więc jeździ gospodarz co jakiś czas do Jawora i prosi. Solennie umawiają się na konkretny termin. Termin mija, mija jeszcze miesiąc, gospodarz znów jedzie itd.

— Dzisiaj rano byłem w Jaworze. Poszedłem do dyrektora, pogadaliśmy. Obiecał, że przyjadą w środę. Mówię mu: „Dyrektorze, niech pan poprosi książkę zgłoszeń i przejrzy”. Przejrzeliśmy i znaleźliśmy cztery środy z wpisem: „Prus, Pielaszkowice...”

Z ciągnikiem zaś było tak, że kupił od SKR starego ursusa „z kasacji”. Inaczej mówiąc, gdyby go nie kupił ani Prus, ani inny gospodarz — ciągnik zostałby pocięty na złom. Tego rodzaju transakcje są, trzeba wiedzieć, głównym źródłem dopływu sprzętu do sektora indywidualnego polskiego rolnictwa. Chłopi kupują te trupy, remontują, reanimują i używają ich przez następne długie lata. Czy chciał Krzysztof Prus samodzielnie remontować ursusa? Nie! Chciał aby to zrobili fachowcy po to kształceni i zatrudniani w tzw. usługach mechanizacyjnych i warsztatowych. Zaś gospodarz chciał zająć się sianiem, oraniem, karmieniem bydła — znaczy, gospodarką.

Fachowcy, jednak z jaworskiego POM obcali ewentualnie naprawić ciągnik... za rok najwcześniej i kazali jeszcze w tym celu zdobyć. Tu następowała lista części zamiennych nie

będących w posiadaniu wyspecjalizowanego warsztatu.

Wolał tedy gospodarz poświęcić wolne od pracy w polu i oborze godziny na robotę przy ciągniku. Wyszukał tłoki, cylindry, tulejki, uszczelki i łożyska, posiedział trzy miesiące i ciągnik był gotowy do drogi.

W ten sam sposób wyremontowali z sąsiadem wspólną vistulę, zgromadzili do niej niezbędny zapas części zamiennych na przyszłość i w żniwa SKR mają z głowy.

— Na szczęście — powiada Krzysztof Prus — bo u mnie trzeba na przykład skosić 7 hektarów naraz. Mogę czekać?

Paradoks tego gospodarstwa polega na tym, że dążąc do nowoczesności w pełnym znaczeniu tego słowa, dążyć musi jednocześnie do samowystarczalności w każdej dziedzinie. Na pasze z GS liczyć nie można. Na usługi też, lepiej nie. Na handel wiejski, na zaopatrzenie — wiadomo. Tylko węgla gospodarz sam nie wykopie i tu jest zdany na łaskę gminnej spółdzielni. Paradoks, bo z punktu widzenia ogólnopolskiego interesu rolniczo-gospodarczego, najlepiej byłoby mieszać chłopskie zboża w państwowych czy spółdzielczych mieszalniach, dodawać doń wszystko co konieczne, uzupełnić wartościowymi substytutami i sprzedawać chłopu pasze. Byłoby lepsze wykorzystanie zboża i lepsze pasze. Druga sprawa: większość maszyn rolniczych używana jest przez krótki czas w sezonie i gromadzenie ich w niewielkich gospodarstwach chłopskich powoduje niepełne ich wykorzystanie. Ponadto zmusza rolnika do niepotrzebnych inwestycji. Wszystko prawda, ale rolnik musi kupować maszyny, jeżeli chce mieć roboty polowe wykonane dobrze i w terminie. Kółkowski sprzęt mu tego nie zapewni.

Dziedzinnie gospodarstwa Prusów wygląda więc jak baza maszynowa. Równym rzędem drzemia pod płotem wszystkie potrzebne w gospodarstwie urządzenia. Wszystkie. Jedyną usługą świadczoną temu gospodarstwu przez SKR jest kopanie buraków. I tak już zostanie, albowiem buraczany kombajn — najmniejszy — kosztuje pół miliona. W ubiegłym roku, kiedy Prusowie mieli jeszcze tylko 8 hektarów cała wartość sprzedanej produkcji z gospodarstwa wyniosła 320 tysięcy...

Tak, rolnik nowoczesny liczy wyłącznie na siebie. W dobie rozkwitu specjalizacji, automatyzacji, kooperacji, doprowadzonego do perfekcji społecznego podziału pracy, na wsi, jak dwa wieki temu: chce chłop budować, to najlepiej samemu.

Krzysztof Prus fundamenty pod oborę zaczął wylewać w maju ubiegłego roku. We wrześniu — po niecałych pięciu miesiącach! — wprowadził się do nowej siedziby pierwsze krowy. Dziś, w tej ekstraktorze, gdzie wszystko co możliwe jest zmechanizowane i zautomatyzowane — stoi 11 krow, trochę jałówek, byczków i zupełnie młodziżę. Razem 33 sztuki.

Strach pomyśleć, ile by to kosztowało i trwało, gdyby wykonawcą była jakaś wyspecjalizowana firma budowlana dla rolni-

ków indywidualnych (nawiasem mówiąc, jeszcze takiej nie stworzono).

Jak się chce do czegoś dojść, trzeba być specjalistą od wszystkiego — betoniarzem, ślusarzem, elektrykiem, stolarzem, zaopatrzeniowcem, petentem, rachmistrzem i handlowcem, rolniczych specjalizacji nie licząc. A Krzysztof Prus oficjalnie jest tylko specjalistą w produkcji mleka.

Z karty specjalisty są określone korzyści. Pierwszeństwo w przydziale nawozów, pasz, materiałów budowlanych i wszelkich usług, kredytów, umorzeń itd. itp. Bez wątpienia posiadanie specjalizacji umożliwiło Prusom tak intensywny rozwój gospodarstwa: kupno 8 hektarów ziemi, maszyn, budowę... O tamszeniu chłopskiej gospodarki mówi się teraz wiele, ale nie dotyczy to przecież rodziny Prusów. Im się powiodło.

— Zgoda — mówi Krzysztof Prus — ale faworyzowaniu specjalistów jestem przeciwny. Każdy rolnik powinien mieć jednakowy dostęp do środków produkcji.

— Tych środków jest jednak za mało, żeby starczyło dla wszystkich. Daje się je więc tym, którzy najpewniej gwarantują ich maksymalne wykorzystanie. To chyba logiczne...

— Zależy od punktu widzenia. Bo taka polityka preferowania lepszych nie daje szans dźwignięcia się z kryzysu tym gorszym. To jest błędne koło. Jeśli gospodarstwo jest słabe, to nie dostanie odpowiedniej ilości nawozów, usług SKR wykona mu na końcu (a te właśnie gospodarstwa zdane są wyłącznie na SKR, bo są bez własnego sprzętu), kredytów nie dostanie, materiałów budowlanych też nie. W jaki sposób ma się więc stac gospodarstwem mocnym? Nie ma szans. I stąd na wsi tak wielkie dysproporcje.

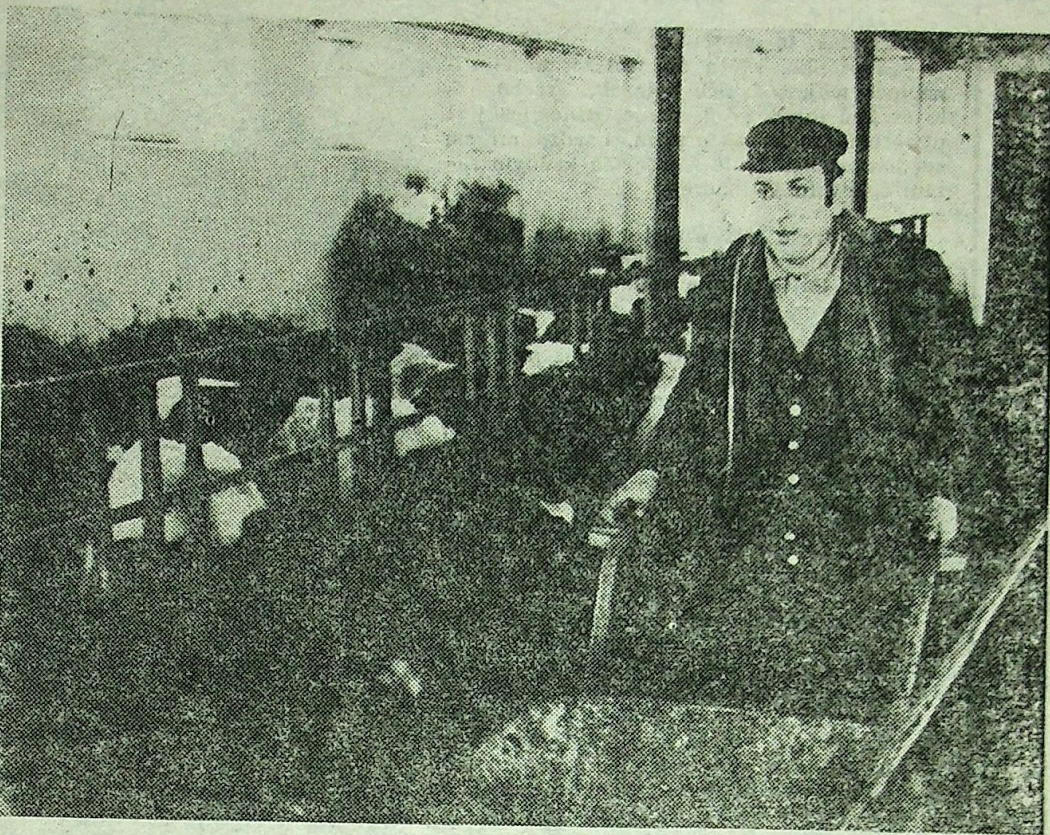
Sądzę jednak, że o specjalizacji mówić trzeba. Chłop mianowicie — każdy — powinien być specjalistą. Od produkowania żywności. I tylko od tego. A mieć powinien do dyspozycji też specjalistów. Żeby zamiast budować, naprawiać, biegać po urządzeniach, stać w kolejkach, czatować pod magazynami i składnicami — chłop mógł doskonalić swoją specjalizację.

Taka jest przyszłość — na szczęście nieunikniona — rolnictwa. Przyszłość jednak. A na razie, kiedy święta za pasem, musi Krzysztof Prus objawić jeszcze jedno specjalistyczne bardzo umiejętności: masarskie.

Niby ten świniak w szopce to tradycja. Bo jakże to święta bez świniobicia?

Kłopot tylko w tym, że gdyby kto chciał nietradycyjnie — to niespecjalnie może. Chyba, że jest jaroszem z upodobania. I rzecz w tym właśnie, żeby wreszcie tylko czciciele tradycji trzymali tucznika na święta. Reszta zaś — niech sobie pójdzie i kupi w sklepie. Zakupy świąteczne, to w końcu też tradycja. Jaka wspaniała!

KRZYSZTOF DĘBEK



Fot. Waldemar Sikorski

INTERPRETACJE

— To jest tak, jak lato, które mija. Jest coś pięknego i nagle okazuje się, że nam się tylko wydawało, że to jest piękne. W rzeczywistości jest szare, zwyczajne, a ludzie koszmarni. Jestem już po prostu doświadczoną kobietą, której nic nie zdziwi...

— Jak to się stało, że w Zielonej Górze zaśpiewałaś tę piosenkę?

— Piosenka, którą śpiewałam na eliminacjach wojewódzkich była zła. Trzeba było szukać innej. „Ach panie, panowie” jest utworem trochę aktorskim, bardzo mi się spodobał tekst. I nie żałuję. Za każdym razem śpiewam ją inaczej.

— Ale treść jest przecież bardzo skąpa! Opowiedziałaś mi ją dosłownie w dwóch zdaniach. Co tu można zmieniać, czego szukać?

— To kwestia interpretacji. Raz na przykład podkreślałam fragment o tym, że „wszystko wyszło się do dna”, że wszystko jest skończone, że nic nie pozostało. A można, wiesz, zupełnie inaczej ten tekst odczytać, co innego akcentować. Nie zgorskniałe. Zadałam pytanie, czy „już ciepła nie ma w nas?”. Tu jest nadzieja, a więc może nie jest jeszcze tak źle... To zależy od mojego nastroju.

— Którą interpretację można usłyszeć najczęściej?

— „Wyszło się już do dna...”.

— Co w takim razie dalej?

— Twarda rzeczywistość. Po festiwalu w Zielonej Górze pojechałam na występy do Związku Radzieckiego. M. in. nagrałam swoje festiwalowe piosenki dla moskiewskiej i kijowskiej telewizji. Poznałam tam wielu życzliwych ludzi. Obiecali napisać dla mnie piosenkę... Później śpiewałam kilka razy w dużych programach estradowych w Warszawie i Zielonej Górze z okazji rozpoczęcia nowej edycji Festiwalu Piosenki Radzieckiej i obchodów rocznicy Rewolucji Październikowej. Obecnie współpracuję z zielonogórską estradą i kabaretem Głogowskiego Ośrodka Kultury. Nie robię tego dla pieniędzy. Po prostu zdobywam doświadczenie sceniczne, obycie z widownią. To też ważne. Moje postępy w śpiewie uzależnione są, tak jak i przed festiwalem, od współpracy z Tadekiem Olchowskim, muzykiem z Wojewódzkiego Domu Kultury w Legnicy.

— Mimo że nie zdobyłaś Złotego Samowaru, twój występ na festiwalu został oceniony jako wielkie wydarzenie artystyczne. Cała Polska wybrała Cię telewizyjną gwiazdą wieczoru. Czyżbyś musiała się jeszcze czegoś uczyć?

— Wszystkiego! Nut, emisji głosu, ruchu scenicznego, tańca, mimiki, nawiązywania kontaktu ze słuchaczem... Wszystko, co było do Zielonej Góry to zabawa, przygoda. Udało mi się zakwalifikować na festiwal więc śpiewałam. Tadek podjął się mi pomóc i robił to w ramach swojej pracy instruktorskiej. Spełniło się marzenie chyba każdej dziewczyny, żeby stanąć z mikrofonem przed ogromną publicznością, przed kamerami telewizyjnymi i śpiewać. Być na ekranie, na zdjęciach w gazetach, być popularną w swoim mieście.

Po Zielonej Górze uwierzyłam, że z piosenką mogę coś osiągnąć. Teraz zaczęła się prawdziwa praca.

— Jak ona wygląda?

— Śpiewam nawet po cztery godziny dziennie. Najczęściej jeżdżę do Legnicy. Cztery godziny tygodniowo zapewnił mi WDK. Powiedziano, że więcej nie potrzeba. W większości więc Tadek pracuje ze mną gratisowo...

— WDK w pewnym sensie zrobił swoje. Pracuje przecież z ruchem amatorskim, pomaga początkującym. Ty ten etap masz za sobą.

— Zgadza się, tylko że w ten sposób znalazłabym się po festiwalu zupełnie sama, na lodzie... Tak nie powinno się chyba ludzi zostawiać. Poza tym jestem jeszcze uczennicą...

— Jak w szkole patrzą na twoje śpiewanie?

— Nauczyciele są wyrozumiali. Wiedzą, że godzenie nauki z występami, wyjazdami nie jest proste. Tym bardziej że w tym roku mam maturę. Piszę dwie prace dyplomowe. Z historii — o teatrze Bogusławskiego, a z języka polskiego o Łęśmianin. Będzie to ma-

ły spektakl poetycko-muzyczny, część teoretyczna przeplatana wierszami i piosenkami w moim wykonaniu.

— Mówi się, że nie matura, a chęć szczerą...

— Ja nie chcę robić tak zwanej kariery piosenkarskiej. Na krótką metę nie jest to rzecz aż tak trudna. Po festiwalu miałam kilka propozycji pracy na estradzie. Jednak festiwalowa popularność eksploatowana na objazdowych koncertach szybko mija. Co robić potem? Ja chcę zdobyć rzetelną wiedzę muzyczną, przygotowanie. Po maturze będę zdawać do którejś z wyższych szkół muzycznych na kierunek wokalny.

— Ale zawód piosenkarski naturalnie jakoś wiąże się z karierą rozumianą właśnie jako popularność. Można powiedzieć, że zrobić karierę to właśnie zdobyć szeroką popularność.

— Nie chcę się podobać swoimi piosenkami wszystkim. Chcę, aby moje śpiewanie odbiegało od tego, co się najczęściej słyszy w radiu, aby było inne. Moje. W tej chwili trudno mi sprecyzować, jaki ten styl ma być. Nie wiem jeszcze co naprawdę umiem i co po latach nauki będę umiała.

— Pozostańmy przy popularności. Jak odczuwasz ją w swoim rodzinnym mieście, w Złotoryi?

— Mam swoich słuchaczy, można powiedzieć przyjaciół, ale i wrogów. Spotykam się na przykład z opinią wprost, że indywidualności trzeba tępić. Ja nie uważam się za indywidualność. Po prostu robię coś innego niż wszyscy wokół i chyba to drażni. Ale śpiewania nie zostawię. Gdy wchodzę na scenę, nie robię tego tylko dla ludzi. Przede wszystkim dla siebie. Dobrze jest, gdy publiczność to kupuje, gdy ją czymś zainteresuję...

— Masz swoją publiczność?

— Kiedyś śpiewałam na wernisazu w Akademii Rycerskiej. Ludzie oglądali swoje

prace i nie interesowali się tym co robię. Lubię ciszę, małe grono skupionych ludzi. Wtedy wiem, że słuchają. Taką publiczność spotkałam w Jaworze. Byłam tam raz i chętnie jeszcze dla nich zaśpiewam. Czuję, że wiedzą o co mi chodzi i to jest dla mnie cenne. W innych miejscach często słuchają, bo tak wypada, bo wiedzą, że byłam w Zielonej Górze, a tam mnie oceniono wysoko, więc też klaszczą...

— Wolisz śpiewać dla młodzieży, czy dla starszych?

— Raczej dla tych drugich. Młodzież chyba nie bardzo mnie rozumie...

— To dziwne...

— Można to wytłumaczyć charakterem mojego repertuaru. Dotychczas śpiewałam około dziesięciu piosenek. Wszystkie raczej liryczne, czasem smutne. O zawiedzionej miłości, bólu, tragediach, rozterce, goryczy życia codziennego. Piosenki pochodzą sprzed lat, są przeróbkami dawnych przebojów, czasem już zupełnie nieznane i zapomniane...

— Czy teraz nie powstają dobre piosenki?

— Bardzo trudno o oryginalny utwór. Znani kompozytorzy i tekściarze piszą dla konkretnych wykonawców. Początkujący piosenkarze muszą sobie jakoś radzić, a nie jest to łatwe, bo na przykład dla mnie tekst jest rzeczą najważniejszą. Musi więc to być utwór o wysokich walorach literackich. Można znaleźć coś w poezji i dopisać muzykę, ale w większości poeci piszą rzeczy smutne. Teraz specjalnie dla mnie pisze tekst mój znajomy. Muzykę robi Tadek. Chcę śpiewać coś lejszego, na przykład piosenki kabaretowe. To sprawa trochę ambijonalna. Chcę udowodnić, że na scenie potrafię nie tylko smęcić.

— Dziękuję za rozmowę.



Fot. Krzysztof Raczkowiak

ARTYSTĄ SIĘ BYWA

— Jak został pan aktorem? Kiedy odkrył pan w sobie potrzebę występowania na scenie?

— Z teatrem jestem związany od 15 lat, a profesjonalnie ten zawód uprawiam od lat ośmiu. Zaczynałem w krakowskim teatrze „STU” w 1965 r., w 1970 r. zdawałem egzamin wstępny do szkoły teatralnej. W szkole niechętnie patrzono na występy studentów, ale to ostatecznie można było jakoś przeskoczyć, tylko właśnie po roku 70 teatr „STU” zmienił się, i to już nie był ten sam teatr. W latach 1965–70 „STU” był teatrem na mapie bardzo wtedy licznych studenckich zespołów, który lansował odmienny pogląd na przedstawienie. W ruchu studenckim liczył się zawsze spektakl, który lansował jakąś ideę, problem i do tego się głównie ograniczał. A teatr „STU” pierwszy zajął się tym — jak? Jak mówić o problemach i jednocześnie ludzi poruszyć. Jak? To znaczy musiał zająć się aktorem. Zaczął stosować prawie takie metody, jak teatr profesjonalny. Stąd nie bez kozery byli w nim głównie studenci szkoły teatralnej: Olgierd Łukaszewicz, Jerzy Trela, Wojciech Pszoniak. Byłem jedynym spoza szkoły w tym zespole. Wtedy był to trzon teatru, potem każdy z nas poszedł swoją drogą. Każdy z nas miał swój model teatru, więc nasze kontakty musiały się rozluźnić. Z wielkim sentymentem wspominam tamte lata. Co one mi dały? Dały mi dużą odwagę w narzucaniu widzowi mojej propozycji ustalenia roli.

Nie boję się wybierać drastycznych, ryzykownych środków interpretacji. Często wygodniej jest zagrać bez ryzyka, nie pokazując samego siebie, wówczas może nie będzie to szczytowa kreacja, ale też nie grozi poślizgiem. A moja interpretacja zawsze jest na granicy wywrócenia się. Do tego doszedłem w teatrze „STU”.

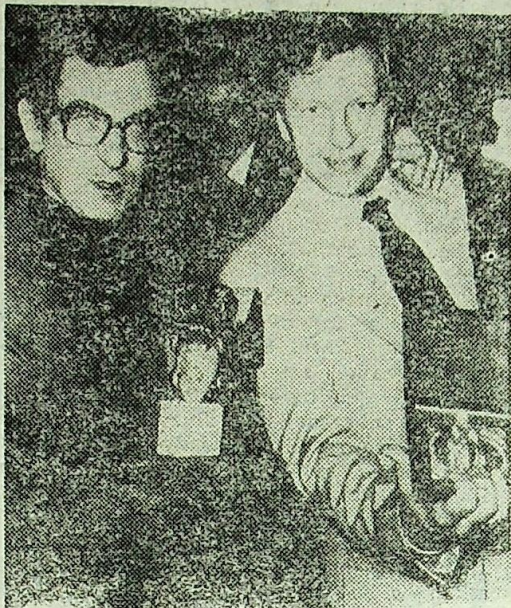
Z tym teatrem wciąż mam jakieś kontakty, dwa lata temu gościnnie u nich występowałem. Znowu spotkałem się z tamtymi ludźmi i pamiętam zawsze, co mi dała atmosfera tamtych lat, tamten teatr.

Od kiedy pamiętam, zawsze chciałem być aktorem. Człowiek powinien robić to, co umie najlepiej. Ale nie spieszyłem się. Wiedziałem, że po szkole średniej jestem bardzo niedouczony, zwłaszcza w zakresie przedmiotów humanistycznych. Nie była to wina pedagogów, lecz ogólnego odhumanizowania szkoły. Myślałem o studiach, które by mi uzupełniły te braki i wybrałem polonistykę. Przez pierwsze lata męczyłem się okropnie nad gramatyką i przedmiotami językowymi. Musiałem się przymuszać, musiałem być cierpliwy, ale to do dziś owocuje. Na seminarium magisterskie wybrałem poetykę u prof. Marii Dłuskiej. Jestem jej wychowankiem. To właśnie ona nauczyła mnie szeroko pojętego humanizmu i miłości do człowieka. Ona stała się kamieniem milowym w moim życiu. Tak zbierałem ten bagaż, który składa się na moją osobę.

Dopiero po polonistyce poszedłem do szkoły teatralnej. Kosztem pewnej świeżości byłem człowiekiem ukształtowanym, który ma własne zdanie. Lansowanie własnego zdania okazało się w szkole jednym z moich walorów. Może byłem, i nadal jestem, w tym zbyt ortodoksyjny i zasklepiony, ale z drugiej strony leży w tym jakaś siła.

— Jak pan ocenia wpływ krytyki na swój rozwój jako aktora? Na budowanie następnych ról?

— Zawsze idę do perfekcjonizmu. Jeśli pracuję nad filmem, to oglądam co pewien czas materiały scen nakręconych. Wówczas interesuje mnie tylko to, co jest według mnie źle zagrane. Na sceny dobre nie zwracam uwagi. Przechodzę nad nimi do porządku. Widzę dobrze, co jest źle, co można zrobić inaczej. To jest nauka na przyszłość. Wprawdzie nie wierzę, że dojdę do perfekcji, ale wiem, że muszę



Krzysztof Kieślowski (z lewej) i Jerzy Stuhr z Lwami Gdańskimi, które otrzymali na VI Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych.

mieć takie pragnienie. W teatrze nie mam takich możliwości korygowania się.

Czy krytyka mi w tym pomaga? Nie. Krytyka się w ogóle nie liczy. Mogę się zżymać, mogę w domu bić głową o ścianę, że krytyk napisał o mnie niekompetentnie, płasko, tanio. Ale jego wypowiedź nie jest w stanie zmienić moich poglądów na rolę. Złe jest, jeśli wiem więcej od recenzenta.

No cóż, krytyka też jest w różnych zależnościach, często pozaartystycznych. Ale zdarza się czasem jakieś spotkanie ze zwykłymi ludźmi, którzy mówią mi, że coś zagrałem nie tak i to jest dla mnie dużo ważniejsze.

— Jest pan autorem dialogów do filmów, w których sam pan występuje. Jak one powstają?

— Pracuję z grupą reżyserów, których filmy nazywa się kinem moralnego niepokoju, lub nową polską falą. Nie piszę dialogów tradycyjnie, nie mam żadnych ambicji literackich. U nas jest to nowa forma zespołowej pracy nad filmem (za granicą była już wielokrotnie praktykowana). Dotychczas reżyser narzucał wszystkim swoją koncepcję. Tymczasem ta grupa reżyserów, z którymi pracuję, zaproponowała inny styl — współpartnerstwo. Wszyscy mamy nad wszystkim pieczę.

Zapytałem siebie, jakie jest w tym układzie moje miejsce, co mogę wnieść? Spróbowałem wziąć udział we współpracy nad dialogiem, który prowadzą bohaterowie filmu i okazało się, że to potrafię robić lepiej, niż co innego.

Wydaje mi się, że w filmach współczesnych muszę pokazać coś więcej niż umiejętności zawodowe. Muszę dać siebie jako



człowieka, inaczej nie potrafię. Chciałbym pokazać przez swoje role, jak myślę, jak czuję, jakim się powołuję stanem psychofizycznym w określonej sytuacji. Co mogę powiedzieć jako człowiek żyjący tu, w tym kraju — dziś. A warstwy języka nie można przecież oderwać od osoby, która pracuje z takim założeniem i uzyskuje na to zgodę reżysera. Stąd wynikło moje pisanie dialogów.

Praktycznie wygląda to tak: wieczorem, gdy obmyśla się dokładnie scenę na przyszły dzień, opowiadamy sobie dużo o niej. Co niesie nowego, czy posuwa akcję, jakie pokazuje nowe oblicza bohaterów. Potem są rozmowy, jakby to zagrać, jak poprowadzić rozmowy? Wtedy zaczynam pewien rodzaj improwizacji, w której wszyscy biorą udział. Tworzy się materia językowa, którą natychmiast spisujemy. Nie bez znaczenia jest fakt, że moimi partnerami w filmach współczesnych są kole-dzy, których znam w życiu prywatnym. Wiem, jak mówią na co dzień. Każdy popelnia charakterystyczne dla siebie błędy, to indywidualizuje język. Język filmowy w naszych scenach jest brudny, pełen błędów, ale tak właśnie mówimy i nie można uciec od tego, jeśli się chce zrobić film realistyczny. Dialog jest pisany na dzień przed kręceniem sceny, nie jest robiony od razu do całego filmu.

— Jaką rolę przypisuje pan filmom moralnego niepokoju?

— Kino moralnego niepokoju to są filmy o nas, żyjących dziś w tym kraju. Mówią o sprawach dla nas ważnych. Widać, że były bardzo potrzebne, wzbudziły ogromne zainteresowanie i oddźwięk społeczny. Po latach, kiedy publiczność odsunęła się od filmu polskiego i nie chciała go oglądać, znowu ludzie chodzą na polskie filmy. Stoją w kolejce po bilety.

— Czy rzeczywiście w filmach, sztukach, odsłania pan swoją psychikę, przecież gra pan często bardzo kontrowersyjne postaci?

— Czy jestem sobą? Zawsze w stosunku do aktora czai się to pytanie. Czy on naprawdę jest taki, czy siebie kreuje na kogoś innego, kim nie jest? Otóż w moje role chcę włożyć siebie prywatnego. Nie chowam się za rolę. Na przykład w „Wodzie” jest taka scena, gdzie bohater upija kompot ze szklanek przygotowanych do podania komu innemu. Pytam siebie, czy bym to zrobił, gdyby mi się chciało pić, i odpowiadam sobie, że tak.

To można nazwać ekshibicjonizmem. Dla mnie ważniejsza jest wiarygodność postaci, a ten gest był jej potrzebny. To jest gest brzydkiego, śliskiego, antyestetycznego. Ale daje to z siebie. Rodzi to we mnie wiele wątpliwości, ponieważ jest eksperymentowaniem na sobie. Czasem odgrywam sytuacje, w których uczestniczyli bliscy mi osoby. Czasem ktoś z bliskich poznaje sytuacje na ekranie, czy na scenie, które wspólnie przeżyliśmy i rodzą się wtedy dylematy moralne; czy mnie wolno to wykorzystywać?

Ten koszt, który ponoszę tworząc rolę, kiedy wydzieram sobie życie prywatne, zbliża widza do mnie. Widz czuje, że mnie to kosztowało więcej niż takie zwyczajne odtwarzanie min, niż tylko wykorzystanie umiejętności zawodowych.

Jeśli nie będę czerpał z siebie, to nie będę był artystą, bo wciąż uważam, że artystą się bywa i to są tylko szczególne chwile. Nie mogę się pozbawić tego atutu wpatrywania się w siebie i korzystania z siebie.

Musimy być jako artyści uczciwi i pokazywać naszą rzeczywistość, nasz czas. Jest w nas wielkie zakłamanie, ale jeśli ktoś mówi szczerze o jakimś problemie, to jest to wartość ogromna i nie można się jej wyrzekać.

W ubiegłym roku zawarto w Polsce 319 tysięcy małżeństw, w województwie legnickim — 4287. Młodzi najczęściej mają 20—24 lata, są rówieśnikami. Więcej ślubów jest w miastach. Przeważnie mieszkają z rodzicami.

ICH PIERWSZA GWIAZDKA

Jakie jest typowe młode małżeństwo polskie, to najkrótsze stażem, które ma spędzić razem pierwsze Boże Narodzenie? Statystyka nie daje odpowiedzi na pytania: Jacy są? O czym marzą?

Jedni chcą mieć samochód, inni czekają na mieszkanie, jeszcze inni myślą o jednym i drugim. Wszyscy uważają, że najważniejsze, żeby byli razem szczęśliwi. A wyobrażeń szczęścia jest tyle, ile ludzi. Ale to też nie jest odpowiedź na pytanie jacy naprawdę są... Gdzie ich w takim razie szukać? Może tam, gdzie wszyscy się znają — w małym miasteczku...

Szli do ślubu na piechotę, bo wszędzie blisko. Nie warto było brać taksówki.

— Ona tu mieszka, a on niedaleko za miastem... patrz pani, jak są ubrani, ładna para... — ożywiła się kolejka przed komercyjnym, okna w starych kamieniczkach otwarte na oścież, taki ładny wrzesień. — Dzień dobry — wychylone głowy wymieniają ukłony.

Wpatrzni w siebie, oboje na granatowo, jej bluzka i jego koszula w tym samym niebieskim kolorze. On w tradycyjnym garniturze, ona w kostiumie z długą spódnicą. Na głowie toczek z niebieską woalką. Zgodność strojów, zgodność spojrzeń — miłość jak na kolorowej fotografii.

— Bardzo ładnie wyglądali — mówi pani z Urzędu Stanu Cywilnego w P. — Ryszard ma 25 lat, a Kazimiera — 24.

Dawała im ślub, jako ostatnim tej soboty, żeby nie trzeba było się spieszyć.

— Jak sobie wyobrażacie swoje pierwsze wspólne święta?

Ona: — *Świąt typowych nie będziemy urządzać, rodzice Ryszarda wyjeżdżają, a my pójdziemy do moich rodziców.*

Gdy dwoje ludzi zaczyna znikać z życia miasteczka, to znak, że coś się święci. Nie ma go na zabawie, raz drugi, nie wypije z kolegami wina — to już wiadomo, przepadł jak amen w pacierzu. Nic tylko baba. Ona nie śmieje się, nie opowiada jak on jej nadszakuje. Znaczący, coś poważnego. Za parę dni wiadomo już wszystko. Małe miasteczko ma oczy, które widzą, i usta, które każdą wiadomość przerysują z jednego końca na drugi.

On: — *Choińkę kupimy na pewno.*

Ona: — *Zywią oczywiście.*

On: — *Ale nie za dużą.*

Na pierwszą randkę pojechali składakami, do dębu „Chrobry”. Jedzie się 7 kilometrów tak jak na Ścinawę i skręca w lewo.

— Kazia była zarozumiała.

— Ryszard też.

— Tak sobie pojechaliśmy, jakby nic nas nie łączyło.

Umawiali się w mieście. Do jej domu przyszedł jak wróciła z urlopu. — Już do domu chodź — mówiły dobrze poinformowane usta. Znaczący się, że to coś poważnego.

Ona: — *O coś trzeba się będzie postarać, żeby też coś w domu było.*

On: — *Kilogram szynki na przydział dostaniesz, rozdzielaliśmy u naczelnika.*

Dali na zapowiedzi, jak to w zwyczaju, trzy miesiące wcześniej. Przez trzy niedziele ksiądz z ambony wyczytywał ich nazwiska na mszy południowej. Kobiety w kościele patrzyły, czy brzucha nie ma. Czy nie muszą się żenić.

Ona: — *Kiedyś wyobrażałam sobie, że wyjedziemy z mężem w góry, do Szklarskiej Poręby. Jestem romantyczką... na razie na nic nie mamy czasu.*

Jak już było dane na zapowiedzi, poszli do jego rodziców z kwiatami. Była u niego pierwszy raz... Biegali po sklepach. Kupili granatowy materiał na kostium i garnitur. Praktyczny kolor, długą spódnicę później się skróci, będzie chodzić na co dzień, granatowy garnitur też wszędzie pasuje.

— Gdzie ci ona z miasta na pole pójdzie robić, taka paniusia — wąpiły głośno sąsiadki matki Ryszarda.

Jeszcze przed ślubem kupili pralkę automatyczną, na którą on dostał talon, i dywan kowarski, nawet niedrogi, z prawdziwej wełny, i piec gazowy do kuchni.

On: — *Matka zamiar na święta przeprowadzić się do naszego domu.*

Ona: — *Przeprowadzimy się na pewno.*

Najważniejsze, że już latem rodzice przepisali na niego dom i pole, było tego trochę ponad hektar. Chałupa waliła się prawie. Przychodził z pracy, robił przy domu, albo szedł w pole.

— *Cały ogród botaniczny mamy — mówi — ziemniaki, marchew, len i tytoń.*

Ona: — *Jeszcze brakuje nam foteli, ławy i będzie komplet.*

Tego samego dnia awansowali. Od 1 sierpnia on został dyrektorem SKR, ona — starszą księgową. Ślub, nowa praca, dom, pole. Czas od zapowiedzi strasznie szybko zleciał. Wesele było huczne. W progu świetlicy przeznaczonej tego dnia na dom weselny, rodzice witali ich tradycyjnie — chlebem i solą. Wrócili nad ranem do jej domu. Dzieci, z którymi przyjechali goście z rodziny, właśnie się obudziły. Na wersalce, tapczanie, materacach spali strudzeni goście. Jedni szli spać, drudzy wyjeżdżali. Zamieszkali w jej pokoju.

Ona: — *Regaly, które wcześniej kupiliśmy musieliśmy przerobić, bo u mnie jest wysoko, a u Ryśka tylko 2,40.*

On: — *Nawet nie widać, najgorzej było zamki poprzestawiać.*

Zaczęły się wykopki ziemniaków. On do nocy siedział na państwowym. Swojego pola nawet nie widział. — Przyszedł pomóc, widziałam jak ta ciotka, co może od rana do wieczora na polu siedzieć, patrzyła na mnie. Ale w tyle nie byłam. Następnego dnia kości mnie tak bolały, że wstać nie mogłam. Powiedziałam sobie — nie idę. Mama mówi: nie wypada nie iść. Wsiadłam na składak i pojechałam. „Myślałam, że nie przyjedziesz” — przywitała mnie ciotka.

Ona: — *Przed ślubem rozmawialiśmy o małżeństwie. Ustaliliśmy, że będziemy tolerancyjni dla siebie, i że wszystko będziemy robić razem. Na razie nic nie mam do roboty w domu. Mama wszystko kupi, obia-*

dy w domu je zresztą tylko Rysiek, ja chodzę do stołówki. Robię śniadania i kolacje.

Ich dom świeci białym tynkiem pośród brunatności suchych liści na owocowych drzewach. Nowe duże okna, wejściowe drzwi z klepek pociągnięte bezbarwnym lakierem. Na parterze drzwi. Jedne do kuchni, łazienki i mniejszego pokoju. Drugi, duży, ma osobne wejście z korytarza. To dawny pokój stołowy, który otwierało się w niedzielę i na święta. W przyszłości przebijają do niego drzwi od małego pokoju. Tylko ściany malowane wałkiem pasują do charakteru dawnego wiejskiego domu. Na górę nadal prowadzą wydeptane przez pokolenia drewniane schody. Drewniana konstrukcja wypełniona grubo białkowaną ścianą. Zapach mleka, siana i gotowanych obierok dla świń. Góra jest nie do pokazywania.

— *Na podłodze w łazience będzie niebieska terakota — mówi Ryszard — wszystko będzie niebieskie, a kafelki białe. Świadomie podchodziliśmy do małżeństwa. Nie mówiło się, że zawsze będzie dobrze, ale że będziemy dążyć do doskonałości.*

Ich dom jest jeszcze... w kartonach. W kartonie jest prożni i odkurzacz, które dostali w prezencie ślubnym. Zapakowany leży wełniany dywan z Kowar i szafka jeszcze nie stoi w pokoju.

Jedziemy zobaczyć tysiącletni dąb, do którego pojechali razem rowerami. Wtedy był maj, teraz jest listopad. — To wszystko moje pola, znaczy SKR — mówi Ryszard. — Na razie człowiek jest optymistą i chce się robić.

Przyjeżdżamy na miejsce. Nikogo nie ma.

— *Wtedy było dużo ludzi — mówią.*

— *Byliście tutaj od tamtej pierwszej randki? — pytam.*

— *Jakoś nigdy nie było czasu...*

JERZY JAGODZIŃSKI



Fot. Krzysztof Raczkowski

Pojechaliśmy do Jawora. Pewnie, że można było rozmawiać w przytulnym pokoju Ośrodka Adopcyjnego albo w siedzibie Sądu Rejonowego dla Nieletnich. Tu i tu akt najróżniejszych jest dostatek: orzeczeń, wyroków, opisów, dowodów dziecięcego nieszczęścia. Czy jednak jakiegokolwiek papierzyska przemówią lepiej od brzdąca wdrapującego się na kolana pani sędzi? Tam, w tych zeznaniach, oświadczeniach, licznych protokołach opisane są w gruncie rzeczy sprawy dorosłych i dorosłych językiem. Zbiór przepisów i norm postępowania zwany ogólnie prawem, układają dorośli. W kodeksach wyłożyli zgrabnie swój pogląd na świat, obwarowali swoje przywileje, pomyśleli o wszystkim — o tobie, malcze również. Przy pomocy paragrafów, punktów, podpunktów i ustępów urządzili ci życie.

A tak wszystko obmyśleli, że dla twojego dobra, w twoim interesie zamkną cię w sierocińcu i uczynią sierotą.

1.

Postuchaj brzdąca, bo masz właśnie szansę. Jeżeli się już wgramolisz na kolana pani sędzi niebieskooki blondasie, to trzymaj się mocno, oddaj pani ulubionego misia z urwanym uchem, nie żatuj niczego. Niczego. Być może wygrasz los na życiowej loterii: przestaniesz być podmiotem prawa (imię, nazwisko, wiek, numer sprawy), a zaczniesz funkcjonować, jako konkretny żywy człowiek, tyle że mały

W jaworskim Domu Małego Dziecka pensjonariuszy jest zawsze kilkudziesięciu. Zadnego z nich Wysoki Sąd nie wezwie na świadka. Biernie czekają na wyrok. Dlatego pojechaliśmy do Jawora.

2.

Pani sędzi Teresie Seroczynskiej zadaje bardzo konkretne pytanie: — Dlaczego poświęca się dzieci w imię resocjalizacyjnych eksperymentów z ich rodzicami? Dlaczego, wbrew oczywistym i dostępnym w każdym sierocińcu statystycznym dowodom, sądy tak uparcie chcą wierzyć w cudowne nawrócenia doszczętnie zdemoralizowanych, zwyrodniałych matek?

— Jest faktem bezdyskusyjnym, że najlepsza jest rodzina naturalna. Dlatego pozbawienie praw rodzicielskich traktować trzeba jako ostateczność. Sąd musi mieć maksymalnie dużą pewność, że matka do dziecka nie wróci. Jeżeli takiej pewności nie ma, jeżeli istnieje szansa, że się matka opamięta, nie możemy zabrać jej dziecka, lecz zrobić wszystko, żeby żyli razem.

Wywód sędzi Seroczynskiej jest bezwzględnie słuszny. Bezwzględnie. Żaden prawnik nie mógłby powiedzieć inaczej, bo wyglądałoby to na podważenie pryncypialnych zasad praworządności i uznanych najwyższych wartości społecznych. Takimi są dobro dziecka, dobro rodziny, rozsądek i wątpliwości na rzecz podejrzanego, wiara w człowieka i żadnych statystyk w sądzie, bo każdy człowiek to indywidualność.

Nie można ferować wyroków mając za dowód statystykę.

I na tym polega cały dramat sierotego losu. W Jaworze widziano setki takich malców, których matkom społeczeństwo dało szansę. Matki wybrały wolność, poszły w pełen nowych przygód świat — zdecydowały nie korzystać z szansy. Dziecko wyboru nie miało. Siła prawa i obyczaj pozostawiało sierotę.

Dramat polega na tym, że większość z tych dzieci mogłaby znaleźć rodzinę. Maria Hanula — kierowniczka Ośrodka Adopcyjnego TPD w Legnicy — musi czekać chętnym do adopcji. Nieraz rok i dłużej. Nie ma dzieci.

— Jak to nie ma? Przecież domy dziecka pełne sierot! Stworzymy im dom, ciepło, rodzinę, pokochamy...

Sieroty są ale sierotami muszą pozostać. Takie życie.

3.

Sąd i pośpiech. Dwa wykluczające się wzajemnie pojęcia. Sąd ma cechować rzetelność, obiektywizm a nie tempo pracy. Taki jest podstawowy warunek sprawiedliwości, niekwestionowany w żadnym prawodawstwie cywilizowanego kraju. Znowu zasada pryncypialna i zawsze słuszna..., z jednym wyjątkiem.

Tym wyjątkiem są zameldowani w domach dziecka obywatele w wieku od zera do lat mniej więcej czterech. Cena, jaką płać za sądowe korowody i dopełnienie formalności takich i owakich, a bezwzględnie w praworządnym kraju koniecznych, jest niewyobrażalna. NIEWYOBRAŻALNA!

Dom dziecka choćby najbardziej luksusowy — jest najgorszym ze wszystkich możliwych sposobem spędzenia dzieciństwa (z wyłączeniem spędzenia go tam, skąd się wychowankowie domów dziecka rekrutują).

WYWIAD
Z
MAGDĄ
CUKIERKĄ



Fot. Waldemar Sikorski

Bo musi być własna matka, własny dom, w tym domu własny kąt, w tym kącie własne zabawki. Musi być klarowny i prosty urządzony świat i w tym świecie własna niewzruszona pozycja.

Przysposobienie jest dla porzuconego i niechcianego przez naturalnych rodziców dziecka jedyną właściwą szansą, że będzie miało dzieciństwo. Jeżeli wredne kombinacje ich matek i wielka ufność sądu im to uniemożliwia — koniec nadziei. Nieliczni szczęśliwcy mają jeszcze możliwość trafienia do rodzinnych zastępczej albo do tworzonych ostatnio rodzinnych domów dziecka, gdzie wychowuje się kilkoro sierot w normalnych, rodzinnych właśnie, warunkach.

Zasada jest taka, że młodsze dziecko szybciej znajdzie nowych rodziców. W wieku lat czterech szanse zbliżają się już do zera. I to jest ta cena czasu.

Można by tu jeszcze przytoczyć liczne psychologiczne i socjologiczne opracowania mówiące o chorobie sierocy, o wyraźnej różnicy w rozwoju psychofizycznym dzieci wychowywanych w domu i sierocińcu. Każdy miesiąc i rok spędzony w nienormalnych dla tego wieku warunkach domu dziecka wywiera swoje nieodwracalne piętno w dziele psychice.

Coraz beznadziejniej kiwasz się maleńskie w swym państwowym łóżeczku, leżysz godzinami wpatrzony w plamkę na suficie albo walczysz zaciekle o jedno spojrzenie pielęgniarki. Doczekasz tak w Jaworze trzeci urodziny, pójdziesz do Ścinawy, gdzie mieszka sporo takich jak ty nieszczęśliwców.

— Bo najpierw — mówi sędzia Seroczynska — może być ograniczenie praw rodzicielskich i przeczenie o umieszczeniu dziecka w domu dziecka. Jest to dla matki ostrzeżenie. Jeżeli poprawy nie będzie, jeżeli matka nadal nie wykaże zainteresowania — wtedy można jej prawa rodzicielskie odebrać.

A czas mija...

Nie wolno odbierać praw rodzicielskich matkom nieletnim, matkom przebywającym w zakładach karnych, na leczeniu odwykowym, nie wolno, nie można, nie wolno...

I dlatego adoptowanych niemowląt praktycznie nie ma. Każdy musi swoje odczekać. A że niepotrzebnie nabawi się sierocych kompleksów — trudno, takie życie...

4.

— Sądy wierzą w cudowną moc nawracania w zakładach penitencjarnych. Dla sądu liczy się matka, nawet taka, która pierwsze dziecko porzuciła. Przy drugim znowu daje się jej szansę. I przy trzecim. One się liczą, jako matki. Dzieci — jako sieroty — powiada Maria Hanula.

Powiada tak dlatego, że akurat rozma-

wiamy o Magdzie, której akta wyciągnęła z szafy Bogusława Kuź — kierowniczka jaworskiego domu.

Starsze rodzeństwo Magdy — brat i siostra — jeszcze przed jej urodzeniem trafili do Ścinawy. Nic nie wskazywało też na to — a już na pewno nie zachowanie matki — że los Magdy będzie lepszy. Co innego jednak poszlaki — choćby najbardziej dramatyczne, a co innego dowody Społecznej opieki, komisje i sądy muszą czekać na dowód i czekały się. Pewnego dnia Magda zbyt głośno płakała w swoim barogu, zaś mamusia i jej przyjaciel akurat mieli zajęcie ciekawsze od przewijania, karmienia i usypiania. Magda więc została kilkakrotnie rzucona o ziemię i skutecznie uciszona.

Teraz już można było przywieźć ją do Jawora (najpierw do szpitala, gdzie rozpoznano uraz czaszki). Odbyły się stosowne rozprawy, pozbawiono matkę praw rodzicielskich. Matka jednakże odwołała się od wyroku do instancji wyższej gdzie go uchylono. Dla Sądu Wojewódzkiego widocznie jeszcze za mało było dowodów (dwuletnia dziś Magda jeszcze w ogóle nie mówi po przebytym urazie...).

Dajmy Magdę mamusi... Niech jeszcze raz się mamusia zabawi z dzieckiem...

Sylwia miała rok, kiedy zmaltretowaną, zagłodzoną i skrajnie wycieńczoną przywiozła karetka do Jawora. Teoretycznie przez ten rok kontrolę nad niemowlęciem sprawowała służba zdrowia. Roczna, zagłodzona Sylwia została tymczasowo umieszczona w domu dziecka. Matce ograniczono prawa rodzicielskie — może się poprawi...?

Co tam! Dziecko przetrzyma wszystko. Milicja się do rodzinnych spraw nie wtrąca. W październiku ubiegłego roku — po ośmiu miesiącach kurowania w Jaworze — mama zabiera Sylwię do domu. Mija pół roku — pół roku! — kiedy jeden ze złobków zawiadomił pogotowie, że ma zmaltretowane dziecko. To była właśnie Sylwia.

— Matka dla zatarcia śladów smarowała dziecko pioktaniną. Za często jednak to się zdarzało i raz pielęgniarka zechciała sprawdzić. Umyła dziewczynkę, rozebrała i znalazła na całym ciele pod pioktaniną rozległe śluzki — mówi Bronisława Kuź.

W szafie za biurkiem pani kierowniczki stopy podobnych dokumentów. Każdateczka — imię, nazwisko, numer sprawy, trochę dat, faktów, orzeczeń. Trochę statystyki.

To wszystko się nie liczy. Żadnych papierów. Nie wierz Magda papierom. Drap się na kolana sędzi. Trzymaj się. To Twoja szansa. Późna to prawda, ale nie za późno jeszcze. Drap się Magda na kolana...

KRZYSZTOF DĘBEK

Aby rzetelnie wyjaśnić, zacząć trzeba niestety od kilku technicznych zagadnień, co postaram się zrobić krótko i przystępnie. Później zaś — równie krótko — opowiem, jak sobie umiemy życie, jak po tajniaku, zamknięci w swoich czterech ścianach kombinujemy. A że piszę to wszystko tuż przed świętami, więc traktować można opisane tu praktyki, jako wzajemne sąsiedzkie prezenty: pod choinkę. Będzie to interpretacja na czasie i przede wszystkim właściwa.

KOMU ZIMNO, TEMU ZIMNO

Technicznie problem wygląda następująco. Jest kotłownia dająca ciepło prawie całej Legnicy (będę posługiwał się przykładem legnickiej kotłowni „Górka”, chociaż mógłbym opisywać każdą inną kotłownię oraz mieszkańców każdego innego miasta — wszędzie jest to samo). W naszej kotłowni jest paliwo, są czynne wszystkie kotły i szczelne rurociągi. Czyli w mieszkaniach powinno być ciepło. Ale nie jest. Nie jest, ponieważ co jakiś czas kotły się automatycznie wyłączają i przestają grzać.

Wyłączają się zaś kotły dlatego, że spada ciśnienie wody w sieci i gdyby kotły nadal grzały mogłyby wylecieć w powietrze. Albo wyleciałyby w powietrze instalacja (woda płynąca z ciepłowni do kaloryferów podgrzewana jest do ponad 100 stopni i nie wrze dzięki ciśnieniu w sieci około 4 atmosfer więc spadek ciśnienia musi spowodować natychmiastowe wyłączenie kotłów).

Ciśnienie w sieci spada ponieważ są ubytki wody. To rzecz naturalna i ciepłownia jest na nie przygotowana: ma mianowicie stację pomp uzdatniającą wodę i w ten sposób uzupełnia ubytki. Bez szwanku dla grzania może uzupełnić do 1 procenta krążącej w sieci wody na godzinę tj. 6 metrów sześciennych. Maksymalna wydajność pomp — 12 m sześć. Uzupełniana woda — zimna — wprowadzana jest do powracającego z kaloryferów strumienia wody ciepłej. Oczywiście skutkiem tej operacji jest obniżenie temperatury wody wprowadzanej do kotła i w konsekwencji niższa temperatura wody na „wyjściu” — czyli tej płynącej do kaloryferów.

Jeżeli natomiast ubytki w sieci przekroczą owe 12 metrów sześciennych — kotły w ogóle przestają grzać. Wtedy, po niedługim czasie (im niższa temperatura powietrza, tym czas ów krótszy) mamy w domach kaloryfery zimne.

Aby ubytki wody były większe od dopuszczalnych nie trzeba kataklizmu. Wystarczy zapomnieć zakręcić zawór odpowietrzający w piwnicy. Wystarczy rurka o przekroju półtora centymetra, przez którą wycieka woda w instalacji, aby oziębć miasto. Tak to wygląda.

Kilkanaście dni temu pół nocy kaloryfery w legnickich mieszkaniach były zimne, natomiast wyciągnięci z łóżek pracownicy Zakładu Energetyki Ciepłej i Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Energetyki Ciepłej szukali wycieku. Jest to niewiarygodne, ale znaleźli (wy-

obraziny sobie liczbę domów, piwnic, zaworów...) na ulicy Gwiazdnej dwa odkręcone zawory odpowietrzające.

Przykładów podobnych nie będziemy mnożyć.

Co jakiś czas — średnio raz, dwa razy na dobę, a bywa częściej — manometry ciepłowni odnotowują nagły spadek ciśnienia, nie utrzymujący się jednak dłużej, jak w wypadku stałego wypływu z sieci. Następuje więc spadek ciśnienia, kotły się automatycznie wyłączają, kaloryfery oziębają, a następnie ciśnienie — dzięki pracy pomp uzupełniających — wraca do normy i kotły zaczynają grzać.

Co oznaczają te nagłe spadki ciśnienia? Oznaczają napełnianie wodą pionów. Wiadomo, że awaria grzejnika powoduje konieczność zamknięcia najpierw dopływu wody do pionu, spuszczenie zeń wody, co umożliwia wymianę bądź zaślepienie dziurawego kaloryfera i ponowne napełnienie pionu wodą. Wystarczy, że zbiegnie się w jednym czasie napełnianie dwóch, trzech pionów w wieżowcach i koniec grzania na godzinę, dwie, trzy...

W związku z tym jednak, że awarie grzejników usuwają fachowcy z ZEC lub spółdzielni mieszkaniowej, którzy delikatność grzewczego systemu znają i mają bezwzględny obowiązek zgłaszania każdorazowego napełniania pionu u dyspozytora ciepłowni awarie grzejników są powodem nagłych spadków ciśnienia. Działający oficjalnie hydraulicy napełniają piony planowo, zgodnie z ustaleniami z dyspozytorem.

Któż więc notorycznie zatrzymuje kotłownię? Ano — my, lokatorzy. Co to za sprawa pójść do piwnicy, wyłamać drzwi do węzła, odkręcić kurki, zakręcić, odkręcić. Po co zaś tak odkręcamy i zakręcamy? To proste — aby sobie zrobić w domu ciepło.

Ciepło robimy sobie dwojakim sposobem: zwiększając powierzchnię grzewczą albo wyjmując tzw. kryzę. Bardzo często robimy jedno i drugie naraz. Piszę: robimy, co wcale nie znaczy, że grzebiemy przy rurach i zaworach osobiście. Nieraz zlecamy to fachowcowi, w ramach „fuchy”. Fachowiec na „fusze” nie będzie oczywiście żadnemu dyspozytorowi zgłaszał napełniania pionów, bo wyjmowanie kryz i prywatne zwiększanie ilości żeberek czy powierzchni „paneli” jest nielegalne i grozi za to wyrzucenie z roboty, o czym każdy hydraulik wie. Nie mówiąc o tym, że najczęściej „fu-

czna” obejmuje dostawę materiałów własnych „wygospodarowanych” czyli ukradzionych przez fachowca w jego macierzystej firmie.

Tak więc niekontrolowane nielegalne prace przy centralnym ogrzewaniu powodują, że nagłe, a niespodziewane, nasze kaloryfery stają się zimne. Beztraska, z jaką obywatele opróżniają rury z gorącej wody jest po prostu zadziwiająca. Tym bardziej że ci którzy wiedzą jak to zrobić, zwykle równie dobrze wiedzą o skutkach, jakie to za sobą niesie. Powszechność zaś przedsiębiorczości w tej dziedzinie dowodzi, iż wyjątkowo schamieliliśmy, że pozwolę sobie nazwać rzecz po imieniu.

Bo przecież kombinacje z grzejnikami mają następstwa o wiele bardziej dotkliwe, niż kilkudziesięciominutowe zachwianie pracy ciepłowni. Rozkryzowanie grzejników czy zwiększenie powierzchni grzewczej burzy dokładność całego układu hydraulicznego w pionie. Krótko mówiąc — wyciągając kryzę (urządzenie dozujące dopływ wody do grzejnika) sprawiam, że część gorącej wody dopłynie do mnie — DO MNIE! — a do reszty sąsiadów dopłynie nędzna resztką. Czyli u mnie — U MNIE! — będzie cieplutko, a u pozostałych ziąb. Leci coś mnie — MNIE! — to obchodzi...

Święta idą i przed świętami ten i ów chce mieć ciepło. Zechce — i zrobi sobie. A sąsiadom też da prezent świąteczny. Niespodziankę.

I żeby była jasność w sprawie: nikt, kto zdejmując sobie kryzy nie robi tego bez pełnej świadomości wszystkich konsekwencji jego poczynań dla pozostałych lokatorów. Trzeba bowiem wiedzieć, że jeżeli ktoś zna się na kryzach, wie gdzie są i do czego służą — wie także, że wyjmując kryzę kradnie innym ciepło. Wie, że inni też mają dzieci, też marzną.

Nazwijmy go po imieniu, nie podziwiamy przedsiębiorczości „złotej rączki” naszego sąsiadka. To jest zwyczajny wredny złodziej.

Bo jest nam wszystkim ciężko. Nie najweselej są te święta. Nie miejsce tu na dociekanie dlaczego za mało jest ciepłowni, dlaczego nie zamyka się bilans energetyczny, brakuje opału i wielu, wielu innych rzeczy. Nie o to chodzi, żeby powiedzieć: nie ja — awiem bałagan w gospodarce, nie ja budowałem betonowe nieuszczelnione domy, nie ja... i w związku ze swoją niewinnością odbiję sobie krzywdy ry-
czaltem. Na kim? NA KIM?

Odbijesz sobie na takich samych zmarznionych nieszczęśliwcach jak ty.

No tak, ale te moralizatorskie argumenty trafiają akurat do tych, podejrzewam, którzy nie rozkręcają grzejników, nie wykopują ciepłych kobiet z kolejki (ona kupi, a ja nie?!), nie dają łapówek, nie kombinują, nie oszukują.

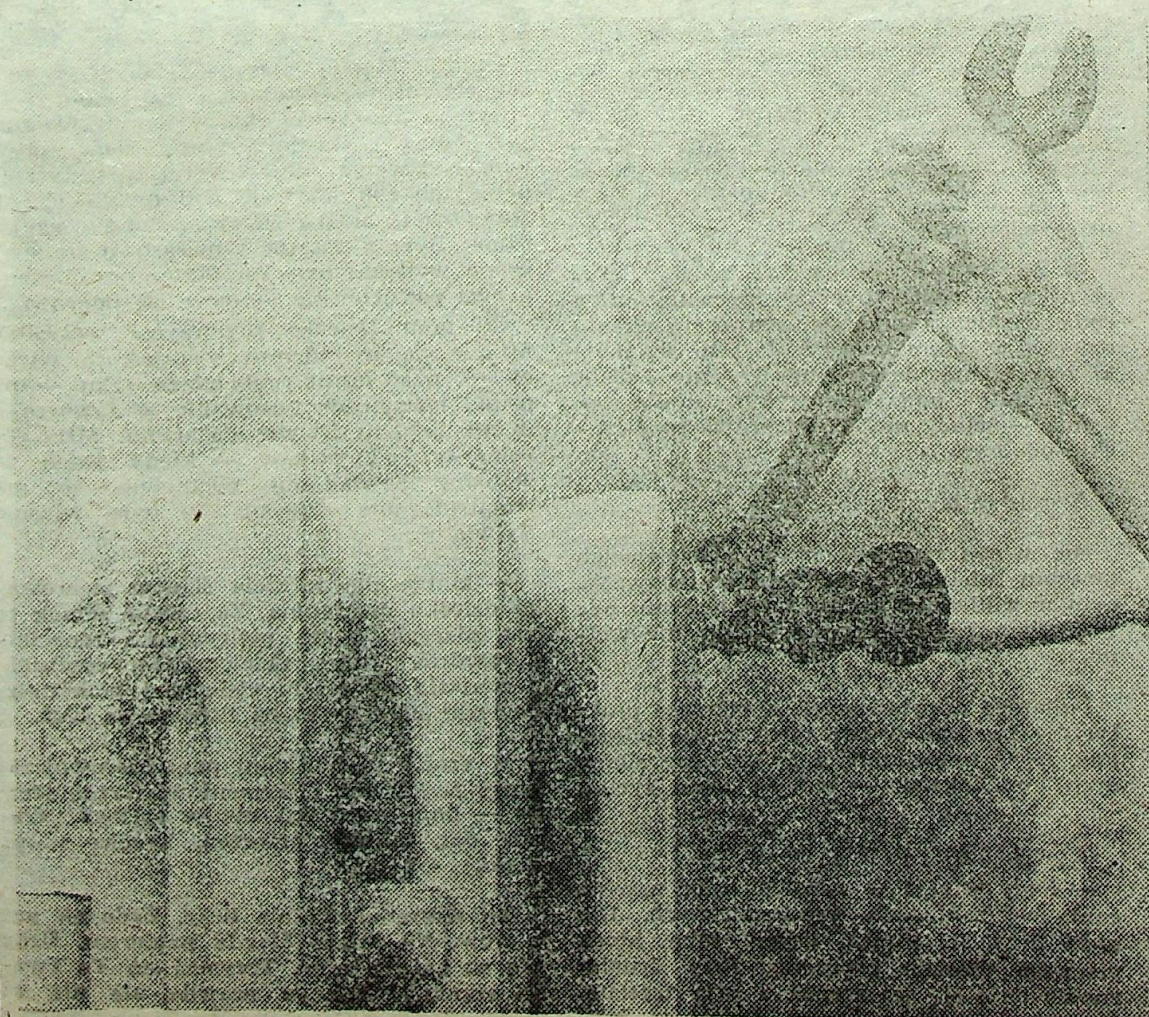
Dlatego też nie na moralizowaniu się kończy. Otóż wzmożone są kontrole prawidłowości zamontowania grzejników. Wystarczy stwierdzić w węźle jakiegoś pionu, że parametry wody dochodzącej są prawidłowe, a lokatorzy są skarżący, że zimno, aby wiedzieć, że ktoś sobie zrobił ciepło. I takich się teraz szuka. Dla informacji: znaleziony płaci 10 tysięcy.

Ponadto dyrekcja WPEC oraz Zarząd Legnickiej Spółdzielni Mieszkaniowej proszą naszym pośrednictwem wszystkich mieszkańców korzystających z centralnego ogrzewania o pomoc w wyłapywaniu złodziei ciepła. Sprawa jest prosta. W razie usłyszenia w rurach charakterystycznego szurgotu spuszczonej z pionu wody albo równie charakterystycznego stukotu w rurach należy o tym zawiadomić dyspozytora Zakładu Energetyki Ciepłej, tel. 254-96 bądź pogotowie techniczne LSM, tel. 825-96. Tylko tyle. A już tam dojdą, czy owe prace są czy nie są zaplanowane. Myślę, że wszystkie inne spółdzielnie przyłączą się do akcji.

Ponadto: konserwatorzy ZEC i spółdzielni zobowiązani są do okazania legitymacji służbowej na życzenie lokatorów, jeżeli ci zechcą wiedzieć kto i po co grzebie przy ich rurach. Nieokazanie legitymacji oznacza oczywiście „fuchę”...

Ponadto — i na marginesie — prezes LSM daje specjalną tysiączłotową premię każdemu gospodarzowi domu, który złapie grzebiącego przy zaworach amatora wspólnego ciepła do prywatnego użytku.

Cóż, środki drastyczne. Ale uczciwi mogą spać spokojnie. I może wreszcie będzie im ciepło...



Fot. Waldemar Sikorski

DOMINIK KRZYŻAK



Fot. Waldemar Sikorski

ŚWIAT BEZ ODPADÓW

Z TERESĄ KAŻMIERCZAK z Urzędu Wojewódzkiego w Legnicy rozmawia Grzegorz Chmielowski.

— Definicja mówi, że „odpady są to uboczne materialne produkty działalności człowieka (substancje lub przedmioty) nieprzydatne w miejscu ich powstawania, szkodliwe lub uciążliwe dla środowiska”. Czy w Legnickim stanowią one problem?

— W naszym województwie czynnych jest osiem wysypisk komunalnych, a poza nimi odpady gromadzone są w bardzo różnych miejscach, np. przy drogach, w lasach, na dzikich wysypiskach. Dwa lata temu tych ostatnich było około sześćdziesięciu. Wsie zaczęły urządzać punkty gromadzenia odpadów, stąd liczba ich zmniejszyła się do trzydziestu. Rocznie na wszystkie wysypiska w województwie przetransportowuje się 860 tys. metrów sześciennych odpadów. Oddzielny problem stanowią odpady przemysłowe. Pod względem ich ilości zajmujemy drugie miejsce w Polsce...

— Jakże to są ilości?

— Najwięcej jest szlamów poflotacyjnych gromadzonych w stawach osadowych — 22 280 mln ton w 1980 roku. Huty wyprodukują i złożą na hałdy ponad 1 mln ton żużla szybowego. Kopalnie powiększą swoje hałdy o 420 tys. ton skały płonej. Poza tym przybędzie 57 tys. ton żużla kotłowego, 27 tys. ton zużytej masy formierskiej, 20 tys. ton szlamu ołowionośnego i 10 tys. ton gruzu. Ale na tym lista się nie kończy. Każdy zakład przemysłowy coś wywozi na wysypisko czy hałdę.

— Czy wszystkie odpady zasługują na zapomnienie?

— Już teraz na niektórych wysypiskach przeprowadzana jest selekcja odpadów. Np. wybierane są jako surowce wtórne różne przedmioty z tkanin, papier i złm. W dużym stopniu zagospodarowywane są ponownie masa formierska (17,5 tys. ton), żużel kotłowy (54,5 tys. ton) i szlam ołowionośny, z którego niemal w całości powstaje ołów. Duże korzyści przynosi przeróbka żużla szybowego na kruszywo do budowy dróg (235 tys. ton). Zupełnie nie wykorzystuje się skały płonej, a szlamy poflotacyjne czekają na odpowiednią technologię odzysku zawartych w nich metali i na... przyszłe pokolenia.

Mimo liczb, świadczących o tym, że pewną część odpadów wykorzystuje się i nie są one balastem dla przyrody — uważam, że wysypiska i hałdy są wciąż jeszcze niedocenianym magazynem poszukiwanych surowców. Na przykład chojnowski „Dolparkart” zbyt lekką ręką sortuje papier. W czasie kontroli znaleźliśmy na wysypisku spore jego ilości. Poważna część nadawała się do powtórnej przeróbki. Podobnie w Złotorii. Zakład Obuwia „Odra” wywozi kilka przyczep styrogumy dziennie. Mam w swojej kolekcji kawałki tego drogiego i poszukiwanego tworzywa o rozmiarach 100 na 30 cm. Na wysypisku były też płyty wielkości blatu biurowego stolika. Czy rzeczywiście na nic już się nie mogły przydać?

— Dotychczasowych metod przeciwdziałania zwiększającym się hałdom i wysypiskom, głównie przemysłowym, nie można zaliczyć do najskuteczniejszych...

— Zawodzą służby ochrony środowiska już w samym przemyśle, u producentów odpadów. Pracownicy tych działów podlegają dyrekcji i mają z nią wspólny cel — wykonać plan. Koszty ekologiczne to sprawa drugoplanowa. Były zamierzenia podporządkowania działów ochrony środowiska administracji państwowej, co poważnie uniezależniłoby przemysłowych „ochroniarzy” od swoich dyrekcji. Jednak nic z tego nie wyszło... Poza tym nie sprzyja środowisku naturalnemu system kar pieniężnych za jego nadmierne zanieczyszczenie. Nie chroni go. Naliczone kwoty zakłady wliczają sobie w koszty produkcji, a więc o ich skuteczności nie sposób mówić...

— Co wniesie nowa ustawa o ochronie środowiska?

— Rozporządzenia wykonawcze, które obowiązują od listopada br. przewidują naliczanie opłat za składowanie odpadów przemysłowych. Najważniejsza grupa na naszym terenie, odpady górnicze i skalne przemysłu miedziowego, została zaliczona do czwartej kategorii szkodliwości, co oznacza 5 złotych za tonę. Zebrane w ten sposób pieniądze będą przeznaczone na fundusz ochrony

środowiska. Będzie możliwe dofinansowanie w wysokości do 30 mln zł wszelkich inwestycji służących równowadze ekologicznej.

— Na razie jednak, przyzna Pani, tej równowagi nie ma. Stan środowiska naturalnego w Legnickim jest przerażający, co stwierdzają nie tylko specjaliści, ale i przeciętni obywatele. Niepokoi ich to. Spotkałem w postulatach założeń przemysłowych wiele wniosków, żądań i nawoływań do ratowania powietrza, wody, gleby, lasów... Czego możemy się spodziewać w przyszłym roku?

— We wstępnej wersji planu na rok 1980 mówi się o miliardzie dwustu milionach złotych przeznaczonych na inwestycje związane z ochroną środowiska w przemyśle miedziowym. Ruszyłaby budowa fabryki kwasu siarkowego przy legnickiej hucie.

— Na efekty przywracania równowagi w naszym województwie trzeba będzie poczekać. Czy możliwy jest jednak świat zupełnie pozbawiony odpadów?

— Chyba nie. Ale możliwy jest taki model przemysłu, którego produktem ubocznym jest bardzo minimalna i nie stwarzająca żadnych zagrożeń ilość odpadów. Już nad tym pracujemy...

— Można już coś konkretnego o tym powiedzieć?

— Od dwóch lat Legnickie i Katowickie, jako jedyne w Polsce, uczestniczą w realizacji programu Światowej Organizacji Zdrowia na temat oceny skutków działań w środowisku. Obecnie zakończyliśmy zbieranie danych obrazujących stan naszego środowiska naturalnego w roku 1975 i perspektywy do roku 1990. Informacje te zostaną do końca przyszłego roku przetworzone w syntetyczną mapę uwarunkowań ekologicznych terenu całego województwa, a szczególnie LGOM-u. Pozwoli ona administracji państwowej prawidłowo oceniać lokalizację wszelkich inwestycji komunalnych i przemysłowych pod względem ich wpływu na środowisko naturalne. Będzie więc możliwość wpływania na nie już w fazie planowania.

— Dziękuję za rozmowę.

ELŻBIETA MAKOWSKA

BILANS

Rachunkowość życia
aktywa i pasywa
coś było
coś będzie
zaksięgowano po stronie „Ma”
zaksięgowano po stronie „Wn”
przeszłość
przyszłość
rozmieniona na drobne
rozrzucona na stronach kartotek

Zostawimy zacyfrowane słowa
niedokończona zdania
i zostawimy duszę
z czystym rachunkiem
lub ze stratą w bilansie przyszłości

STEFAN ŻÓŁTOWSKI

☆☆☆

w miękkich domowych pan-
toflach
chodzą ociężale i głośno na-
wet po najgrubszych
dywanach
coraz wolniej myślą
na proste pytania odpowiadają
z wysiłkiem
najczęściej plotą coś od rzeczy
rozstawione po kątach
milczą
albo mówią nieprawdę
kiedy jednemu z nich przypad-
kowo otworzono
usta
powiało uciekającymi czasem
od tego dnia boję się prze-
ciągów

GRAŻYNA MAZIUK

POCHWAŁA SNU POETY

sadysta psychiczny
historyk mdłych baj
obieżyświat
nakręty na kradzieży globu-
sów
sumienie
pogłębiających wczorajszą
dziurę
narzędzie tortury najcichszej
rozmowy
poeta
którego inni mają gdzieś
pisze wiersz najdalej od siebie

ZAPRASZAMY

wszystkich piszących już
i tych chwytających dopiero
pióra na kolejne spot-
kanie z autorem kolumny.
Prosimy o zabranie swych
utworów. Przewidujemy
dyskusję nad tekstami i
ich wybór do kolejnego
wydania „Prób litera-
ckich”. Spotkanie odbę-
dzie się jutro, tj. 20 grud-
nia br. o godz. 18 w sali
konferencyjnej „Konkre-
tów”, Legnica, plac Cho-
pina 2 — IV p. Czekamy!

B. FREIDENBERG

FRASZKI

Po pewnej premierze w LTD

Widzów ogarnął entuzjazm
szczerzy
autor obronił się przed... reży-
serem!!!

★
„Sport to zdrowie” tylko krzy-
knąć racja,
widząc tylu sportowców na
różnych... kuracjach.

ANDREAS KARAJORGIS

MOJE MIASTO

ubieram się w świt mojego
miasta
jeszcze miękka miłość
opis w lustrze
pogodne niebo twoich oczu
nad ranem
jeszcze ulice otwarte ramiona
spotkanie z niewidomym
rozchylone zasłony
tutaj jest jeszcze jedno miejsce
jeszcze jedno poranne gniazdo
demokracja rozchylanych za-
słon

pod ścianami z szyb z podnie-
sionymi
rękoma w kolejce po mięso
moje miasto w ciszy otulonej
w chustach przekupek
moje miasto nad ranem
kiedy strach jest jeszcze za-
marznięty

a przeznaczenie skrzepie w so-
plach lodu
moje miasto w beznadziejno-
ści południa
o zapachu pustych spotkań
przy kufiach mętnego piwa
moje miasto pełne korytarzy
nieznanych imion
dotyków w autobusie po pracy
w klapach płaszczy
w czapkach ciekających zimą
z facetem o twarzy z rozpię-
tym rozparkiem
przebieram się w wieczorne
światła

mojego miasta
wieczorne roztopy strachu
z sopli skapuje na gęby prze-
znaczenie
przebieram się w przemyskają-
cego chyłkiem wilka
boczkami pod oknami ulotek
schabem potłuczonym pałą
włokę się moim miastem
półlitrową dawką alkoholu
okrzykiem w ciemności
mielonym rybnym na zagrychę
małe draństewka komuś w
mordę
chowam się w przebranego
błazna
odurzony w tłumie chwytam
swoją strach
i chyłkiem przemyskam się do
ciebie
dostaniemy z przydziału
wspólne gniazdo
wypełnimy żółdkami trocinami
wypłujemy segmenty
ponaklejasz na nich kwiatki
a ja będę cię kochał
i zawsze
pogodne niebo twoich oczu
nad ranem

WŁADYSŁAW SZYMA

BARWY

barwy na talerzu molocha po-
dane próbuję
wysmukłość kondygnacji zdła-
wioną
na jesion i malwy rozdrab-
niam
A dom — wieża oczodołami
obraca
uśmiechy dziewcząt sukienki
lekkie motyle
na ławkach balkonów rozpasane
Dozorca zgarbiały miodłą w
powietrze rozrzuca
łańcuszek słów w chropowatość
spryszczoną
i od niechcenia zawstydzony
patrzy
Ten dzień słońce barw obna-
żone
nagim w przerażeniu błękitem
w podświetlonym powietrzu
ptak
błyskotka w zwierciadle zmar-
szczonym
Fotoplastikon czas odmierzony
powraca
wskazówki — zdjęcia barwą
spryskane podtyka

Jedenastoletni Jacek Warciak z domu dziecka w Krązkowie, miał najlepszego ojca. Miał, bo jak opowiadał swoim kolegom, ojciec mu zmarł przed dwoma laty. W tym samym roku, krótko po jego śmierci, matka przywiozła go tutaj, do domu dziecka.

Wszyscy koledzy zazdrościli mu takiego ojca. Bo to był taki równy chłop, znaczy się ojciec Jacka, z którym można było piłkę pokopać, rowerem na ryby pojechać, jesienną fajnego latawca zmajstrować. Słowem, był to nie tylko ojciec, ale i morowy kumpel.

Poza tym Jacek miał jeszcze i matkę, do której mógł pojechać, przed którą mógł się wyzalić i jak to matka, która by go we wszystkim rozumiała. Z tych to powodów Jacek w domu dziecka uważany był wśród kolegów za szczęśliwca.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, najbardziej rodzinne święta. Dzieci stały się podniecone, żyły w wielkiej euforii. Bo każde z nich na święta gdzieś pojedzie.

Dzieci były podniecone, ale i radosne. Każde z nich snuło jakieś plany, jakieś marzenia na miarę swoich pragnień i możliwości. Jaka będzie ta Gwiazdka, jaka wieczera, jaka choinka i czy będzie coś dla nich pod tą choinką?

Na lekcjach wychowania technicznego pod kierunkiem nauczycieli, każde z dzieci coś majstrowało, by zabrać to ze sobą jako swój własny, indywidualny prezent. Jacek robił ramkę z drewna

W WIGILIJNY WIECZÓR

dla portreciku ojca. Mama pokazywała mu kiedyś pocztówkowe zajęcia taty, pomyślał więc sobie, po co ma ono leżeć w szufladzie. Lepiej nich wisi na ścianie i niech każdy, kto wejdzie do mieszkania, zobaczy, jakiego to on miał tatu-
sta.

Wykulpowany na drogę przez wychowawców, w popołudniowy dzień wigilijny Jacek jechał pociągiem do domu, do mamy. Po drodze rozmyślał: „Jaki to dzisiaj będzie ten wieczór? Czy mama kupiła żywą rybę? Czy już jest ustrojona choinka i co też tam ciekawego zastanie? Najlepiej by było, gdyby nie była jeszcze ubrana”. Cieszył się na myśl, jak to razem z mamą będzie stracił wigilijne drzewko.

Umyślił też sobie, że zrobi mamie dużą niespodziankę. Nie będzie dzwonił, nie będzie pukał, ale jak będą drzwi otwarte, to wejdzie cichaczem do srodku, schowa się w jakiś kąt, najlepiej za choinkę i w odpowiedniej chwili się mamie pokaże. Ale się mamusia ucieszy! Uśmiechnął się na myśl, jak to mama go wyczuje i przytuli do siebie.

Pociąg stanął. Znajomy małeńki dworzec i znajoma topolowa aleja wiodąca w kierunku miasteczka. Ale jest już i rynek. Za obszerny, jak na tak małe miasteczko, wybrukowany „kocimi łbami”, z parterowym ratuszem pośrodku. Pierwsza ulica w lewo i tam już jest dom Jacusia. W małym mieszkaniu pałą się wszystkie światła. Pewnie mama czeka na niego. Jacek ostrożnie i lekko nacisnął klamkę. Drzwi były otwarte i wszedł do przedpokoju. Kuchnia była otwarta na oścież, ale nikogo w niej nie było. Poszedł w kierunku następnych drzwi, które były lekko uchylone, i stanął w progu.

Stół zastawiony jadłem i butelką wódki, z radia dołatywały melodie kolęd. W narożniku pokoju pięknie przybrana i rozświetlona kolorowymi lampkami choinka. Na krześle przy stole siedział jakiś pan, a na jego kolanach siedziała mama i całowała go po twarzy. Nie zauważyli go. Matka była do niego odwrócona plecami. Jacek stał bez ruchu, cały napięty w sobie; w rękach ścisnął drewnianą ramkę owiniętą w gazetę i parzył na nich. „Jak też teraz może wyglądać mamusia tuż przed... pomyślał sobie. Żeby się tak odwróciła. Na pewno z otwartymi ramionami przyciągnie mnie do siebie i wyczuje, wyczuje tak samo. O Boże, jaka szkoda, że to nie jest tatus”.

Chwilę tak jeszcze stał, a te chwile wydawały mu się godzinami, nie mogąc oczu oderwać od postaci matki, a jego małe jeszcze serce krzyczało: „Mamo, mamo, kochana mamusiu”!

Jakby wiedziała bezgłośnie krzykiem dziecka, matka wstała z kolan mężczyzny i odwróciła się. Na widok syna oczy jej się zwięziły ze złości i krzyknęła: — Wynos się! Natychmiast wracaj tam, skąd przyszedłeś! — i wypchnęła chłopca za drzwi.

Na dworze padał deszcz ze śniegiem i wiał dokuczliwy, mroźny wiatr z północy. Jacek usiadł na ośnieżonej ławce naprzeciw domu i się rozplakał. Nawet nie zauważył, jak z rąk

wypadła mu drewniana, oszklona ramka. Siedział tak dłuższą chwilę, potem wstał, podniósł leżący na ziemi sporej wielkości kamień i cisnął nim z rozmachem w okno, celując w kierunku kolorowej, wesołej choinki.

Gdy szedł ulicami miasteczka, wszystkie okna były rozświetlone — widać w nich było pięknie przybrane drzewka. Z niektórych okien dochodziły śpiewy kolęd, oraz rozradowane głosy dzieci.

A Jacka tak coś boleśnie szarpalo za serce, ale już płakać nie mógł. Czuł tylko ogromny, ogromny żal i smutek do tego całego rozradowanego świata, w ten czarno-biały — wigilijny wieczór. Przystanął przed nie zastłoniętymi oknami parterowego domu, skąd szczególnie dochodził rozgwar. Starsi siedzieli przy stole, a dwoje dzieci bawiło się na podłodze elektryczną kolejką. Był nawet dworzec z semaforami i wyglądał jak prawdziwy.

Chłopiec odszedł od okna i pędem pobiegł w kierunku dworca wołając: „Tato, tato, tatusiu!”.

Jacek zjawił się w domu dziecka po świętach razem z innymi dziećmi. Był jakiś ponury, zamknięty w sobie i nie brał udziału w ożywionych rozmowach dzieci na temat spędzonych świąt. Nikt nie mógł wydobyć z niego żadnych zwierzeń. Jak spędził święta i gdzie, nikt się nie dowiedział. Nie opowiadał też już nikomu, jaki to był kiedys jego ojciec. Bo z tym ojcem, to też było nie tak.

Tata mu zmarł, gdy Jacek nie miał jeszcze dwóch lat. Nie pamiętał go więc wcale, a matka z jakąś niechęcią i skąpo opowiadała mu o nim.

Było to może w dziesięć dni po świętach. Siedziałem właśnie w gabinecie dyrektora, gdy ktoś zapukał i do srodku wtargnęła jakaś kobieta. Przedstawiła się kimś jest i z miejsca ruszyła z pretensjami do dyrektora, że wysłał jej syna do domu. Była to matka Jacka. Tupet i bezczelność szły u niej w parze. Bez żenady opowiedziała, co z Jackiem uczyniła, pouczając dyrektora, żeby go więcej do niej nie posyłał. Potem wyjęła z torebki rachunek za ustawienie zbitej przez Jacka szyby, żądając, by natychmiast zwrócono jej koszty tego rachunku.

Dyrektor wyprosił ją z gabinetu, a mnie zlecił przeprowadzenie z Jackiem delikatnej rozmowy, by się dowiedział, co chłopiec robił i gdzie się znajdował w czasie ferii świątecznych.

Zadanie nie było łatwe, bo Jacek się ułotnił, kiedy tylko zobaczył matkę na terenie ośrodka. Nie zjawił się także na obiedzie. Wszelkie poszukiwania go w parku, w ogrodzie i w pomieszczeniach ośrodka, nie dały rezultatu. Wreszcie wpadłem na myśl, by przejrzeć strych.

Siedział w kącie za starymi ławkami. Widziałem jego zaleknione oczy, więc powiedziałem: — Nie bój się, nie pójdziesz już więcej do mamy.

— Ja nie mam mamy, nie lubię jej.

A po chwili, patrząc uparcie w podłogę, z dziwną twardością w głosie: — Ja ją nienawidzę, nie chcę iść do niej!

Gdy to powiedział, zaczęły mu po twarzy spływać łzy. Naprawdę przykro było patrzeć, na ogromny żal i tak boleśnie zranioną miłość dziecka. Poglaskałem go po głowie, przytuliłem do siebie i wyjąwszy z kieszeni baton czekoladowy, powiedziałem: — Zjedz Jacusiu, bo na pewno jesteś głodny. Ale wiesz, zostały z obiadu naleśniki z dżemem. Lubisz je, prawda?

Kiedy już byliśmy na schodach, trzymając jego małą dłoń w swojej ręce, w wielkiej tajemnicy odezwałem się: — Stuchaj Jacek, tylko tobie to mówię. Jutro po lekcjach organizujemy w parku konkurs, kto najlepszego bałwana ulepi ze śniegu. Będą także nagrody.

— A jakie będą nagrody?

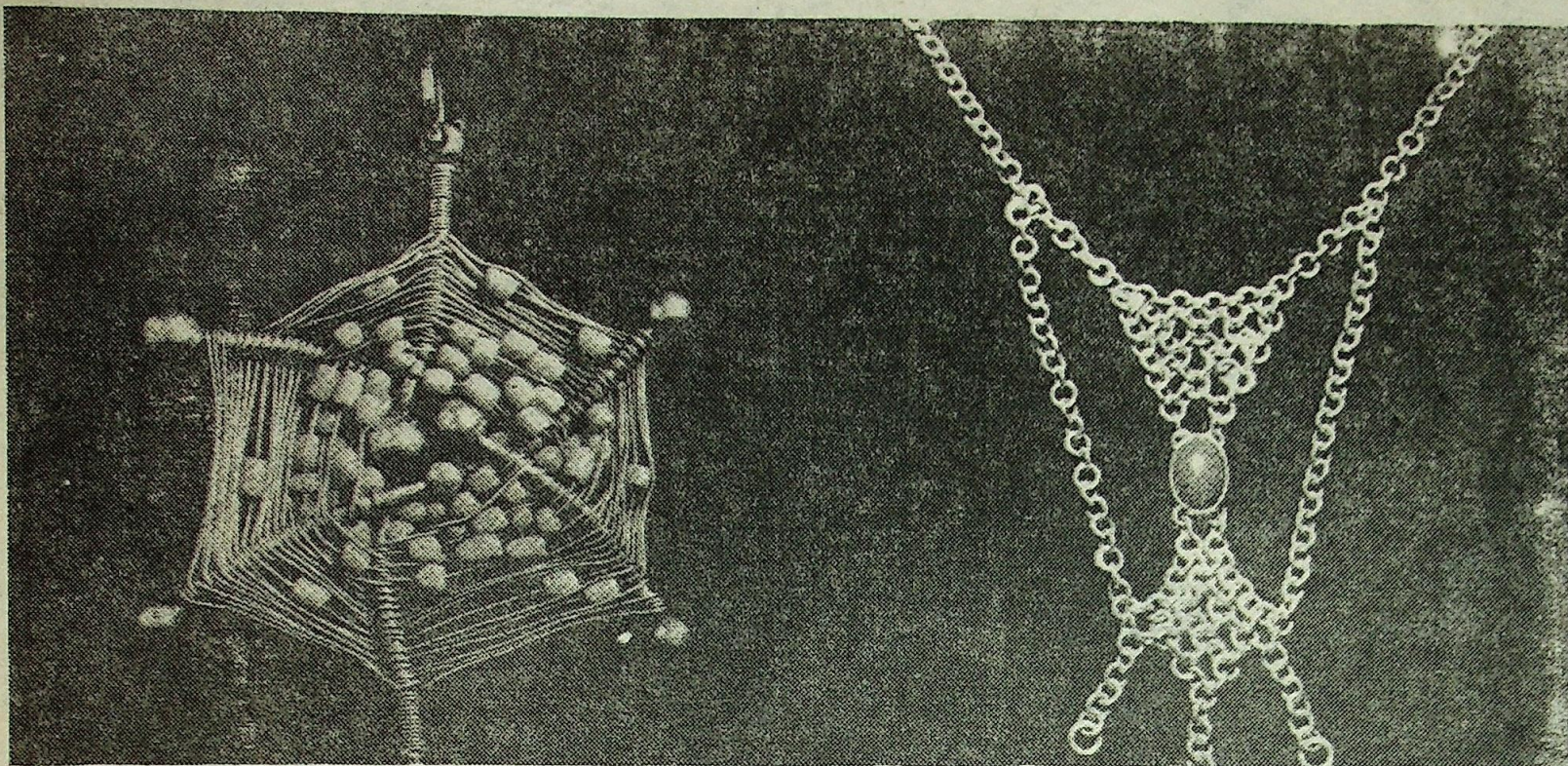
— O Jacusiu, dowiesz się o tym jutro.

Nachyliwszy się, poklepałem go delikatnie i życzliwie po policzkach. Twarzyczkę miał nad wiek poważną, ale w jego niebieskich oczach ujrzałem ogniki radości.

JAN MIELCAREK

Kolumnę redaguje:
RYSZARD ADAMOW

Coraz bardziej je lubią dziewczyny, złodzieje i banki. W ub. roku cena srebra na londyńskiej giełdzie wzrosła z ok. 300 pensów za troy uncję (31,1 grama) do 1067 pensów, czyli przeszło 3,5-krotnie. W tym samym czasie złoto „podskoczyło” tylko dwukrotnie. Obecnie biały metal jakby stanął, ale i tak przez cały rok utrzymywał się na poziomie 800 pensów.



Fot. Krzysztof Raczkowiak

DYSKRETNY UROK SREBRA

Roczna produkcja światowa srebra sięga 10 tysięcy ton, ale pokrywa jedynie 60 proc. popytu. Resztę trzeba brać z sejfów... A potrzeby rosną! Największym „zjadaczem” srebra jest przemysł fotochemiczny. Znana firma Kodak zużywa miesięcznie ok. 13 ton. Dużych ilości potrzebuje przemysł elektryczny i elektrotechniczny. Oblicza się, że aż 5 tys. ton srebra pochłonie produkcja rakiet typu Cruise, które Amerykanie chcą zainstalować w zachodniej Europie. Poza tym srebro przebojem wchodzi do pracowni jubilerskich. Staje się modne...

Wszystko to mogłoby pozostać dla mieszkańców Legnicy, Polkowic, Lubina czy Głogowa zwykłą ciekawostką, gdyby nie „drobny” fakt, że właśnie w pobliżu tych miast powstaje spory procent światowej produkcji białego metalu.

TROCHĘ HISTORII

Srebro jest metalem szlachetnym, znanym już 3000 lat p.n.e. starożytnym Egipcjanom. Zdarzało się, że w swojej długiej historii dość skutecznie konkurowało jako materiał na monety z innymi metalami, czasem całkowicie wypierając złoto. Najczęściej jednak złoty, czerwony i biały metal uzupełniały się jednocześnie pełniąc rolę pieniądza. Tradycyjnym dostawcą srebra był Wschód, zaś złota — kraje kultury śródziemnomorskiej.

W Polsce srebro wytapiano prawdopodobnie na długo przed Mieszkim. Największe ośrodki to Olkusz, a także miejscowości na Dolnym Śląsku: Boguszów, Wałbrzych, Jąbłów, Srebrna Góra.

Dolnośląskie złoża nie były eksploatowane zbyt energicznie. Ocenia się, że np. w XVI—XVII wieku górnicy z Boguszuwa i Jąbłowa dostarczali po 50-60 kg metalu rocznie. Podobnie było w Srebrnej Górze. Na przełomie XVII—XVIII wieku produkcja srebra na Dolnym Śląsku zamarła. Ale nie na zawsze...

Nowy rozdział w historii tego metalu otwiera odkrycie bogatych złóż rud miedzi między Legnicą a Głogowem. Jest to rozdział niezwykle pasjonujący, tak jak i skala produkcji srebra nie znana dotąd nie tylko w Polsce, ale i w Europie! Dziwić musi więc fragment książki Józefa Januszewskiego i Włodzimierza Koszarskiego pt. „Skarby Ziemi Dolnośląskiej” (Ossolineum, 1979), w którym czytamy:

„Obecnie drobne ilości srebra (podkreślenie moje) z kopalni rud miedzi niecki grodzieckiej i strefy podsudeckiej dostają się do hut miedzi w Legnicy i Głogowie (...).”

Ale zanim zobaczymy, jakie to są rzeczywiście ilości, wróćmy do historii.

W imperium muzułmańskim najbogatsze złoża srebra znajdowały się w Hindukuszu. Adam Mez przytacza w swojej słyn-

nej książce pt. „Renesans islamu” relację kronikarską o pracy 10 tysięcy górników pracujących na pięciu wzgórzach Pendżhir.

„Srebro pochodzi ze szczytu góry, która wznosi się nad miastem. W górze jest tak wiele wykopanych dziur, że zbocze wygląda jak sito. Górnicy odkrywają tylko te żyły, które zapowiadają większą ilość metalu. Jeśli trafią na taką żyłę, wtedy kopią tak długo, aż dotrą do srebra. Bywa i tak, że jeden człowiek kopie jedną żyłę, drugi zaś kopie w jej równoległej odnodze. Wtedy panuje zwyczaj, że zdobyczone należy do tego, kto pierwszy na nią natrafi. Do niego też będzie należała cała kopalnia. Oba więc zaczynają współzawodniczyć jak dwaj szatani. Kopią tak długo, póki świecą lampy i latarnie. Jeśli w czasie kopania światło zgaśnie, nie pracują dalej. Kto będzie pracował dalej, ten bardzo szybko zginie”.

Dzielnice łatwo wyglądało przy tym poszukiwaniu złota.

„Nocą, przy słabym świetle księżyca poszukiwacze oznaczali miejsca, w których coś błyszczało. Następnego dnia przemysłali te części piasku i mieszały złoto z rtęcią, stapiając je razem w amalgamat.”

Srebro wydobywano zazwyczaj „przy okazji”, eksploatując rudy ołowiu czy miedzi. Żeby je uzyskać w czystej postaci trzeba było sporo się jeszcze napracować w prymitywnych hutach. Czasem jednak znajdowano srebro rodzime. Np. w 1666 roku w Norwegii znaleziono bryłę o wadze 280 kg. Można ją podobno oglądać w muzeum w Kopenhadze.

ELDORADO POD... LUBINEM

Najwięcej srebra zawierają rudy miedzionosne, wydobywane przez kopalnię „Lubin”. Jest go tu dwa — trzy razy więcej niż w rudzie z „Polkowic” czy „Rudnej”. Metamorfoza szarych kamieni rudy w polyskliwości, biały metal jest dość złożona, a srebro przebywa ją w znacznej części razem z miedzią. Popatrzmy, jak to się dzieje.

Najpierw, w oddziałach flotacji kopalni powstaje koncentrat zawierający 17-25 proc. miedzi. Reszta to siarka, żelazo, skała płonna oraz także metale szlachetne, jak srebro.

W hucie koncentrat zostaje zbrakietowany i w tej postaci wędruje do pieców szubowych. Tu wytapia się tzw. kamień miedziowy, o 60 proc. czystej Cu. Dalsze wzbogacanie koncentratu, czyli eliminacja zanieczyszczeń następuje w piecach konwertorowych. Wypala się żelazo i siarka. Koncentracja czystej miedzi sięga już 85 proc.

Ostatnim etapem wspólnej wędrówki miedzi i srebra są piece anodowe i proces rafinacji ogniowej. Miedź anodowa to 99,2 proc. czystego czerwonego metalu.

Srebro oddziela się od miedzi w czasie elektorafinacji. Dotąd, w procesach spalania było to niemożliwe, gdyż oba metale podobnie zachowują się wobec tlenu. Elektorafinacja zaś wykorzystuje różnice tych metali, tkwiące w reakcjach na bodźce elektryczne. Miedź anodowa przechodzi w czasie elektorafinacji na katody, a srebro opada na dno (naczynia z elektrolitem) w postaci szlamu anodowego.

Miedź zostaje jeszcze przetopiona w podługne wlewki i w takiej postaci opuszcza huty.

Srebro jest w tym momencie jeszcze szarym, niezbyt atrakcyjnym... błotem. Stanowi 30 proc. szlamu anodowego. Reszta to miedź, ołów i siarka. W hucie „Głogów” szlam poddawany jest dodatkowo odmiędlowaniu. Po tej operacji zawartość Cu spada w nim do 1 proc.

Szlam anodowy przesyłany jest następnie z huty miedzi na Górny Śląsk. Tam, za pomocą oczyszczania ogniowego, czyli po prostu wytapiania, powstaje najpierw metal dore’a (ok. 90 proc. czystego srebra), a w końcu produkt o odpowiedniej próbie.

Pozostaje jeszcze sprawa najważniejsza: ile srebra produkujemy w Polsce i w samym KGHM-ie? Odpowiedź jest jednocześnie trudna i... banalnie łatwa.

Trudna, gdyż przepisy o tajemnicy służbowej zabraniają w KGHM-ie udzielania informacji na ten temat. Zdradzono tylko, że „90 procent polskiego srebra pochodzi ze szlamu anodowego”.

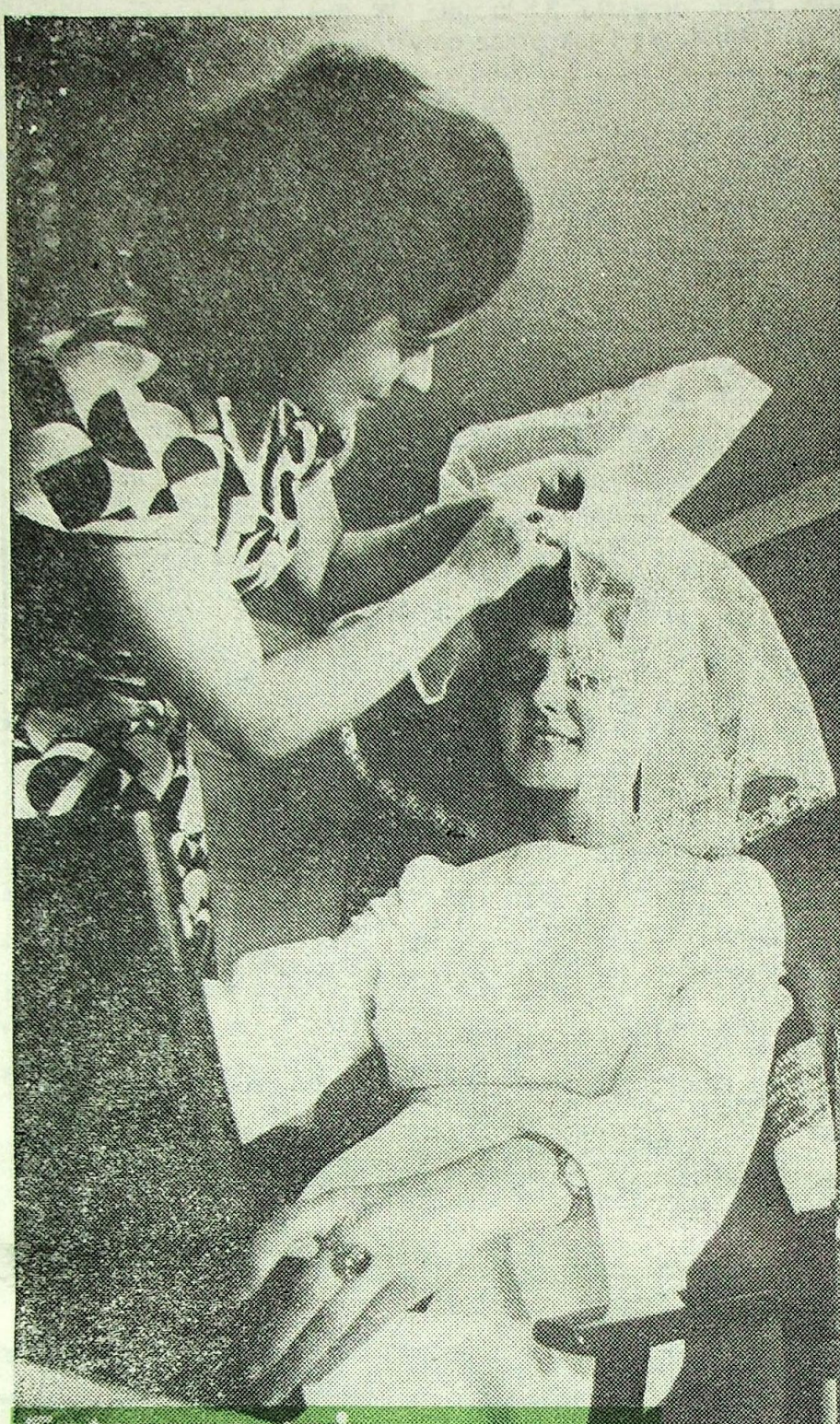
Łatwa o tyle, że wysokość naszej produkcji zna... cały świat, a także i Polska z... prasy! W „Przeglądzie Technicznym” z 4 maja br. Zdzisław Rurarz pisze, iż produkcję tę ocenia się w 1980 roku na 760 ton, co stawia nas na siódmym miejscu na świecie. Z tego wynika, że górnictwo miedzi dostarcza nieco poniżej 700 ton tego metalu.

PRZELICZNIKI

Dyskretny urok tej góry srebra tkwi przede wszystkim w konsekwencjach finansowych. Weźmy ceny z połowy listopada br. Na londyńskiej giełdzie płacono 850 funtów za tonę miedzi elektrolitycznej. Jedna troy uncja srebra kosztowała 806 pensów, czyli tona ok. 260 tys. funtów! W sumie tak liczony dochód ze srebra stanowi dwie trzecie zysku ze sprzedaży miedzi.

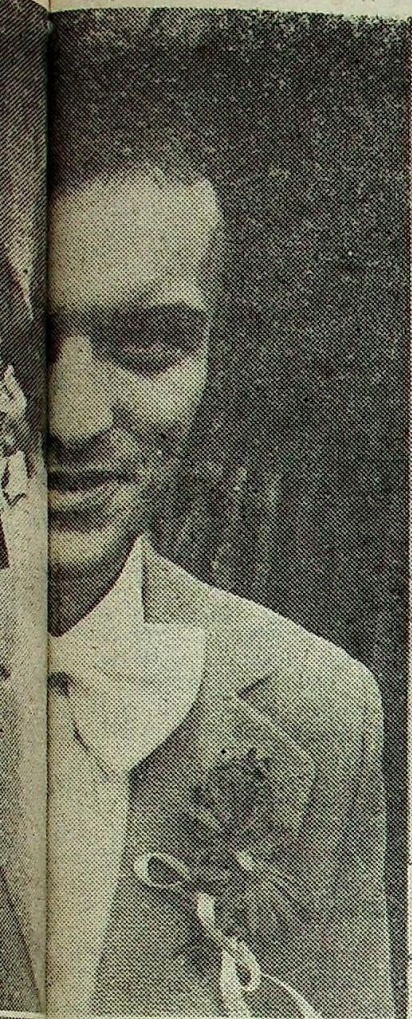
Nasi ekonomiści sztukę przeliczania posiadli widocznie dość dobrze. Sprawdza się też przysłowie o butach dla szewca. Bo ktoś po zwiedzeniu sklepów jubilerskich uwierzy, że jesteśmy „srebrnym mocarstwem”?

GRZEGORZ CHMIEŁOWSKI



Fotoreportaż
Krzysztofa Raczkowiaka





WEST



ŻYCIE JAK BAŚNÍ

Pisał w poemacie „Witeż w tygrysiej skórze” (po gruzińsku: „Wepchis Tqaosani”) Szota Rustaweli. Dzięki tego największego poety możemy porównać do losów Szekspira, Dantego i Cervantesa. Były równie burzliwe i równie tragiczne. Rzeczywiście był słuchany i wielbiony przez carycę Gruzji Tamarę, ale ostatnie lata swego życia spędził na wygnaniu w dalekiej od stron ojczystych Jerozolimie. Jakże były prawdziwe losy wielkiego poety — milczą starogruzińskie pergaminy dawnych kronikarzy. Ale historia jego życia przechowała się w narodowej legendzie.

Najczęściej bywa tak, że samo życie jest bardziej fantastyczne od legend. Oto w 1958 roku ukraiński pisarz Grigorij Plotkin odwiedził Izrael. W Tel-Awii, gdy dowiedziano się, że jest literatem, poradzono mu pojechać do Jerozolimy, na grób gruzińskiego poety Szoty Rustawelego. „Muszę się przyznać, że pierwszy raz słyszałem o tym — powiedział Plotkin. Od dzieciństwa chylłem czoła przed geniuszem autora „Witezia”, ale niczego nie wiedziałem o jego życiu. Odwiedziliśmy w Jerozolimie monastyr Świętego Krzyża, gdzie chyba rzeczywiście znajdowały się szczątki wielkiego poety.”

Klasztor Świętego Krzyża zbudowali Gruzini i od XII do XV wieku należał do ich gminy wyznaniowej. Od XVI wieku przeszedł we władanie greckiej cerkwi prawosławnej. Według informacji tamtejszych mnichów i krążących podań Szota Rustaweli spędził w nim ostatnie lata życia. Spędził je na modlitwie i pracy, a także działalności artystycznej — bowiem według podań ozdobił ściany klasztoru znakomitymi freskami.

Ta informacja Plotkina poruszyła całą Gruzję. Poeta i akademik Iraklij Abaszidze postanowił wspólnie z archeologami i znawcami życia poety pojechać do Jerozolimy i zebrać wiarygodne informacje o Rustawelim. Miał też nadzieję odnaleźć jakieś pamiątki po poecie, które mogły przechować się w prastarym monasterze.

Szota Rustaweli miał szczęście żyć w XII stuleciu, był to okres tzw. orientального renesansu, który wyprzedził europejski renesans o kilka stuleci. Gruzja — państwo powstałe z antycznych królestw Iberii i Kolchidy była u szczytu swej potęgi, panowali wówczas carowie Dawid, Jerzy III, a po nim jego córka Tamara. Gruzja miała za sobą 8 wieków chrześcijaństwa i 7 wieków piśmiennictwa w języku narodowym. Szota Rustaweli mając 17 lat zaczął pobierać nauki w Kolchidzkiej Akademii w Gelati. Miasto to było kolebką gruzińskiej kultury. Szota Rustaweli — młody, inteligentny i niezwykle chłonny otrzymał wszechstronne wykształcenie. Poznał literaturę i filozofię starożytnych. Wyuczył się też rycerskiego rzemiosła, został rycerzem — witeziem. Jednakowo sprawnie władał bronią jak umysłem.

Oto co mówi legenda o jego pierwszym spotkaniu z carycą Tamarą.

Na uroczystość zakończenia przez witezi geickiej akademii urządzono turniej. Przybyła nań sama caryca Gruzji — młoda i piękna Tamara. Zaczęło się od zawodów w jeździe wierzchem na koniu, w rzucaniu korni, grze na różnych instrumentach muzycznych.

Szota pobit wszystkich konkurentów, został bohaterem dnia. Kolejną konkurencją turnieju było układanie poezji. Wiersze Szoty zadziwiły i oszołomiły wszystkich. Również i piękna carycę Tamarę. Nigdy dotąd gruziński wiersz nie płynął tak lekko, tak melodyjnie, nikomu nie udało się przemawiać do słuchaczy z taką siłą. Tamara każe ogłosić że najwyższą nagrodę — złoty wieniec — otrzyma ten, kto strzałą ugodzi w jabłko leżące na jej ręce. Najlepsi strzelcy na kolanach błagali Tamarę, aby zmieniła postanowienie, gdyż naraża się na śmiertelne niebezpieczeństwo. Ona pozostała nieugięta. Wtedy nieoczekiwanie dla wszystkich wystąpił Szota, wziął w rękę strzałę, podszedł do carycy, lewą ręką przytrzymał jabłko a prawą wetknął w nie strzałę i przebił na wylot. Caryca nałożyła na głowę Rustawelego złoty wieniec laurowy. W tym dniu został zaproszony do stolicy, aby pełnić obowiązki nadwornego poety.

Życie na dworze obfitowało w barwne

Ja, Rustaweli, co miałem królową w gronie słuchaczy,
Midznur jej dworu, ta nazwa szaleńca z miłości znaczy,
Jak perły na sznur nizałem poemat. Niech przyjąć go raczy.

i wesołe wydarzenia. Na rozmowach i dysputach o filozofii Sokratesa, Platona i Epikura mijaly dni i wieczory. Po roku dworskiego życia caryca Tamara poleciła Rustawemu odbyć podróż do źródeł greckiej kultury, do Aten. — Podróż ta zapewni ci nieśmiertelność — powiedziała Tamara — ale mam jeszcze jedną prośbę: Swoje przeżycia przenieś na pergamin. Napisz książkę o miłości.

Legenda mówi o miłości Szoty Rustawelego do carycy Tamary, potwierdzają to strofy jego poematu:

Pięknej królowej Tamarze należy hold oddać muszę.

Nie pióro, ja sam z zachwyty schnący jak trzcina w posusze,

Piszę poemat agatem z jezior jej oczu, nie tuszem,

Ja, który w hymnach pochwalnych wciąż o nią swą kopię kruszę.

Niech poeta nie rachując rozsypuje kunsztu perty.

Tylko jedną niech ukocha, tylko jedną niech uwielbi.

Tylko dla niej niech zapada w całopalny szal niezmierzny.

Może czeka go nagroda jako róży kwiat wśród cierni.

Kiedy po latach powrócił Rustaweli do Gruzji, przywiózł Tamarze piękny podarunek — był nim poemat „Witeż w tygrysiej skórze”. Został napisany, nowatorskim na owe czasy, wierszem szairi, który nierozdzielnie związany jest z imieniem Rustawelego. (Szairi można porównać z greckim heksametrem Homera).

W swym poemacie wielbił Rustaweli nie tylko piękną i światłą Tamarę, ale przede wszystkim był rzecznikiem jej idei. Widziała ona swoje państwo nie jako kraj niewolników rządzonych przy pomocy siły, strachu i przelewu krwi, ale jako rycerskie państwo feudalne — oparte na wierności suwerenów (witezi).

Poemat był dziełem politycznym, choć opowiadał o ludziach i krainach fantastycznych, dotyczył współczesności. Walkę trzech wiernych witezi z czarnoksiężnikami „Kadżami o piękną Nestan Daredżan uważa się za metaforę walki feudalizmu z niewolnictwem.

Ten śmiały poemat przeraził dworaków i duchowieństwo. Uknuto dworską intrygę. Oskarżono poetę o holdowanie neoplaton-

skim ideom i zwalczanie Kościoła chrześcijańskiego. Trudno dziś powiedzieć czy również serce pięknej Tamary odwróciło się od poety. Może działała ona pod presją Rustaweli nie miał już zwolenników na carskim dworze. Ogolił głowę i zwyczajem mnichów-pokutników powędrował boso do Jerozolimy, szukając spokoju i ukojenia w monastyrze Świętego Krzyża.

Wróćmy teraz do rzeczywistości. Ekspedycja gruzińskich uczonych była kilka miesięcy w Jerozolimie. Bardzo starannie zbadała monastyr Świętego Krzyża. Konserwacyjne prace odsłoniły bardzo stare freski pokryte nowszymi tynkami. Spod kilku nawarstwień ukazała się podobizna poety Szoty Rustawelego, a o tym, że jest to właśnie jego portret świadczył umieszczony na niej napis w starogruzińskim języku: „Narysowanemu tu Szocie przebac Boże Amen” i nieco niżej dopisek „Rustaweli”. Było tam również kilka innych interesujących fresków. Przedstawiały one gruzińskich twórców. Uważa się, że autorem ich był właśnie poeta Szota Rustaweli.

Niestety, w monastyrze nie zachowały się żadne starogruzińskie rękopisy z tamtej epoki, ani żadne inne pamiątki. Istnieje prawdopodobieństwo, że manuskrypty z monastynu Świętego Krzyża, z epoki kiedy należał on do gruzińskiej gminy wyznaniowej, zawędrowały do Jordanii i być może zostaną tam odkryte przez kolejną ekipę archeologów. Najwspanialszą pamiątką, jaka pozostała po poecie Szocie Rustawelim jest jego „Witeż w tygrysiej skórze”. Pisał go w pełni sławy i łask ale w zakończeniu umieścił słowa, które jakże proroczo okazały się w odniesieniu do jego osoby.

Ziemia jest kruchym oparciem. Przemija jak obłok mgławicy.

Życie człowieka trwa chwilę, nie jest pewniejsze niż trawy.

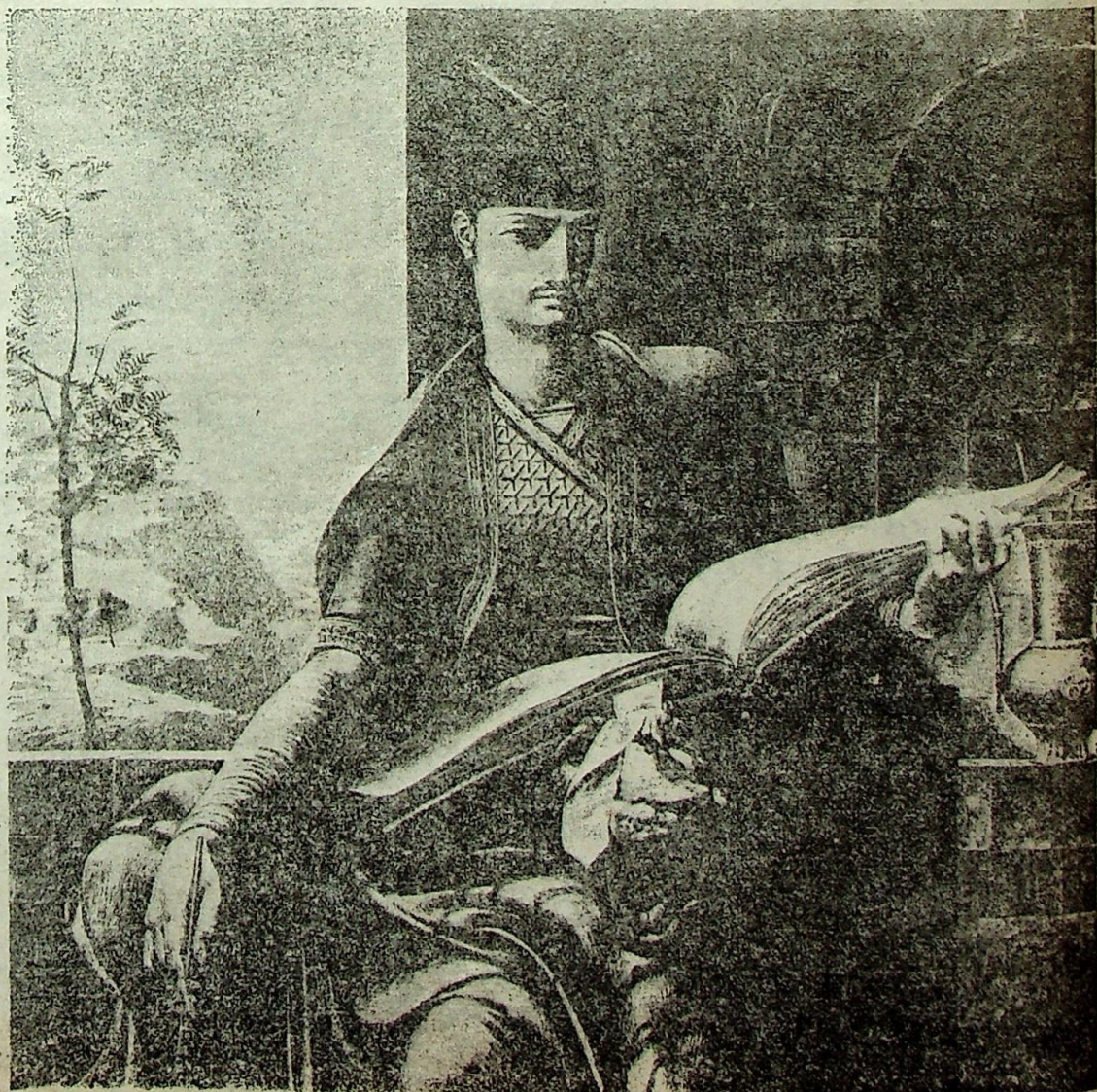
Los jest surowszy od kata, daremne z nim są rozprawy.

Tylko ten szczęście odnalazł, w kim śmierć nie budzi obawy.

IRINA RATIANI

I ELŻBIETA POMORSKA

W tłumaczeniu polskim poemat Szoty Rustawelego ukazał się po raz w 1961 roku. Przekładu dokonał Igor Sikirycki, tytuł brzmi: „Witeż w tygrysiej skórze”. W 1966 r. jeszcze raz wydano poemat pod tytułem „Wiciadz w tygrysiej skórze”, tego tłumaczenia dokonał Jerzy Zagórski. Stąd właśnie pochodzą fragmenty cytowane w tekście.



Szota Rustaweli pisze „Witezia” w tygrysiej skórze.

Karty podręczników historii, przewodniki i encyklopedie poświęcone dziejom Polski najczęściej miejsca przeznaczają — co zrozumiałe — na opisy zdarzeń, bitew, spotkań i intryg. Dużo tam ocen. Mniej ciekawostek. O kulturze materialnej także niewiele. A przecież klejnotów w Polskiej Koronie nie brakowało. Do dziś zachowały się nieliczne, porzucane zresztą po świecie pamiątki stanowiące niegdyś dumę królewskich skarbców.

Pierwszy sygnał o polskich skarbach księżych przynosi czeska kronika Kosmasy. Opisując rok 1039 w Polsce kronikarz stwierdza: „Brzetysław, wkroczywszy do Krakowa, zniszczył go do szczętu, zabrał łup, nade wszystko wywiózł odwieczne skarby przez dawnych książąt w skarbcu nagromadzone i ukryte: złota i srebra moc niezmierną”. Może i w określeniu takim było trochę przesady charakterystycznej dla średniowiecznych ksiąg, ale skoro o bajecznych bogactwach polskich władców tak chętnie rozpisywali się i inni kronikarze (wśród nich Gall Anonim) to w opowieściach musiało być choć ziarno prawdy...

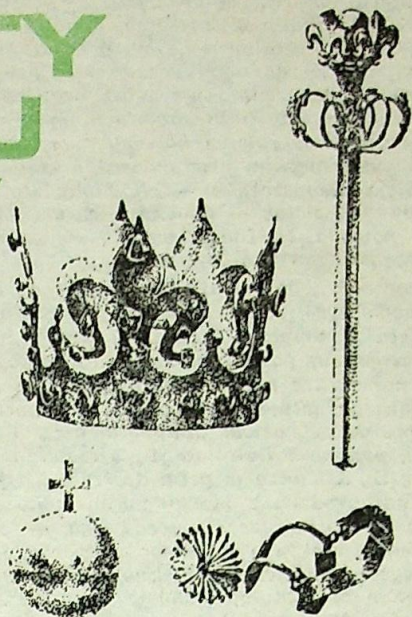
Koronny skarbiec z insygniami i koronacyjnym strojem powstał za Bolesława Chrobrego. Cesarz niemiecki Otto III podarował królewskie insygnia Bolesławowi w roku 1000 w czasie wizyty w Gnieźnie. Korona i włócznia zrobione były na podobieństwo cesarskich (ba, włócznia była wierną kopią włóczni św. Maurycego). Późniejsze losy insygniów otrzymanych od cesarza nie są dobrze znane. Po raz kolejny użyto ich dopiero w 1279 roku, gdy Przemysław II został księciem Wielkopolski. Do tego czasu dar Ottona przechowywano w skarbcu katedry wawelskiej. W czasie uroczystości koronacyjnej w gnieźnieńskiej katedrze okazało się, że oprócz korony i włóczni jest także berło. Ale, jak pisze Anonim, po koronacji Przemysława insygnia przepadły bez śladu. Wśród zaginionych kosztowności był również miecz koronacyjny zwany Szczerbcem.

Tak więc Władysław Łokietek musiał zacząć od zera. Na jego zamówienie powstały nowe insygnia, które od 20 stycznia 1320 roku (data koronacji Łokietka w krakowskiej katedrze) służyły polskim królom przez następne pół tysiąca lat. Miecz Łokietka stał się mieczem koronacyjnym i z czasem przywiązano do niego sławę i znaczenie Szczerbca Bolesławów. Bogato zdobiony miecz był przez współczesnych Łokietkowi uważany za symbol męstwa i potęgi królestwa. I rzeczywiście przez trzynastcie lat panowania, Łokietkowi sprzyjały gwiazdy. Potęga Szczerbca zgłasza niespodziewanie 2 marca 1333 roku. Łokietek — twórca nowych insygniów — pozostał w dziejach Polski postacią jasną, któremu historia pozwoliła stać się jednym z budowniczych naszej państwowości. I jednym z rządców, o jakich modlił się dla Polski poeta, rządców mocnych w mądrości i dobroci.

A może szczęście przyniosła Łokietkowi korona? Był to bowiem wyjątkowej krasy twór rzemieślników i jubilerów. Korona składała się z dziewięciu szczerozłotych płytek, tworzących regularną obręcz. Koronę robiono pod obwód głowy Łokietka. Kolejnym władcą diadem pasował. Dopiero w czasie koronacji Stanisława Augusta w 1764 roku okazało się, że koronę trzeba zmniejszyć o jedną płytkę. I od tej pory królewski diadem był mniejszy. Ponad płytkami znajdowało się złote jabłko symbolizujące świat, a na nim krzyż. Powierzchnię korony zdobiły kamienie. Szczyty lili więńczyły różyczki z czterech pereł; takie same ozdoby przymocowano przy wnękach trójliści. Wzdłuż dolnego brzegu korony biegł szereg kamieni w ten sposób, że niemal bezpośrednio świecił nad czołem, każda płyta miała ich trzy, a obok tego po bokach wielkich kamieni tej samej dolnej części rozrzucone były dwa inne. Drugi symetryczny rząd kamieni zdobił „szyję” lili, trzeci końcówki lici, a czwarty — ramiona. Na frontowej części mieściły się największe kamienie. Opis ten, przynajmniej, trochę zawiły przemawia do wyobraźni dosyć słabo. Potrzebniejsza wydaje się inwentaryzacja, która mówi, iż diadem składał się ze 117 kamieni większych, 280 mniejszych i 90 pereł. Były to rubiny, szmaragdy i szafiry. Wagi korony dokumenty niestety nie podają, a szkoda, bo wiedzielibyśmy, jakie to ciężary mieli na swych głowach polscy władcy.

Insygnia koronne Łokietka przez lata uzupełniano kolejnymi bogactwami. W „Pamiętnikach historycznych Huberta” z 1669 roku znajdujemy pełną informację o kolejnych przybytkach koronacyjnych. Przybyła korona królowej i dwie korony homagialne (uroczyste). Obu tych używali m.in. Jadwiga i Jagiello podczas odbierania hołdów.

KLEJNOTY POLSKIEJ KORONY



Korona, berło, jabłko królewskie i jedna z ostróg Kazimierza Wielkiego, znalezione w jego grobowcu w 1869 roku.

Hubert pisze jeszcze o tacy srebrnej pozłacanej, na której noszono koronę. W skarbcu spoczywały ponadto: berła, jabłka, Szczerbiec, miecze spod Grunwaldu, krzyże koronacyjne, ewangelizator do przysięgi. Na przełomie XV/XVI wieku skarbiec koronny był bardzo ubogi, ponieważ w latach 1475—1510 władcy nie dbali o klejnoty i korony. Dopiero Zygmunt Stary zaczął gromadzić artystycznie wykonane klejnoty, zaś jego syn Zygmunt August przeszedł do historii jako największy miłośnik świecidełek. Za jego czasów w skarbcu korony znalazła się między innymi czapka ozdobiona diamentami, rubinami i szmaragdami, oceniona na 300 tys. skudów, rubin wartości 80 tys. dukatów i 30 złotych rzędów wysadzanych kamieniami. Jego małżonka — Barbara Radziwiłłówna — słynęła w całej Europie z rzadkiej piękności sznura pereł.

Przeprowadzona po śmierci Zygmunta Augusta inwentaryzacja skarbcu wawelskiego ujawniła: pięć koron złotych i jedną srebrną pozłacaną, jabłko, berła, szaty koronacyjne, trony, wiele krzyży wysadzanych kamieniami, 36 cennych alzbantów, 49 łańcuchów kruszcowych, 16 medalionów, 14 noszeń, 5 noszeniczek, 14 zapon, 51 zawieszek, 1 zawieszniczko, 4 krzyżyki i godła do zawieszania, spinelle wielkości niezwyklej, 15 manel, mnóstwo pierścieni, wachlarze, diamenty, szafiry, rubiny, szmaragdy, korale, perły, wiele mieczów, szabl, bogatych pochw, pasów, strzemion, czapraków, ostróg, szyszaków, szturmaków, andziarów, sztyletów, pugańców, puklerzy, mebli, naczyń, szkatulek, kredensów, talerzy, łyżeczek itp. Nie brakowało kobierców, złotogłówów, srebrnogłówów, opon, obić, haftów. Słynne arras także należały do zbiorów Zygmunta Augusta, a potem do skarbcu.

Skarbcowi należy się oddzielna uwaga. Jego zawartość wędrowała wraz z tronem — z Gniezna na Wawel. Nawet gdy Zygmunt III przeniósł stolicę do Warszawy — klejnoty pozostały w podziemiach krakowskich i tam przechowywano je aż do upadku Rzeczypospolitej. Wawelski skarbiec mieścił nie tylko kosztowności, ale również dokumenty wagi państwowej. Do pobrania czegośkolwiek trzeba było mieć zgodę senatu i zezwolenie wszystkich stanów koronnych wydane na walnym posiedzeniu sejmiku. Ponieważ insygnia królewskie służyły w ceremonii religijnej i jako takie uważane były za sprzęt kościelny, więc w straży skarbcu jedną z najważniejszych osób był kapłan zwany kustoszem koronnym. Urząd ten wprowadzono w czasie panowania Wazów.

Otwarcie skarbcu i wydawanie jego wartości obwarowano biurokratyczną machiną przepisów (a mówi się, iż biurokracja to wynalazek ostatnich dwóch stuleci!) które określały szczegółowo porządek zdawania i przeprowadzania lustracji. W czasie wojen skarbiec przenoszono w inne, bezpieczniejsze miejsca. W porze koronacji Augusta

III Sasa (1733 r.) skarby królestwa ukryto w Częstochowie i o mały włos ceremonia by się nie odbyła, gdyż z powodu formalności nowy król nie mógł korony dostać. Zdenerwowany kazał zrobić we Wrocławiu nową koronę srebrną pozłacaną, którą zresztą po uroczystości oddał do skarbcu w Częstochowie jako wotum.

Komplikacje przy koronacji Augusta III były wynikiem rozrzućności jego poprzedników, którzy skarbiec koronny traktowali jak prywatną własność. Dlatego sejm zastrzył przepisy o wydawaniu klejnotów i insygniów. Słusznie uznano, iż poprzednie zakazy i nakazy były dla królów zbyt łatwe do ominięcia. Celował w tym Jan Kazimierz, który poczynił prawdziwe spustoszenia w skarbcu Korony Polskiej. Wywiózł on (nie wiadomo, czy za zgodą sejmu, czy samowolnie) wiele klejnotów do Francji i pozostawił w Saint Germain des Prés (gdzie w czasie rewolucji francuskiej przepadły) lub darował Annie Gonzadze, w której się kochał. Największą część skarbu Korony Jan Kazimierz zostawił w Gdańsku u osób prywatnych. Próżno Michał Korybut Wiśniowiecki próbował je odzyskać. W roku 1676 komisja królewska, powołana przez Jana III Sobieskiego dla zbadań zasobów skarbcu, już klejnotów nie znalazła, z wyjątkiem małej liczby przedmiotów. I ta reszta przepadła niebawem, oddano ją bowiem wraz z jedną koroną w zastaw elektorowi brandenburskiemu.

Znawca dziejów skarbców koronnych Feliks Kopera napisał w 1902 roku, że koniec skarbcu Korony nastąpił w 1700 roku. Próbkę jego odbudowy podejmuje w 1720 roku August Mocny. Jednakże udało się odkupić tylko część arrasów, które przywieziono na Zamek Królewski. Potem trafiły do komnat zaborców. Gdy Tadeusz Czacki w 1792 roku oglądał skarbiec na Wawelu stwierdził, iż z wyjątkiem insygniów i pamiątek nic nie zostało z dawnych bogactw. Zresztą kilka tych cennych suwenirów Czacki bez trudu pozyskał dla swoich zbiorów. Kopera podejrzewał, że Czacki przywłaszczył sobie zapewne także sandały małego Zygmunta Augusta, które potem były ozdobą muzeum Czartoryskich.

Inwentaryzacja dokonana przez Czackiego ujawniła w skarbcu pięć koron, berła, jabłko, Szczerbiec, cztery łańcuchy, nieco zbroi, chorągwi i drobiazgów. Wszystko to znikło, co potwierdza sporządzony w 1796 roku urzędowy akt o stanie wawelskiego skarbcu. Pozostał jedynie Szczerbiec. Nie ocalały żadne insygnia. Krążyły o tym różne legendy...

Z opisów XIX-wiecznych galerii rosyjskich, austriackich i niemieckich wynika, że tam właśnie ulokowano resztki koronnych bogactw. Potwierdza to Józef Kopera, który pisze, iż w 1795 roku zaborcy wyczyścili wawelski skarbiec do czysta.

CZESŁAW PAŃCZUK

Sąd Rejonowy w K. będzie miał nie la-
da orzech do zgryzienia. Sprawa bowiem
wydaje się być bezprecedensowa i wręcz
kuriozalna. Otóż 32-letni Lutostaw T., były
nieboszczyk, a w życiu doczesnym składac
ręczny, czyli zecer, zatrudniony w Wojewódz-
kim Przedsiębiorstwie Usług Poligra-
ficznych w K., wniósł pozew przeciwko
dwóm żalobnikom, braciom Antoniemu i
Stefanowi Z., oskarżając ich o dotkliwe po-
bicie, w którego wyniku doznał utraty gór-
nych siekaczy, złamania żebra oraz pęknię-
cia żuchwy, nie licząc dalszych, mniej zna-
czących, choć równie bolesnych i szpetli-
wych dla męskiej urody obrażeń ciała. Akt
pobicia nieboszczyka — chciałoby się rzec:
profanacji zwłok — miał miejsce na pogrze-
bie powoda, tj. Lutostawa T., w ostatnim
dniu października br.

Początki jego sięgają jednak wiosny tegoż
samego 1980 roku, kiedy to Lutostaw T.,
świętując wypłatę i radosny dzień święta
ludzi pracy, poznał pannę Barbarę Z., 25-
-letnią siostrę przyszłych profanów, kelner-
kującą aktualnie w restauracji kategorii III
o proroczej nazwie „Zapomnienie”. Proro-
czej, ponieważ Lutostaw T., ujrawszy Bar-
barę Z., dziewczę w pełni dojrzałe i o prze-
cudnej urodzie, z maciupeńkim tylko fele-
rem w postaci zęza lewego oka — zapo-
mniał z punktu o całym bożym świecie, za-
chwycony nieziemską piękną szeregowej
funkcjonalności gastronomii miejskiej. Fe-
ler zaś zlekceważył zupełnie, jako że bę-
dąc po kilku supermocnych toastach, tzw.
„ogniach Donbasu”, składających się z pół
na pół z wina i spirytusu — obejmował i o-
ceniał całość obiektu, a nie drobne i w grun-
cie rzeczy nic nie znaczące szczegóły. Zresz-
tą inne szczegóły, odpowiednio zaokrąglo-
ne, zdawały się być w jak najlepszym ga-
tunku i akuracie na swoim miejscu. I, ku
zadowoleniu Lutostawa T., były. A prze-
konał się o tym już rankiem następnego
dnia, albowiem to pierwsze spotkanie z pię-
kną córą gastronomii skończyło się w spo-
sób ogólnie przyjęty i respektowany, czyli
w jego, Lutostawa T., mieszkaniu. Nieste-
ty, jedynie w połowie jego, gdyż dzielił po-
kój z niejakim Zenonem W., też zecerem
choć z gęby wrednawym, co Basia spostrze-
gia od razu, ledwie rzuciwszy nań okiem.

I facet, jak się okazało, był istotnie moc-
no wrednawy, a nawet świnia, i to nie tylko
z gęby, bo ilekroć przychodziła panna Bar-
bara — a po debiutanckiej randce, zasma-
kowawszy wielce, zaczęła przychodzić nie-
mal codziennie, a niekiedy i dwa razy dzien-
nie — siedział kamieniem w domu odpo-
czywając niby, miał pójść na spacer, oglą-
dać wystawy lub wziąć godziny nadliczbo-
we ku pożytkowi Wojewódzkiego Przedsię-
biorstwa Usług Poligraficznych i za zgodą,
rzecz jasna, odpowiedniego ogniwa Związ-
ku Zawodowego Pracowników Poligrafii.

Ponieważ mieszkanie panny Barbary Z.
— zagęszczone dwoma braciszkami, mamu-
sią, trzydrzwiową szafą i psem godności
„Knap”, a rasy czysty kundel — również
nie stanowiło oazy intymnego spokoju, w
której by można z powagą, bez świadków,
mamusi i psa dzielić się płomiennymi uczu-
ciami, zakochani, tj. Lutek i Basia, ekskur-
sowali często — i z coraz większą ochotą
— za miasto i z dala od ludzi wysiadu-
wali godzinami pod samotnym, starym dę-
bem, wstuchiwali się w skrzyp sędziwych
konarów, marzyli, bawili się żółędziami. I
nie tylko żółędziami. Niekiedy Lutostaw T.
deklamował własne utwory, bo będąc zecer-
em, był również wieszczem. Utajonym, nie-
stety, bo nie drukującym. Za to niebawem
płodnym, gdyż literacę od roku zaledwie,
zdążył powić i tu zupełnie bez jakichkol-
wiek bólów porodowych, osiemdziesiąt dzie-
więć poematów, sześćset dwadzieścia sie-
dem utworów drobniejszych, w tym czter-
sta trzydzieści jeden fraszek i aforyzmów,
oraz tysiącstronicową powieść psychologicz-
ną o pełnym głębi intelektualnej tytule „A-
niol w więzieniu”. Autobiograficzna niejako,
ponieważ Lutostaw kiblował. Nawiasem
mówiąc, cztery latka. Za niewinność, ma
się rozumieć, czyli za brata — jak mawiał
on sam.

Zakochani siadali tedy pod samotnym
dębem, deklamowali Lutosiowe poematy,
marzyli i oddawali się igraszkom. Z żo-
łędziami, rzecz jasna. Kiedy jednak zbyt
często wysiaduje się we dwoje pod samot-
nym dębem, marzy i igra z żółędziami, zaw-
sze — chcąc nie chcąc — można coś wysie-
dzić, niekoniecznie zresztą siedząc.

No i po niedługim czasie wysiedzieli. To
wysiedzieli, oczywiście, co wysiedzieć mu-
sieli. Nie, bynajmniej nie „wilka”, jako że
Barbara zaczęła szybko przybierać w pa-
sie i wyżej, a „wilk”, jak wiadomo, lubi

przybierać zgola gdzie indziej i w miejscu
mniej widocznym dla postronnych oczu.

I wtedy właśnie, gdy co do przyczyny o-
wego tycia Basinowej talii nie było już
wątpliwości, awansowany na tatusia Luto-
staw T., przekonany, że nie tylko przyszle-
go dziadziusia, ale i mamusię posiadał na
wiek wieków, z przegromnego szczęścia za-
balował okrutnie, racząc się przez trzy dni
z wrednawym Zenonem W. „ogniami Don-
basu”, preparatem dzikawym raczej, lecz
nad wyraz skutecznym. Tak skutecznym, że
po trzech dniach Lutostaw T. musiał na
dwa dzionki spażować i lizać rany bala-
wania, konsumując białe pastylki z krzy-
żykiem i zieloną lemoniadą ziołową marki
„grovermit” za dwadzieścia sześć złotych,
choć pochodzi z polskiego Grodziska, a nie
— dajmy na to — z boskiego Olimpu.

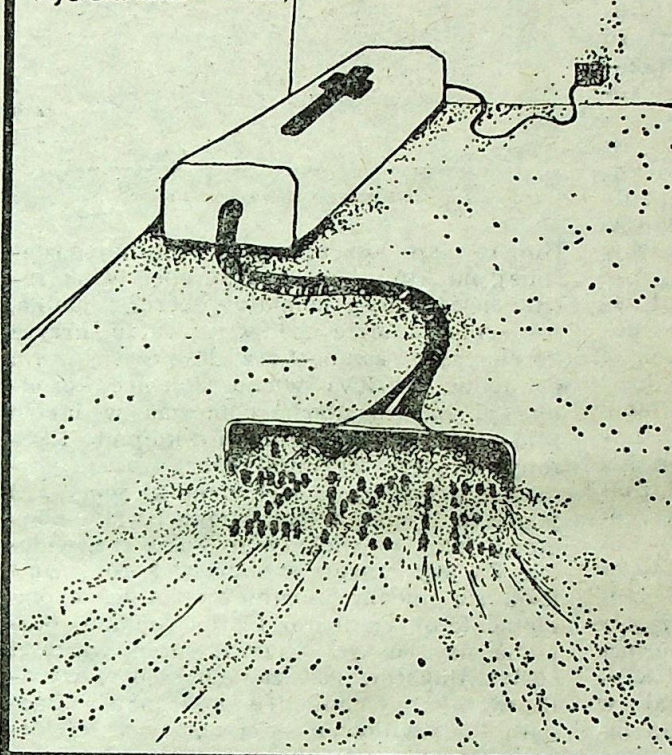
Co by jednak nie powiedzieć, lemoniada,
mimo że nie olimpijska, pomogła, bo Lutostaw
T. przestał szwankować na głowie, doszedł
do siebie, odzyskał rozum i bystrość wzro-
ku. A jak tylko odzyskał, skonstatował z
radością, że wraz z przybieraniem w pasie.
Basia nic a nic nie przybiera na zęcie. A
ta jego radość była tak autentyczna, tak na-

Daremnie Lutostaw T. prosił, błagał, za-
kładał — bracia pozostali nieugięci. Wów-
czas, zdesperowany, boć przecież rzucał per-
ty między wieprze, chwycił się ostatniej deski
ratunku, mniemając — może zresztą i słusz-
nie — że pijących poetów traktuje się ina-
czej niż pijących zecerów. Jął więc swe go-
rące prośby wywodzić w mowie wiązanej,
deklamując własne poematy i utwory drob-
ne. Ale w poetyckim transie przeholował.

Bracia słuchali cierpliwie przez całą go-
dzinę, później nie zdzierżyli i poszczuli na
niego psa nazwiskiem „Knap”. Kundlowa-
te psisko było jednak niemrawe, bo ogra-
niczywszy się do jednek nogawki — zba-
stowało. Ale nie zbastowali bracia, bo pu-
ścili w ruch kulaki i kończyli dołne, skła-
niając go w niejakim pośpiechu wynieść
się z mieszkania.

Lutostaw T. wrócił do domu sponiewie-
rany, zelżony i bez prawej nogawki, prze-
konany jeszcze bardziej, że bez Basi nie ma
dlań życia, co wyznał bez owijania wredna-
wemu Zenonowi W. Ów najpierw się ro-
zeźmiął, a następnie przyszedł z radą, że
jeśli on, Lutek, nie ma dojścia do Basi,
to niech tak zrobi, by ona miała dojście

Rys. Stanisław Graczyk



**„WESOŁO
BYŁO
NA MOIM
POGRZEBIE”**

rywająca i pęczniejąca w nim, że aż z tej
radości Pobił Barbarę po buzi, wpięrow o-
czywiście pobalowałszy co nieco.

Siniaki na licu otworzyły wreszcie Barba-
rę Z. oczy, albowiem wyszłochawszy się
rzewnie i do woli, otarła słone ślęzy i zo-
baczyła Lutostawa T. takim, jakim był w i-
stocie, to znaczy nie zecerem i poetą, nie
autorem „Aniola w więzieniu”, lecz plat-
fusowatym kryminalistą i mizernym pijacz-
kiem z łysiną pośrodku wyliniatego czerepu.
A że będąc kelnerką miała w sobie ową
hardość właściwą całej naszej gastronomii,
machnęła na Lutostawa T. ręką i przestała
przychodzić pod samotny dąb. Lutostaw T.
natomiast chodził przez tydzień i wyczeki-
wał daremnie, zanim pojął, że został porzu-
cony. Wtedy zaś, rozumiejąc co stracił, po-
padł w iście szaloną rozpacz. Tak szaloną,
że niepomny na niebezpieczeństwa czyha-
jące ze strony braciszków, udał się do do-
mu Barbary Z. z zamiarem wyblagania
audiencji. Wierzył bowiem, był o tym prze-
konany, iż dysponuje taką elokwencją, któ-
ra bez trudu zdoła na powrót przekonać ją,
tj. Basię, ku niemu, Lutkowi.

Bracia Barbary — Antoni i Stefan Z.
— przyjęli go wrogo, nie od razu bili.
O audiencji jednak słyszeć nie chcieli. Ba-
sia, oświadczyła, wychowa dziecię sama,
ewentualnie z ich, braterską pomocą i pod
okiem mamusi. Jego, Lutostawa T., wred-
nej opieki nie potrzebuje i nigdy potrze-
bować nie będzie, bo odziedziczy po mamu-
si, która już ledwo-ledwo, zakład krawiec-
ki na sześć manekinów. Niech on tedy spły-
wa na złamanie karku i więcej nie na-
chodzi ich niewinnej siostrzyczki. I niech on,
alkoholik, pamięta, że kto szuka, ten znaj-
dzie. Nie Basię, naturalnie, lecz dużego gu-
za. I to szybko. Bo oni, trzeba mu wie-
dzieć, są fryzjerami, a to nerwowy fach.
I niech on te sentencje raczy se dobrze
zakotłować w wyliniatym z pijaństwa
łbie.

ao niego, czyli niech uczyni z siebie niebo-
szczyka, bo na pogrzeb Basiuleńka ani chybi
przyjdzie.

Lutostaw T., człek bystry, bo bądź co bądź
zecer, w lot podchwycił radę — i zaczął
realizować. To znaczy zaraz wydrukował
klepsydry o własnym tragicznym zgonie,
Zenon W. zaś rychło ponaklejał je na bra-
mie kamienicy, w której mieszkała Barba-
ra wraz z mamusią i braciszkami. I ona
też, Barbara, pierwsza wyczytała ową stras-
ną wiadomość. Straszna, boć przecie mimo
wszystko coś tam pikalo w niej ku Lutko-
wi T., i dlatego, jak wypada, zemstała zu-
pełnie i prawidłowo. A potem, kiedy jako
tako ożyła, ze skamieniałym z bólu sercem,
zaczęła przygotowywać się do pogrzebu, to
znaczy sprawiła sobie czarny kostium, takiż
kapelusz i woalkę.

Mamusia patrzyła na te przygotowania
zezem, bo zmarły, choć zmarły i to tragicz-
nie, był lajdakiem. Braciszkwowie w zasa-
dzie, co do lajdaka, to owszem. Jednak ten
lajdak był ojcem przyszłego dziecięcia Basi.
Należało zatem, ich zdaniem, mimo wszy-
stko uczcić jego pamięć. I postanowili to-
warzyszyć nieszczęsnej siostrzyczce w cere-
monii pogrzebowej.

Jakież jednak było ich zdziwienie, kiedy
przybywszy w dniu pogrzebu do domu ża-
łoby — a przybyli w krepach, czarnych
krawatach, z wieńcami itp. — zastali „nie-
boszczyka” nie tylko mocno żywego, ale
i wielce podochoconego, bo kończącego
właśnie drugą półlitrowkę żytniej z wred-
nawym Zenonem W. Braciszkwowie nadzi-
wiwszy się co nieco, rychło przestali się
dziwić. A jak już przestali, to odrzucili wień-
ce, wpadli w okropny szat — i zaczęli bić.
A skoro już zaczęli bić, bili mocno i długo.
Nawiasem mówiąc, Zenona W. również, choć
może mniej zjadale.

RYSZARD ADAMÓW

Na przystanku Mady nie było, usiadłem na ławce i czekałem, po kilkunastu minutach wstałem, wyszedłem przed na okrągłych wysepkach przyszytych trawy. Tak doszedłem do rogu Zbawiciela, krótkiej ulicy, której poszerzony wylot tworzył niewielki placik ze stojącym pośrodku pomnikiem jakiegoś Józefa Alfreda. Ów Józef Alfred musiał pole. Wydawało mi się, że pomnik ten widzę po raz pierwszy, ale było to mało prawdopodobne, zbyt często przecież tędy przechodziłem. Nie wiedziałem jednak, kim był Józef Alfred i co takiego mu zawdzięczam. I ze wstydem przystankich stron — oczywiście daremnie. Wyglądał na wzniesiony niedawno. Płyty i bryły marmuru jaśniały wciąż świeżością, na metalowych okuciach cokołu nie znać było śladu patyny. Sam Józef Alfred przypominał uczonego — broda, okulary, coś w rodzaju surduta — lub wielkiego polityka; na pewno jednak nie był wojskowym (przeczył temu ubiór), co stwierdziłem — nie ukrywam — raczej z żalem: bądź co bądź najwspanialej na pomnikach prezentują się wojskowi, a H. zaś, nie bez słuszności, uchodziło od wieków za kolebkę generałów.

Okrążyłem Józefa Alfreda i ruszyłem z powrotem w kierunku wiaty, teraz już szedłem znacznie szybciej, gnany obawą przegapienia Mady.

Na ławce pod wiatą siedział staruszek w przedpotopowym, popielatym piłśniaku opasanym czarną wstążką. Na mój widok uśmiechnął się, dotknął dłonią piłśniaka i przesunął się na skraj ławki, ruchem tym zachęcając mnie do zajęcia miejsca. Uprzejmość ludzi starych, niekiedy przesadna, pełna nie spotykanej już wśród mojego pokolenia galanterii, zawsze mnie zaskakuje i oświeca. I chyba dlatego w takich wypadkach reaguję żywiołowo. Wykrzyknąłem głośno dwa razy: „Dziękuję! Och, dziękuję panu!” — i zażenowany umilkłem; zabrzmiało to bowiem jakoś hałaśliwie, prawie wulgarnie. Stary człowiek musiał zauważyć moje zmieszanie, bo nieco zdziwiony spojrzał na mnie iskrzącymi się oczami. Jego zaskakujące młode spojrzenie, pozbawione drwiny, niosło niemałą pobożność.

— Oglądał pan Józefa Alfreda? — zapytał lub raczej stwierdził, gdyż nie czekając na odpowiedź, dodał: — Szalenie, szalenie interesująca postać, nieprawdaż? Uwierzy pan, że miał zaledwie pięć stóp wzrostu, a do historii wszedł nie przekroczywszy trzydziestego roku życia?

Pochylił głowę i wyczekująco zerknął spod ronda kapelusza. Twarz miał jak skorupa orzecha: bruzdy, zmarszczki, sine niteczki żyły, tylko oczy — jasne, roziskrzane, pełne entuzjazmu — zachowały blask młodości.

No i wczepił się jak rzep psiego ogona! Zrobiło mi się głupio, ten Józef Alfred musiał być Wyjątkowo Wybitną Postacią, a ja, ciemny jak tabaka w rogu, nigdy o nim nie słyszałem.

— Przepraszam pana — powiedziałem najłagodniej jak mogłem — przepraszam, ale... co takiego zrobił Józef Alfred?

— Jak to co?! — zawołał starzec. — Uwolnił świat od potwora! Czy pan nie jest mieszkańcem H.?

— Owszem, to znaczy... od niedawna, od bardzo niedawna — skłamałem. No, gdybym potrafił się czerwienić wyglądałbym pięknie — jak pomidor na krzaku (u nas w H. mówiło się: „Jak dupa cioci Salci”).

— Och, tak — odetchnął z wyraźną ulgą. — To w pewnym sensie tłumaczy pana... Powiadam: „w pewnym sensie”, bo Józef Alfred był i rzecz jasna jest! jest! a jakże! — postacią ogólnie znaną, na miarę... nie waham się powiedzieć — europejską, a nawet, zważywszy czego dokonał...

A niech go, nagle!... W końcu, kim był ów Józef Alfred? Właśnie chciałem o to zapytać, kiedy starzec zamachał śmiesznie rękami, zerwał się z ławki, dygnął i uchylając kapelusza powiedział:

— Pan pozwoli: Antoni Maria M., emerytowany pułkownik.

Wstałem, wymieniłem nazwisko i przedstawiłem się jako... hodowca; stopnia wojskowego przeze mnie nie podałem — plutonowy rezerwy! Brrr! Brzmiało to jak wszystkie grzechy naszej armii.

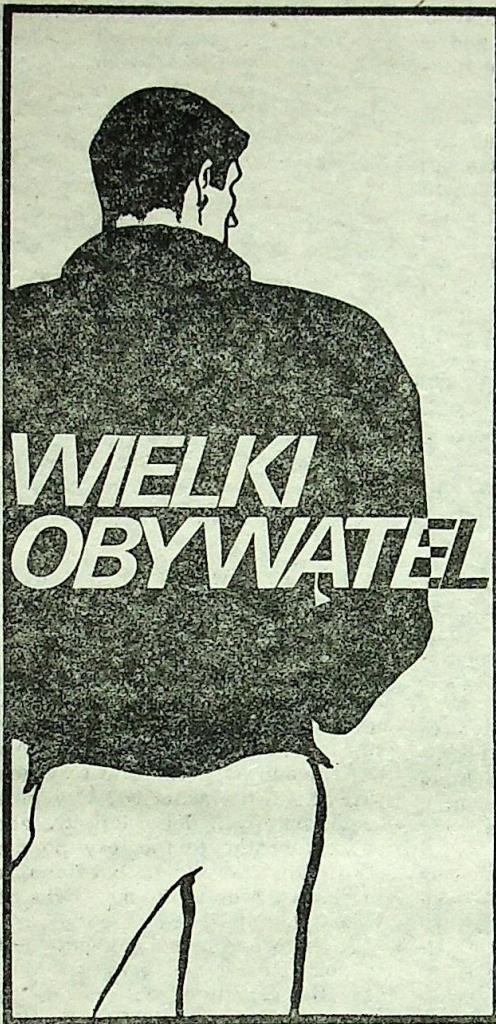
— A więc to pan hoduje te piękne świnki?

„Piękne świnki!” Pomyślałem, że emerytowany pułkownik Antoni Maria M. musi być niewąskim wariatem. Ale na wariata nie wyglądał.

— Gratuluję panu — powiedział; znów dyg i ruch kapeluszem. — Wyhodował pan wspaniałe stado.

— Broń Boże! — zawołałem. — Nie znoszę zapachu świń — hoduję psy.

— Nie znosi pan zapachu świń? — powtórzył pułkownik wielce, jak mi się wydawało, zdumiony. — Ależ, proszę pana, ich zapach jest niejako organicznie związany z H., bez niego nie wyobrażam sobie... urwał, pociągnął szpiczastym nosem: łapał woń świń. — Tak — podjął — nie wyobrażam



(Fragment powieści przygotowanej do druku)

sobie... — znów urwał, tym razem na dłużej.

No i Bogu dzięki. Wcale nie byłem ciekaw, czego nie wyobraża sobie emerytowany pułkownik M. bez smrodu świń. Okazało się, że zbyt pośpiesznie dziękowałem Bogu, pułkownik najwyraźniej zamierzał dłużej babrać się w smrodach, bo to, kiedy ponownie usiedliśmy na ławce, powiedział:

— Każde miasto, proszę pana, ma swój zapach, miasta bez zapachu są martwe, zapach jest symbolem trwania, nieugiętości, uporczywości. Zapach, proszę pana, jest wizytówką społeczności... Niech mi pan wierzy, teorię zapachów zgłębiłem doszczętnie. Zna pan prace profesora Rina? Radzę przestudiować koniecznie „Rolę zapachów w historii ludzkości”, fundamentalne dzieło. Czy wie pan, że ulubionym zapachem Aleksandra Wielkiego była woń padliny? Hannibal, ów kartagiński, kolos, uwielbiał fetor moczu wojowników; Cezar — ekskrementów końskich i — przyznaję, co jest nieco dziwne — baranich, a Napoleon?!... właśnie! Napoleon Bonaparte przepadał za zapachem SWIŃ! Tak, tak — świnek, chlewni, obory! To byli tytani, ludzie, którzy tworzyli i kształtowali historię państw swymi i swym geniuszem, którzy, rzecz można, wiedli świat na smyczy... A teraz niech pan posłucha uważnie: Ludwik XVI rozkoszował się wonią róż, Mikołaja II podniecała miętą, Wilhelm II wpadał w ekstazę wachając karmelki, a dla Ludwika Napoleona, owego karla, owej karykatury Wielkiego Stryja, nie było miłszego zapachu od — wprost trudno uwierzyć — od perfum! Damskich perfum! I czego ci ludzie dokonali? Zaprzepaścili wspaniałe państwa, potężne armie...

Nadal jednak nie wiedziałem, kim był Józef Alfred i co ludzkość mu zawdzięcza.

— Kim był?! — zawołał pułkownik, okrzykiem tym odpowiadając na moje nieśmiałe pytanie. — Kucharzem, mój panie! K-u-u-cha-rzem! — powtórzył, wykrzykując oddzielnie każdą literę, jak gdyby chciał słowo to wbić na wieki wieków w moją otumanioną głowę. — O tym wie każde dziecko w H.

— Przepraszam — bąknąłem ze skrucą — wspominałem już, o czym pan pułkownik raczył zapomnieć, że dopiero od niedawna mieszkam w H. Czy pan pułkownik powiedział: „kucharzem”?

— Tak, tak właśnie powiedziałem — przytaknął, i już innym tonem, bardziej łaskawie:

— Był kucharzem kardynała Adriano Castelli da Corneto, początek XVI wieku, czasy Aleksandra VI Borgii, pojmuje pan?

— Ach, tak — powiedziałem, choć rozumiałem mniej niż na początku.

— Otóż właśnie nie kto inny, lecz Józef Alfred, na uczcie wydanej przez kardynała Adriano Castelli da Corneto, otrul Aleksandra VI i usiłował otruć tę kanalię, Cezara. Zważywszy jakimi potworami byli ów zboczony papież i jego synalek, Józef Alfred zasługuje na wieczną wdzięczność ludzkości, a czyn jego na podziw najwyższy i szacunek, czyż nie tak? (...)

Nagle ucichł, nachylił się ku mnie i konfidencjonalnie:

— Niech pan posłucha, młody przyjacielu, w mieście działa od roku Towarzystwo Miłośników Józefa Alfreda, zamknięte, bardzo ekskluzywne, przyjmujemy, że tak powiem, wybranych, tylko wybranych, żadnej hołoty... Przypadł mi pan do gustu, jest w panu coś, co mi się podoba... ja, pułkownik Antoni Maria M., wprowadzę pana do Towarzystwa, udzielię wszelkich potrzebnych rekomendacji, a ze mną, mój panie, ho! ho! ze mną się liczą — no, zgoda? (...)

— Zatem proszę przyjść do siedziby Towarzystwa, powoła się pan na mnie, nazwisko pułkownika M. jeszcze coś w tym mieście znaczy, przekona się pan. Ale wpierv niech pan przeczyta tę książkę.

Wręczył mi wyjętą z wewnętrznej kieszeni marynarki małą, kilkudziesięciostronicową książeczkę: „Życie i dzieło Józefa Alfreda; przez pułkownika sap. Antoniego Marię M.”.

Nie wiedziałem, co oznacza przed nazwiskiem owego „sap.”, ale książka, choć cieniutka, była książką.

— Pan pułkownik jest pisarzem? — zdumiałem się nie mogąc opanować zazdrości; od roku, to jest od chwili, kiedy pojawił się August F., marzyłem o własnej książce.

Syknął, gwałtownie zatrząsał rękami, z niesmakiem spojrzał na mnie ścigając starczą twarz — z każdej zmarszczki, z każdej bruzdy i z każdej rysy wyzierała pogarda.

— Jestem saperem, mój panie. Saperem! Rzucił we mnie tym słowem jak kamieniem, zaraz wstał, uchylił kapelusza. Zaniepokoiłem się: czyżbym go obraził? Czyżbym obraził pułkownika, bądź co bądź pułkownika?

Ale nie.

— Proszę przyjść, koniecznie — powiedział miękko, a nawet się uśmiechnął.

— Tak jest, panie pułkowniku! — zerwałem się z ławki, ściągnąłem stopy i — niech to szlag trafi! — przez chwilę byłem plutonowym, tylko plutonowym.

Pułkownik oddalił się powłócząc z lekka nogami, ja zaś wyprężony, długo gapilem się za nim z niemyym szacunkiem.

Do Paryża się wybierasz? Zazdroszczę! — mówił każdy znajomy. Nikt z nich wprawdzie Paryża na oczy nie oglądał, ale nieprzemijająca legenda tego miasta niezmiennie działa na wyobraźnię. Ach, ten Paryż...!

ACH TEN PARYŻ

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

1 PARYŻ przywitał nas strajkiem. Taśma, na której miały się pojawić walizki należące do pasażerów lotu nr 298 z Warszawy, stała nieruchomo. Młoda dziewczyna z informacji radziła cierpliwie czekać, ponieważ tylko część pracowników Orly domaga się podwyżki, więc za dwie trzy godziny bagaże powinny się pojawić. Stała była to pociecha, skoro już od godziny taśma ani drgnęła, ale wyboru nie mieliśmy.

Po chwili siedząc w lotniskowej kawiarni, przyglądaliśmy się śniadolicym Algierczykom, kruczowłosym mieszkańcom Górnej Wolty i wielu innym, którzy przyjechali tu za chlebem. W tobołkach, w kartonach z napisami „orange juice” nieśli cały swój dobytek. Zamieszkają w dzielnicy Clichy, Drancy, czy w dzielnicach południowych, od pokoleń najbiedniejszych. Pójdą do najprostszych i najtrudniejszych prac, licząc, że za kilkanaście lat wysiłkiem całej rodziny kupią dom, aby później go sprzedać i do ojczyzny wrócić jako prawie milionerzy. Niezbyt realne to plany i najczęściej pozostające w marzeniach...

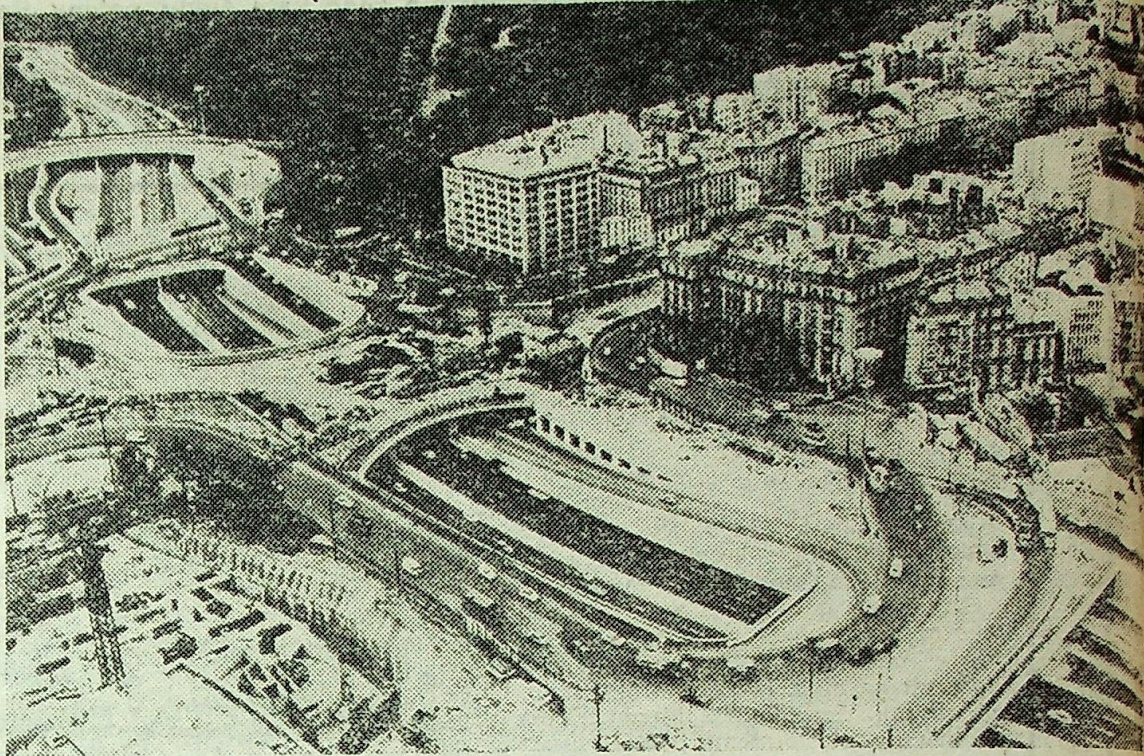
W Paryżu z każdym rokiem przybywa cudzoziemców. Rdzenni paryżanie stanowią zaledwie 40 proc. mieszkańców. Czują się więc zagrożeni, mają pretensje do prezydenta (mówią o nim pofale Giscard) że sprzedaje miasto kolorowym. Krzyczą, że wkrótce ani jeden plac w Paryżu nie będzie należał do Francuza. Ale czy krzyki pomogą, jeżeli petrodolary mają większą siłę przebicia od podupadłego franka?

Kilka miesięcy temu rząd pod wpływem nacisku społeczeństwa, zagrożonego bezrobociem, postanowił każdemu Algierczykowi przyznać 15 tys. franków odszkodowania, aby tylko wyjechał z Francji. Algierczycy biorą franki i... zostają.

Mają swoje zmartwienia paryżanie i my mamy swoje. Bagaży nie ma. Taśma stoi. Dochodzi siódma wieczór i nasz paryski przyjaciel Henri Nitka denerwuje się, że możemy mieć kłopoty z dojazdem do centrum. W piątek wieczór zaczyna się weekend. Ci, którzy mają domki na wsi wyjeżdżają z miasta. Inni zostają w Paryżu, ale akurat pora między siódmą a dziewiątą wieczór jest porą powrotu z pracy. Wygląda więc na to, że światła Ville Lumiere nie są nam przychylne.

2 ZNAWCY problemu powiadają, że strip-tease narodził się w Paryżu. 9 lutego 1893 r. o północy, na deskach „Moulin Rouge” pewna dziewczyna imieniem Mona rozebrała się publicznie. Wybuchł skandal, piękną Monę ukarano grzywną i strip-tease we Francji poszedł na pewien czas w zapomnienie. To wystarczyło, żeby knajpy z Nevady uzurpowały sobie pierwszeństwo w rozbieranych widowiskach.

„Moulin Rouge” był jednym z pierwszych kabaretów. Dzisiaj jest jednym z 300 najróżniejszych paryskich variete. Inne, młodsze, jak np. „Lido”, który powstał dopiero



w 1929 r., a więc sześćdziesiąt lat później, przyćmiły go sławą, ale widzów nie zabrały.

Barman w „Czerwonym Młynie” jest jednym z niewielu Francuzów na sali. Goście to wyłącznie cudzoziemcy (paryżanin do kabaretu idzie raz na dziesięć lat). Do „Moulin Rouge” trzy razy dziennie przychodzi po tysiąc widzów, przeważnie Amerykanów i Niemców, by przez bity trzy godziny oklaskiwać... No właśnie co? Czy piękne dziewczęta, przepych dekoracji, zręczność zonglerów, zawrotne tempo, czy po prostu wszystko? Gdy zapytałem barmana, kiedy ostatni raz w „Moulin Rouge” była kłapa, odpowiedział: NIGDY!

Jeden program pokazywany jest przez cały rok. Koszt jego wystawienia, nie licząc gaź dla artystów, oblicza się w dziesiątkach milionów franków. Im bogatszy kabaret, tym większy przepych: fontanny, wodospady, karuzele. Im większy wystrój, tym dłużej jest grany program, bo tak jest ekonomiczniej.

Program „Moulin Rouge” jest typowy dla wszystkich paryskich kabaretów, które różnią się tylko przepychem. Najpierw więc prezentacja zespołu. Ze sztucznej mgły wyłaniają się ozdobione piórami, półnagie tancerki i tancerze. W rytm dyskotekowej melodii rozpoczynają swój występ. Zmiana dekoracji trwa kilka sekund i znów taniec, taniec i taniec. Zasada jest, aby każdy numer był szybszy od poprzedniego. Apogeum następuje przy kankanie. Wtedy ręce same składają się do oklasków. Mniej więcej

co czterdzieści minut balet ma przerwę, a publiczność podziwia rozmaitych parodystów, zonglerów, bruchomówców itp. W „Czerwonym Młynie” clou programu jest występ delfinów. Podłoga się rozsuwa, na scenie pojawia się wielkie akwarium i znów nie wiadomo co podziwiać: zwinność ssaków, perfekcję treserki i wdzięk, z jakim bawi się ze swoimi podopiecznymi, czy jej urodę?

Skąd biorą się artyści występujący w kabaretach? W zasadzie z całego świata. Np. tancerki z „Lido”, słynne Bluebell Girls, są przeważnie Angielkami. Pierwsza tancerka w „Moulin Rouge” jest Szwedką. W „Folies Bergeres” występują Polacy — małżeństwo Malinowskich. Im bardziej kabaret się szanuje, tym tancerki są młodsze. Wszystkie są bardzo wysokie. Np. w Lido minimum wzrostu (bez obcasów) 175—180 cm. Trudno jest dobrać dziewczyny do baletu o równych wymiarach, ale w Lido dają sobie z tym radę.

Gorzej jest z gwiazdami, ale tradycyjnie biorą się one z kabaretów. Kiedy niespełna 20-letnia Josephine Baker wystąpiła pierwszy raz na deskach „Folies Bergeres” była nikomu nie znaną tancerką. Wystarczyło kilka sezonów, by zabijały się o nią najlepsze, nie tylko kabaretowe, sceny świata. W tej samej rewii zaczynał Maurice Chevalier, a mało kto wie, że także Jean Gabin zaczął od „Moulin Rouge”. Dlatego lepiej się nie zrywać, że występu nie firmowała uznana

Naprzeciw wychodzącym z wagonów podróżnym idą patrole wojskowe. Obywa się bez kontroli osobistej. Z asystą gapiów wchodzi do poczekalni dworca kolejowego w Kayseri. Jest wolne miejsce na ławce. 7.00 rano. Wszystkich wyczekujących wypędza miotła sprzątacza. Ucieka również kilkanaście bezpańskich kotów, które w poczekalni dogrzewały się w ciżbie podróżnych.

Dworzec kolejowy — rudera z okresu budowy linii kolejowej u schyłku XIX w. znajduje się dość daleko od centrum. Kilometr stąd dworzec autobusowy. Miłe zaskoczenie — jest nowoczesny i funkcjonalny. Wewnątrz poczekalnia, kasy oraz kioski pamiątkarskie, z zewnątrz kioski spożywcze, lokanta (restauracja), nawet cukiernia.

Bilet autobusowy do Nevsehir (130 km) kosztuje 100 TL. Tanio. Okrężną, ale dobrą szosą autobus dojeżdża na miejsce o godz. 10.00. Zwiędzani i obfotografowani kale (twierdzą) oraz meczet Kaya Camii. Po nabyciu widokówek jadę taksówką 22 km do Göreme za 25 TL. W historii państwa tureckiego wieś Göreme nigdy nie odegrała roli historycznej. Sławę zawdzięcza pomieszczeniom mieszkalnym wykutym w

miękkim tufie wulkanicznym. Jest też kilka kościółków z XI w., powstałych w okresie prześladowań chrześcijan.

Miejscowi nawykli do wizyt obcokrajowców i nie zwracają uwagi na moje fotografowanie. Na trasie pojawia się czternaścieletnia dziewczynka, Tüna. Z powagą dyryguje młodszym bratem oraz siostrą. Gromadka oprowadza po zakamarkach, wskazuje szczególne ich zdaniem osobliwości. Dołącza jeszcze dwóch chłopców. Zapewniają, że tu nie ma żadnych yılanlar (żmij). Siadamy w cieniu skały.

Wygląd Tüny i jej bliskich świadczy o skromnym trybie życia ich rodzin. Jak sama opowiada, rodzice pracują w RFN, przysyłają pieniądze, a ona gospodaruje. Z pewnością pod nadzorem krewnych, o tym

ŚLADAMI DAWNYCH KULTUR

GÖREME

W takcie jednak nie wspomina. To z powodu im zdjęć, z wdzięczną prostotą wręczyła mi na pożegnanie pęczek polnych kwiatów.

Pieszko idę do następnej wsi — miasteczka — Urgup. Decyzja słuszna. U wschodniego krańca wsi Göreme znajduje się Karamlik Kilise — Ciemny Kościółek. Wejście uchylone. Wewnątrz grupa francuskich konserwatorów przeprowadza renowację fresków. Bogactwo kolorystyczne, prawidłowe rozmieszczenie wizerunków i symboli kościoła bizantyńskiego łączy się w organiczną całość, jednorodną i zwartą tematycznie. Przy tym wszystkim narzuca się pytanie, czy prześladowania chrześcijan miały jakikolwiek wpływ na zrodzoną tu sztukę? Jeśli tak, w jaki sposób przetrwała tu do XX w. chrześcijańska gmina wyznaniowa?

dochodzi 547 gatunków win, bez czego Francuzi obejść się nie mogą i dziennie wypijają średnio po butelce na głowę.

Obiad, jak całe jedzenie w ogóle, jest dla Francuzów wielką ceremonią Monique Roullion, właścicielka restauracji „na dworcu Austerlitz”, twierdzi, że Francuzi zbyt często byli głodni, by nie zwracali teraz uwagi na to, jak i ile jeść.

Dobremu jedzeniu podporządkowany jest cały system barów bistro, luksusowych lokali i zamkniętych klubów, które mimo że sąsiadują ze sobą o kilkadziesiąt metrów, na brak klientów nie narzekają. Francuzi chętnie z nich korzystają nie tylko dlatego, że poza domem są 11—12 godzin (pracuje się tutaj dziewięć godzin dziennie, licząc czysty czas pracy, bo Francuzi odrabiają wolną sobotę). Zaznaczyć trzeba, że posiłki we wszystkich lokalach nie różnią się od jedzenia domowego, a na kelnera nie czeka się dłużej niż pięć minut.

5 NA RUE COPERNIC, tuż przy synagodze, eksplodowała bomba. Siła wybuchu była tak wielka, że w promieniu 30 metrów z okien powylaływały szyby. Dwa budynki stanęły w ogniu. Zginęły cztery osoby. Tak dali o sobie znać faszyci spod znaku FNA. Na drugi dzień przez Paryż przeszła kilkudziesięcioletnia demonstracja, której uczestnicy domagali się zlikwidowania tej organizacji. W kilka dni później bojówkarze żydowscy w odwecie za zamach na synagogę oślepiili 80-letniego staruszkę, biorąc go przez pomyłkę za byłego gestapowca.

— Paryż nie jest bezpiecznym miastem, wieczorem lepiej samemu z domu nie wychodzić — powiedziała nauczycielka Genevieve Spirka. — Kiedy wsiadasz do metra, ściskaj torbę w rękę, bo ci ukradną — przestrzegał Henri. Kilka dni później przekonałem się, że i w dzień można zdrowo oberwać.

Zwiedzałem właśnie Centrum Kultury „Beaubourg” zwane też od imienia projektodawcy — Centrum Pompidou, kiedy moją uwagę zwróciła grupa wyrostków, okładających się łańcuchami. Ludzie mijali ich, wychodzili i wchodzili do centrum obojętnie. Nagle w rękę jednego z chuliganów błysnął nóż i było po wszystkim. Na placu pozostał tylko trup młodego człowieka. Kiedy przyjechała policja, nie miała kogo ścigać, nikt z kilku tysięcy ludzi nie zauważył, gdzie uciekł morderca...

O obojętności paryżan na cudze sprawy świadczy także opowiadanie mężczyzny z nogą w gipsie:

„Napadli na mnie w metrze. Było ich trzech. Ludzie stali, patrzyli jak mnie biją i nikt nie zareagował. Bronilem się, nic mi nie zabrali, ale miesiąc w szpitalu przeleżałem”.

— Wracalem z pracy metrem — wspomina Jacques Capron, nauczyciel. — Nagle stanelo przy mnie trzech wyrostkow. Nic nie mowili, tylko zylytkami cieli mój plaszcz. Odczepili sie, jak dostali sto frankow.

„Na Polach Marsowych dwóch kilkunastoletnich opryszków napadło na wracają-

ca z pracy pielęgniarkę. Nie mogąc jej ściągnąć garączki, ucieli palec" — wyczytałem w „Le Matin”.

Brr, zimno się robi słuchając tych opowieści. Ale kto ma pilnować porządku? Popularny paryski „flick”, czyli policjant, jest źle opłacany (przeciętnie około 8 tysięcy franków), na głowie ma napady na banki (kilka razy dziennie), morderstwa polityczne, handlarzy narkotykami, którzy nie tylko w Marsylii się panoszą, porwania itd. Nawet gdy złapie na gorącym uczynku rzekimieszka grasującego w metrze, jeśli chłopak pierwszy raz wpadł, sąd wyda wyrok w zawieszeniu.

6 **DZIEWCZYNA** była przeraźliwie biała. Tę błądzość pogłębiała warstwa różu na policzkach. W cylindrze i przydługim fraku, wyglądała raczej śmiesznie. Ale kiedy zaczęła grać na czymś w rodzaju katarynki i śpiewać pełnym smutku głosem, zobaczyłem całkiem inny Paryż. Nie Ville Lumière, ale miasto smutku. Miasto, gdzie studenci strajkują, ponieważ po studiach nie dostaną pracy, miasto, gdzie jest kilkadziesiąt tysięcy bezrobotnych, miasto, gdzie są dzielnice dla bogaczy i takie, że podwórza są jednym rynsztokiem. Miasto, gdzie w sąsiedztwie wielkich kabaretów, egzystują speluny, w których za jedyne pięć franków dostać można parę gramów białego proszku. Wreszcie miasto, w którym każdy może mieszkać, a ludzie stąd jednak uciekają, bo życie jest droższe niż na prowincji. Miasto, w którym za trzy pokoje płaci się 3400 franków przy średniej pensji 3500.

Ale wróćmy do muzyków. Paryż nieodłącznie kojarzy się z piosenką. Stąd wyszły na podbój świata setki przebojów. Tutaj śpiewali Edith Piaff i Maurice Chevalier. Tutaj tworzył Joe Dassin, stąd wyszli Mathieu i Becaud. Ale są to dzieci szczęścia, które z biedry los wyniósł na wyżyny bogactwa. A obok nich śpiewają setki bezimiennych — jak ta dziewczyna z katarynką — grajków, których oprócz przypadkowych przechodniów nikt nie usłyszy. Ci bezimienni są nieodłącznym elementem Paryża. Można ich spotkać w Ogrodzie Luksemburskim, pod wieżą Eiffla, ale najczęściej w metrze. Tutaj jest ciepło, nie zmoczy deszcz, a betonowe ściany niosą daleko smutne dźwięki. Paryżanie na ogół obojętnie ich mijają, czasem tylko ktoś rzuci pół franka. Jeżeli ktoś się zatrzyma, to najczęściej młody, i tak samo biedny jak ów grajek, który nuci: „Kocham Paryż i Sekwane, aż do dna...”

7 SĄ DZIESIĄTKI sposobów zwiedzania Paryża. Setki marszrut. Setki biur podróży poleca zwiedzanie autokarem lub statkiem po Sekwanie. Można też same-
mu, metrem i na piechotę. Można za 20 fran-
ków oglądać Paryż z ostatniego tarasu wie-
ży Eiffla i za darmo z Montmartru. Można
zobaczyć Luwr i Wersal, grób Napoleona
i Iglę Kleopatry. Można zobaczyć Paryż „by
night” na Polach Elizejskich, Bulwar St.
Germain. Można pójść do „Lido”, do kin
i teatrzyków porno. Można obejrzeć domy
mody Diora i Niny Ricci.

I to jest chyba właśnie „... ten Paryż”...

ZBIGNIEW KRUPA

3 TRUDNO, mówiąc o Paryżu, nie wspomnieć o jego tradycyjnej, acz pikantnej turystycznej atrakcji — o sprzedajnych dziewczynach. Od ich zaczepiek nikt nie jest wolny, nawet biskup w „stroju służbowym”. W zasadzie spotkać je można na każdym kroku. Najpopularniejsze ich „wydanie” z Faubourg St. Denis, nie ma co prawda klasycznych rysów i nieskazitelnych figur — chociaż trafiają się i takie — ale pono ich cechą charakterystyczną jest pewne filozoficzne poczucie humoru, z jakim traktują swych klientów — o czym zapewnił mnie znawcy przedmiotu. Ci sami tłumaczyli również, że w Paryżu płaci się za... opakowanie. Oznacza to, że dziewczyna, która na St. Denis bierze 500 franków, po przebraniu się, zmianie sposobu zaczepiania, na Polach Elizejskich żąda sześć razy tyle.

Oczywiście mowa tu o ulicznym dziale usług, bo „panienki” z klubów i kabaretów są o wiele droższe. Tu ceny sięgają i ośmiu tysięcy. Natomiast oddzielną kategorię, niemal elitę tego najstarszego zawodu świata, stanowią panienki wynajmowane do zabaw w pałacykach Lasku Bułońskiego, czy w luksusowych willach i apartamentach. Takie komfortowe spotkania kosztują i kilkadziesiąt tysięcy franków.

A wszystko to się dzieje w kraju, w którym w kwietniu 1946 r. formalnie zdelegalizowano prostytucję. Widać potrzeby życiowe i paryska tradycja są silniejsze od moralności, bo nie dość, że dziewczynki nie zniknęły, to z każdym rokiem powiększają swe szeregi. O ile 20 lat temu działało około 25 tys. „córek Koryntu” dzisiaj oblicza się skromnie, że liczba ta uległa podwojeniu. Ale chodząc po okolicach St. Denis i oglądając tyraliery Mulatek, Murzynek i Europejsek podkreślających w wyrafinowany sposób swe wdzięki, odniosłem wrażenie, że i ta statystyka jest zaniżana.

4 PODOBNO ongiś Francuzi nie mogąc doczekać się baranich udźców i schabowego, ponieważ przez wiele lat niewiedzały ich kłęski nieurodzaju, a dwór polecał im ciasteczka, wymyślili sobie, że będą jedli to, co było akurat najbardziej dostępne, czyli żaby, ślimaki i inne „świństwa”, których szanujący się Polak za żadne pieniądze do ust nie weźmie.

Ale było to ponad dwadzieścia lat temu. Dłusiejszy Francuz ma upodobania kulinarne podobne do naszych. Na obiad polędwica, befszytk, może być indyk. Ale na pewno nie żaba, chyba, że ma akurat taki kaprys. Czas się bowiem zmieniły i to, co kiedyś pelzało i kumkało na łąkach, jakby wymarło, sprawiając, że poczciwy winniczek jest droższy od najlepszej pieczeni.

Po obiedzie musi być ser, koniecznie w kilku gatunkach. Jest zresztą w czym wybierać, bo rodzajów jest ponad 340. Do tego

Od kościółka szosa stromo wspina się na stok, po czym prowadzi po prawie płaskim terenie do skrzyżowania dróg. Wszędzie w tej okolicy uprawia się krzaczastą odmianę winogron, nie wymagających podpórek. Z przeciwnej strony gromada wieśniaków podąża na pole. Może czteremastoletni chłopiec idzie na osiołku, gdy matka idzie z tobółem na plecach. Prawo islamskie wciąż trzyma w rygorze wiejską społeczność, w której kobieta jest niewolnicą.

Po chwili ze skrzyżowania zabiera mnie do samochodu starszy wiekiem rolnik. Jedzie do Urgup, pięć kilometrów. Krótka ale wprost bajeczna trasa. Z prawej strony smukłe stożki tufu wulkanicznego z kapeluszami, z lewej, w górnym poziomie stromego stoku, pierwotna i najstarsza zabudowa miasteczka — grotty mieszkalne — wykute przez ludzi, dowód ciągłości osadniczej od tysięcy lat. Pod wieczór udają się taksówką do odległej o 100 km Kayseri.

Pierwszy odcinek krajobrazu, zróżnicowany, może służyć w natchnieniu twórczym malarzom i poetom. Głębokie doliny z dziesiątkami pięter nawadnianych poletek. W słońcu dojrzewają pomidory, ogórki, melo-

ny, a na przydrożach kuszą owoce fig, jabłek, granatów i rozmarynu. Tego sielskiego nastroju nie mają ruch samochodowy. Wyżej — nagi łańcuch gór, bezdrzewny, po którym wędrują ruchliwe stada owiec i kóz angorskich. Od wschodu, z mgielki wylania się sylweta nieczynnego od ponad stu lat wulkanu Erçiyas Dağı (3916 m).

Podezas karkołomnego zjazdu, wylania się na równinie płaszczyzna słonego jeziora, usytuowanego na południe od wulkanu. Stano-
w równocześnie dowód jego działalności. Woda deszczowa wymywając sól odkłada ją w zbiornikach wodnych. Na prostej, w do-
linie zmiana kierunku. Mknijemy na pół-
noc. W miejscu, gdzie droga biegnie najbli-
żej góry — wulkanu opuszczam taksówkę.
Póki słońce na niebie wspina się na niż-
sze stoki.

W pogłębiającym się zmierzchu, około 600 m nad poziomem doliny, ustaje z wysiłku. Znajduje małe wgłębienie, które tej nocy posłuży mi jako łóżko. W śpiworze jest ciepło. To nie, że twarz atakują komary.

BOLESŁAW JAŃSKI

A black and white photograph of a large, multi-story building, possibly a school or government building, with a prominent central tower or entrance. The building is surrounded by trees and a fence in the foreground.

Wnęki mieszkalne w stożkach tufów wulkanicznych. Fot. Autor

Jeszcze nie tak dawno bardzo różnie mówiono o kulturystyce i uprawiających ją amatorach. Oponenti wręcz wyśmiewali się z tej dyscypliny sportu. Złośliwe opinie nie zraziły jednak zawodników i zwolenników kulturystyki — coraz popularniejszej na całym świecie.

PIĘKNO, SIŁA I ZDROWIE

Początek jej rozwoju przypada na początek naszego stulecia. Rozwijała się najpierw w Rosji, Polsce, Niemczech, Francji i Wielkiej Brytanii. W pierwszym okresie mniejszą uwagę zwracano na piękno sylwetki i elementy estetyczne, a skupiano się głównie na stronie siłowej. Z upływem czasu udoskonalono system treningowy pod kątem wydobycia głównie elementów estetycznych, oczywiście bez zaniedbywania siłowych. Pierwsze zawody rozegrano w latach czterdziestych w USA.

Pierwszym wielkim mistrzem kulturystyki był Steve Reeves, znany aktor amerykański. Polscy kinomani znają go z filmów „Romulus i Romulus” oraz „Syn Spartakusa”. Również dużą sławę zdobył inny aktor filmowy Serge Nubret (Murzyn z Francji), który grał główną rolę w „Przybyciu tytanów”. Z innych znanych nazwisk wymienić należy Kubańczyka Sergio Oliva i Austriaka Arnolda Schwarzeneggera. Obaj zresztą uprawiają ten sport do dnia dzisiejszego. Warto również wymienić tutaj czterokrotnego mistrza świata amerykańskiego ciężarowca, z pochodzenia Japończyka — Tonny'ego Koma.

Czym jest właściwie kulturystyka? Czy i jakie przynosi korzyści? Mówi o tym znany polski kulturysta, mieszkaniec Lubina — JANUSZ WOCH.

— W naszej dyscyplinie, oprócz zawodów estetycznych, rozgrywa się również siłowe. Te ostatnie zwane są trójbojem siłowym. W jego skład wchodzi: wyciskanie sztangi w leżeniu, przysiadki ze sztangą na barkach oraz unoszenie ciężaru z ziemi — tak zwany martwy ciąg. Podstawowym warunkiem do uzyskania dobrych rezultatów jest systema-

tyczna praca treningowa, dieta beztłuszczowa i wysokobiałkowa oraz uregulowany tryb życia. Jako ciekawostkę mogę podać, że obowiązuje nas minimum dziesięciogodzinny sen. Te wszystkie walory sprawiły, że amatorów nigdy nie brakowało. W Polsce kulturystykę uprawia około 90 tysięcy zawodników. Nie jest to dużo, jeżeli zważy się, że w USA jest ich 10 milionów, w ZSRR — 500 tysięcy, a w Czechosłowacji prawie 800 tysięcy. Liczby te dobitnie świadczą o masowości tego sportu.

— Często pyta się nas co widzimy w tej dyscyplinie. Dostrzegamy w niej dużo wartości. Poza czysto moralnymi, kulturystyka posiada dużo elementów zdrowotnych. Większość czołowych kulturystów (dotyczy to również i mnie) posiadało w przeszłości różne wady zdrowotne i nie mogło uprawiać innych dyscyplin. Długotrwały trening spowodował, że wszelkie wady uległy zatarciu. U kulturysty organizm staje się silny, kości obrasta odpowiednią ilość masy mięsnej, która doskonale chroni przed urazami. Rozpoczynający u nas młodzi ludzie w większości mają wady postawy. Dzięki właściwym metodom treningowym wady zostają wyeliminowane. Nic więc dziwnego, że do kulturystyki trafia coraz więcej ludzi, którzy chcą uprawiać ją niejako rekreacyjnie jak i wyczynowo.

— Jakie były początki kulturystyki w Lubinie i jakimi może poszczycić się osiągnięciami?

— Wszystko zaczęło się w 1975 roku. Głównym propagatorem i założycielem tej dyscypliny był znany ciężarowiec i zarazem trener Michał Garbaczewski. Patronat nad nami przejęła lubińska Spółdzielnia Miesz-

kaniowa Zagłębia Miedziowego, która utworzyła sekcję przy Ognisku TKKF „Tridonia” (nazwa ogniska pochodzi z greckiego: tridonia — zdrowie). W pierwszym okresie było nas tylko trzech — oprócz mnie Stanisław Lech i Michał Garbaczewski. Spółdzielnia chętnie przysyłała nowych amatorów, a dużej pomocy udzielał nam, poza oczywiście spółdzielnią, także i Ośrodek Sportu i Rekreacji. Po raz pierwszy wystartowaliśmy w poważnych zawodach kilka miesięcy po utworzeniu sekcji. Były to mistrzostwa Polski w Płotach koło Koszalina.

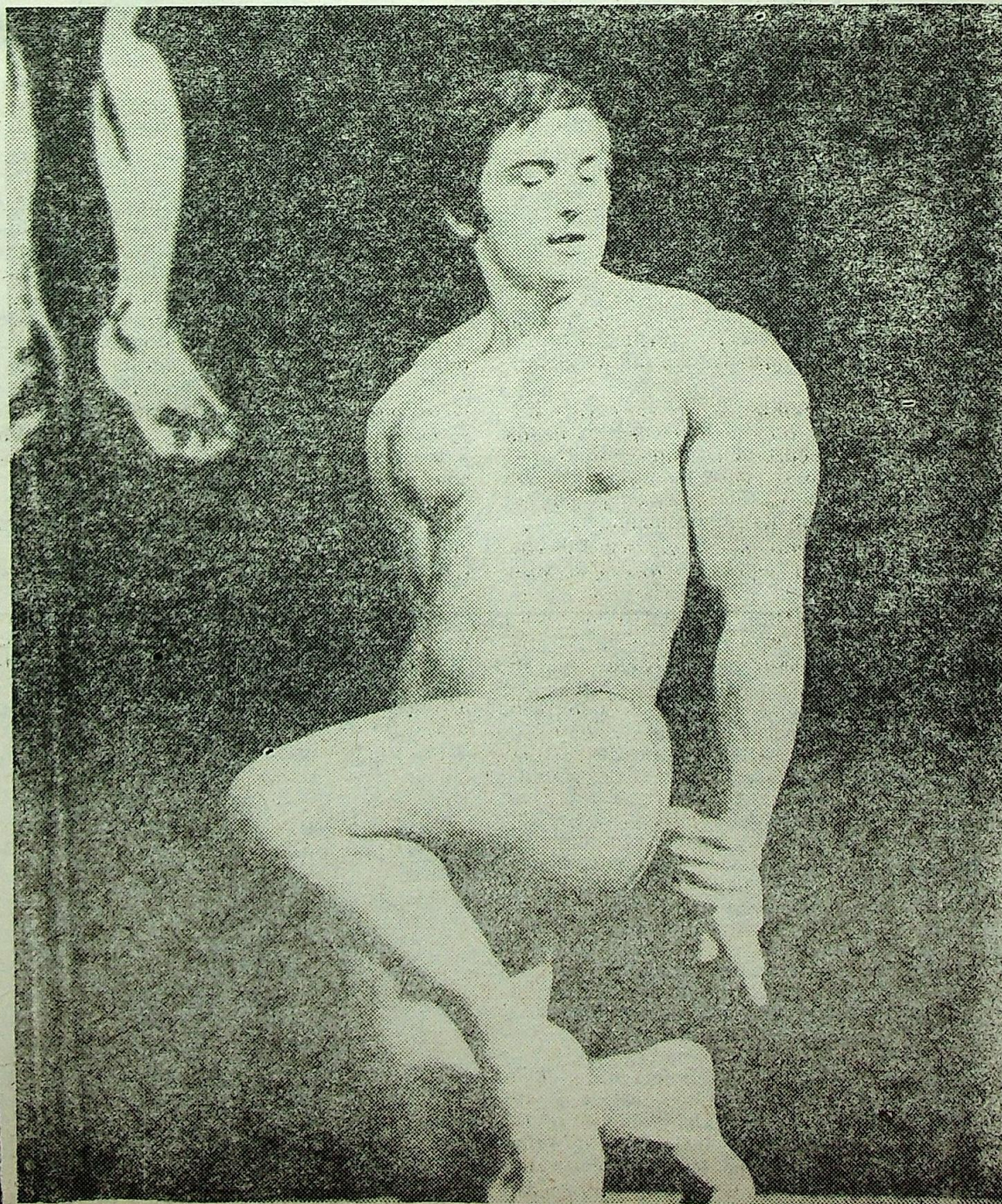
— Pierwszy start i pierwsze sukcesy. Drużynowo zajęliśmy pierwsze miejsce, ja byłem też pierwszy, a ponadto wywalczyliśmy trzy drugie i jedno trzecie miejsce. Następny poważny start przypadł w 1978 roku. Uczestniczyliśmy w Pabianicach w mistrzostwach krajów socjalistycznych. Praktycznie startowałem samotnie i wygrałem w kategorii juniorów. Tego samego roku w Poznaniu odbyły się mistrzostwa kraju w trójboju siłowym, w którym zdobyliśmy drużynowe mistrzostwo kraju. Rok później — również w Pabianicach — kolejne zawody krajów socjalistycznych. Startowałem tam już w seniorach i wywalczyłem drugą lokatę, a mój kolega Stefan Bielecki uplasował się na piątej pozycji. Wkrótce potem mistrzostwa kraju w Łęborku. Na nich właśnie odnieśliśmy największy sukces. Ja zająłem pierwsze, Tadeusz Gajda drugie, a Stefan Bielecki trzecie miejsce. Wreszcie starty tegoroczne. W pabianickich mistrzostwach krajów socjalistycznych zająłem pierwsze, Gajda drugie, a Bielecki szóste miejsce. Tegoroczne mistrzostwa Polski odbyły się w Czarnkowie. Zająłem pierwsze miejsce, Gajda był trzecim, a Bielecki piątym zawodnikiem turnieju.

— Liczne sukcesy sprawiły, że zainteresowała się nami zagranica. W tym roku otrzymałem zaproszenie na wielkie międzynarodowe zawody w Essen. Rozgrywane one były o tytuł najlepiej umięśnionego atlety Europy. Startowałem w wyższej kategorii wzrostowej (powyżej 175 cm) i zająłem drugie miejsce. Wyprzedził mnie tylko holenderski Murzyn — Bob Esprit. Oprócz mnie w zawodach uczestniczył Henryk Szczepański z Poznania (w niższej kategorii), który zajął czwarte miejsce. Drużynowo, jako reprezentacja Polski, zajęliśmy pierwszą lokatę, wyprzedzając RFN, Wielką Brytanię i Francję. W silnie obsadzonych zawodach startowało 14 reprezentacji z Europy oraz USA i Egipt.

— Sukces ten sprawił, że nasza dwójka została zaproszona na Puchar Świata, który rozegrany zostanie 24 stycznia przyszłego roku również w Essen. W przyszłości zachodni organizatorzy mają zamiar zapraszać na zawody również Bieleckiego i Gajdę.

— Nasza trójka nie jest osamotniona. Wychynowo w „Tridonii” kulturystykę uprawia 22 zawodników. Trenujemy w dwóch salach w klubie „Nasza Chata” i salce przy ul. Cedyńskiej. Obie nie przekraczają 80 metrów kwadratowych. Dlatego też do masowego uprawiania kulturystyki mogliśmy dopuścić tylko 89 osób. Chętnych jest oczywiście o wiele więcej. W zajęciach uczestniczy zarówno młodzież powyżej lat 16, jak i panowie po pięćdziesiątce. Gdybyśmy mieli lepsze obiekty, to — jak się orientujemy — moglibyśmy zajmować się przynajmniej 900 osobami. Czynimy starania o zdobycie jakiejś większej sali, a w przyszłości zamierzamy założyć sekcję kobiecą. Może to kogoś zdziwi, ale kulturystyka cieszy się coraz większym powodzeniem wśród płci pięknej. Uprawiają ją masowo panie w Czechosłowacji, NRD, RFN i Jugosławii, a w Polsce działają już sekcje we Wrocławiu i Warszawie.

W ciągu pięciu lat osiągnęli sukcesy, o jakich nawet pomarzyć przedstawiciele wielu innych dyscyplin uprawianych w zagłębiu miedziowym nie mogą. Dlatego też z dużą przyjemnością przedstawiliśmy ich osiągnięcia. Życzymy następnych — nie mniejszych!



Fot. Krzysztof Raczkowiak

ZYGMUNT ŁUSZCZ



Przed tygodniem ogłosiliśmy kolejny — już osmy — plebiscyt na dziesięciu najlepszych sportowców i pięciu trenerów województwa legnickiego w 1980 roku. Plebiscyt posiada bogatą tradycję. Został zapoczątkowany w 1973 roku i obejmował swym zasięgiem byłe powiaty zagłębia miedziowego. Od początku też cieszył się dużym zainteresowaniem czytelników „Konkretów” — kibiców sportu w zagłębiu. Pierwszymi jego laureatami zostali: doskonały (do tej pory jeszcze startuje) bokser BKS Bolesławiec RYSZARD TOMCZYK i trener bokserów Zagłębia Lubin (obecnie prowadzi zajęcia w Gwardii Wrocław) — KAZIMIERZ PAŹDZIÓR.

NASZE PROPOZYCJE

Laureaci naszej imprezy zawsze prezentowali wysoki poziom i mogli pochwalić się poważnymi osiągnięciami krajowymi i międzynarodowymi. Na honorowej liście znajdowali się w następnych latach: bokser legnickiej Miedzi — Mieczysław Massier (1974, 1975), czwórka akrobatów z Górnika Złotoryja (1976) w składzie: Leszek Antonowicz Sławomir Hałada, Wojciech Świecik i Bogdan Zajac, lubiński bokser Wiesław Niemkiewicz (1977), ponownie czwórka akrobatów — w latach 1978 i 1979. Rywalizację trenerów — po Kazimierzu Paździorze — wygrywali kolejno: Alojzy Sitko (piłka nożna — Zagłębie Lubin) w latach 1974—75, wychowawca złotoryjskiej czwórki akrobatów — Zygmunt Biegaj, po raz drugi Kazimierz Paździor i znów Zygmunt Biegaj. W ubiegłorocznym plebiscycie triumfował trener lubińskich lekkoatletów Piotr Kaczmarek.

Pokusiliśmy się również o zsumowanie wyników siedmiu dotychczasowych plebiscytów. Wśród sportowców najwięcej punktów (za znalezienie się w dziesiątce) zgromadził Wiesław Niemkiewicz, który wyprzedza Sławomira Haładę, Mieczysława Massiera, Bogdana Zajac, Leszka Antonowicza, Wojciecha Świecika i Danutę Cały. W sumie na honorowej liście laureatów znajduje się 42 sportowców. Grupie 21 trenerów przewodzi Zygmunt Biegaj a kolejne miejsca zajmują: Kazimierz Paździor, Alojzy Sitko, Piotr Kaczmarek i opiekun bokserów Bolesławca Czesław Zawadzki.

O tym jak będzie w tym roku zadecydują wyłącznie czytelnicy. Nie będą mieli zbyt dużego wyboru. Kończący się sezon nie obfitował, niestety, w wielkie osiągnięcia sportowców zagłębia miedziowego. Trudno sportowców trudno jest to uczynić.

Dla nikogo chyba nie jest tajemnicą, że największymi osiągnięciami może pochwalić się czwórka złotoryjskich akrobatów. Od lat należą do ścisłej czołówki światowej, byli mistrzami i wicemistrzami świata, takie same tytuły gromadzili w mistrzostwach Europy. W bieżącym roku w Poznaniu zostali „tylko” wicemistrzami świata i Europy — ustępując rywalom ze Związku Radzieckiego. Różnie mówiło się i pisało o występie w Poznaniu, ale fakt pozostaje faktem, a sukces sukcesem. Dlatego też wydaje się, że nikt nie powinien wyprzedzić najlepszej w ostatnich latach na świecie czwórki z Górnika Złotoryja.

Z wytypowaniem dalszych miejsc są znacznie większe kłopoty. Trudno przewidzieć kto może zająć drugie, trzecie i dalsze

miejsca. Na honorowej liście widzimy przede wszystkim medalistów Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży i przedstawicieli tych dyscyplin, które mogą pochwalić się jakimś widocznym postępem. W tym gronie powinien się z pewnością znaleźć Ireneusz Krzywosz — zdobywca trzech złotych i dwóch srebrnych medali na spartakiadzie młodzieży. Zawodnik ten od kilku lat jest kolekcjonerem medali, członkiem kadry narodowej i dużą nadzieją polskiego łyżwiarstwa szybkiego.

Na kolejnym miejscu można postawić Aleksandra Gboreczyka. Jest on podporą, kapitanem i mózgiem II-ligowej drużyny piłki ręcznej Zagłębia Lubin. Zespół ten zrobił w ostatnim czasie dużą karierę. Bardzo gładko przeszedł przez ligę międzywojewódzką i awansował do II ligi. W pierwszej rundzie beniaminek spisywał się wręcz rewelacyjnie i znalazł się w swojej grupie w ścisłej czołówce. Jego przedstawiciel zasługuje na znalezienie się w gronie najlepszych.

Od wielu lat Lubin szczyci się bardzo dobrym zespołem tenisa stołowego. Drużyna Zagłębia z powodzeniem walczy w ekstraklasie (chodzi oczywiście o mężczyzn) i ostatnio znajduje się (rozgrywki jeszcze w toku) w pierwszej trójce. Z zawodników lubińskich wpisujemy na naszą listę członka kadry narodowej, jednego z dziesięciu najlepszych w kraju — Jerzego Florczaka.

O kulturystyce (piszemy o tym na innej stronie) kibice za wiele nie wiedzą. Szkoda, gdyż sekcja Ogniska TKKF „Tridon” w Lubinie odnosi duże sukcesy w kraju i za granicą. Dlatego też chcemy uhonorować najlepszego jej przedstawiciela, kilkukrotnego mistrza Polski Janusza Wocha, który ostatnio zajął drugie miejsce w bardzo silnie obsadzonych zawodach w Essen.

Nie wolno zapominać o lubińskich lekkoatletach. Wprawdzie w tym roku nie mieli rewelacyjnych wyników, ale doskonale spisali się w rozgrywkach II ligi, różnych mitingach i zawodach. Z ich grona typujemy czołową skoczkinię wzwyż i również czołową pięcioboistkę kraju Danutę Cały.

Naszym zdaniem w tym gronie powinni się też znaleźć: najlepszy szachista województwa, poważnie liczący się w kraju, Wiesław Janocha z Legroli Legnica, utalentowany i utytułowany akrobata z Kuźni Jawor Zdzisław Pelka, który spróbował nawet uprawiać nową dyscyplinę — skoki do wody — i na ostatniej OSM wywalczył brązowy medal. Nie wolno też zapominać o złotym medaliste OSM w podnoszeniu ciężarów Henryku Kucharskim z Górnika Polkowice. Na liście — wprawdzie piłkarze ni-

czym specjalnym się nie popisali — powinien figurować również Kazimierz Motylewski. Bramkarz legnickiej Miedzi jest nie tylko bardzo dobrym i zasłużonym piłkarzem, ale także wzorem sportowca — godnym naśladowania. Dlatego też zgłaszamy jego kandydaturę.

W gronie trenerów z pierwszym miejscem nie powinno być większych kłopotów. Chodzi rzecz jasna o Zygmunta Biegaj. Sylwetki zasłużonego wychowawcy akrobatów nie trzeba chyba szerzej przedstawiać. W czołowej piątce powinien — naszym zdaniem — znaleźć się również drugi trener-akrobata — Jerzy Pilch z Jawora, który opiekuje się między innymi Zdzisławem Pelką. Jawor jest kuźnią naszej akrobatyki i po pewnym zastoju praca ruszyła na nowo, a zawodnicy Kuźni (chodzi przede wszystkim o młodzież) odnosili w kończącym się roku liczne sukcesy w mistrzostwach kraju i innych zawodach — stale plasowali się w gronie najlepszych. Kolejnym naszym kandydatem jest trener lubińskich piłkarzy ręcznych Jan Grabowy, który od lat i to z wielką pasją zajmuje się tą dyscypliną, a efekty jego działania są dla wszystkich widoczne.

Do grona następnych kandydatów pretenduje kilku trenerów. Mamy na myśli przede wszystkim opiekunów lubińskich łyżwiarzy Adama Kaźmierczyka, Wiesława Pazdykę i Mariana Węgrzynowskiego. Nie wnika my w ich podział pracy i kompetencje i dlatego też proponujemy dowolny wybór. Pod rozwagę poddajemy też kandydatury dwóch trenerów lekkiej atletyki — Zdzisława Szadzikowskiego z Zagłębia Lubin i Stanisława Kochanowskiego z Piasta Głogów. Obaj wzorowo zajmują się szkoleniem młodzieży, mają na tym odcinku duże osiągnięcia i w pełni zasługują na wyróżnienie. To samo dotyczy Romana Piwowarczyka z Miedzi Legnica. Działa w cieniu szkoleniowców zespołu seniorów i zajmuje się młodym narybkiem futbolu. Jego podopieczni są najlepszy na Dolnym Śląsku w kategorii młodzików i juniorów. Zasługuje więc w pełni na znalezienie się w czołówce trenerów województwa legnickiego.

Nie chcemy niczego sugerować. O tym, kto będzie najlepszy i kto znajdzie się w czołówce, zadecydują wyłącznie czytelnicy. O tym, jaka będzie końcowa klasyfikacja przekonamy się w drugiej połowie stycznia, po zakończeniu plebiscytu i podsumowaniu jego wyników. Zachęcamy do licznego udziału w typowaniu kandydatów zgodnie z własnym rozeznanie i przekonaniem.

ZYGMUNT ŁUSZCZ

— To brzmi wprost nieprawdopodobnie! — Stella Chan dler, atrakcyjna, długonoga blondynka, spojrzała z nieudawanym przerażeniem na swojego szefa. — Naprawdę! I absolutnie nie mogę uwierzyć, że Cooper mógłby być mordercą...!

— A jednak taka jest prawda... — Malowich wyraźnie był przygnębiony. — Ale, Stello, przede wszystkim chciałbym powiedzieć jak bardzo jestem wdzięczny, że zgodziła się pani, mimo urlopu, wrócić do pracy w związku z tą sytuacją...

— Nie ma o czym mówić — przerwała mu Stella. — To zupełnie zrozumiałe i nie ma najmniejszego powodu do jakiegś specjalnej wdzięczności. Przecież jestem pańską sekretarką!

Powoli zapaliła papierosa... — Okropna historia, szefie... Ale czy mógłby pan opowiedzieć jak właściwie doszło do tego wszystkiego?

— To ponad moje siły, Stello... Ale niech pan to zrobi za mnie, Abbotson — zwrócił się Malowich do młodego mężczyzny o wyglądzie sportowca, siedzącego przy biurku w nonszalanckiej pozycji. — Bo ja już naprawdę mam tego dość! Znów się zdenerwuję! Pan wie... moje serce... — w tym momencie Malowich uczynił teatralny gest.

Jack Abbotson od dwóch miesięcy pracował w filii Supermarketu w East Hampton. Centrala przysłała go Malowichowi z poleceniem, aby zatrudnił młodego człowieka na eksponowanym stanowisku kierowniczym.

— To jest zupełnie zwariowana sprawa — zaczął powoli Jack. — Tak jak codziennie, Cooper i Sydney powinni byli, po zamknięciu sklepu, cały dzienny utarg odwieźć do banku. Ale do banku nie dojechali. Policja drogowa znalazła przy Vanderbilt Road porzucony samochód. Za kierownicą siedział martwy Sydney. Zniknął Cooper i zniknęły pieniądze — dokładnie 130 tysięcy 200 dolarów. Jak stwierdzili eksperci z sekcji zabójstw, Sydney zginął od postrzału w głowę. Strzał oddano z jego własnego pistoletu służbowego. Najbardziej prawdopodobna hipoteza wygląda następująco: Cooper zabił Sydneya, zabrał broń i uciekł z pieniędzmi...

— Dzień dobry! — męski głos przerwał opowieść Abbotsona. Przy drzwiach stał porucznik Marshall.

— Przynosi pan pewnie, poruczniku, jakieś nowe wiadomości...? — pytając zawiesił głos Malowich.

— Dochodzenie w toku — mruknął Marshall niezbyt uprzejmie i dodał — przyszedłem właściwie tylko do panny Chandler. — Mówiąc to spojrzał badawczo na Stellę. — Domyślam się, że to pani jest sekretarką pana Malowicha?

Stella obdarzyła porucznika uśmiechem najczarowniejszym z całego bogatego repertuaru, jakim dysponuje każda dobra sekretarka, a Stella była bardzo dobrą sekretarką.

— Policja ma zawsze rację — powiedziała kokieteryjnie.

— Prawie zawsze — poprawił ją słodko Marshall. — W każdym razie to piękny gest z pani strony tak bezinteresownie przerwać urlop i wrócić do pracy. — Marshall odwzajemnił się Stelli miłym uśmiechem. — Przejdźmy teraz do zasadniczego tematu mojej wizyty. Z wypowiedzi pana Malowicha, a także Jacka Abbotsona wynika, że dwa dni przed wyjazdem na urlop miała pani plany tras, jakimi przez najbliższy miesiąc miał jeździć samochód odwożący pieniądze do banku.

Stella wystudiowanym ruchem głowy odrzuciła w tył długie, jasne włosy.

— Tak, sporządziłam ten plan według wskazówek pana Abbotsona.

— Kiedy i od kogo dowiedział się Cooper o trasie przejazdu?

— Kilka minut przed odjazdem poinformowałam go o tym — powiedział Malowich.

— Rozumiem. — Marshall spojrzał zamyślony w postarzałą, gąbczastą twarz Malowicha. — A kto jeszcze znał tę trasę?

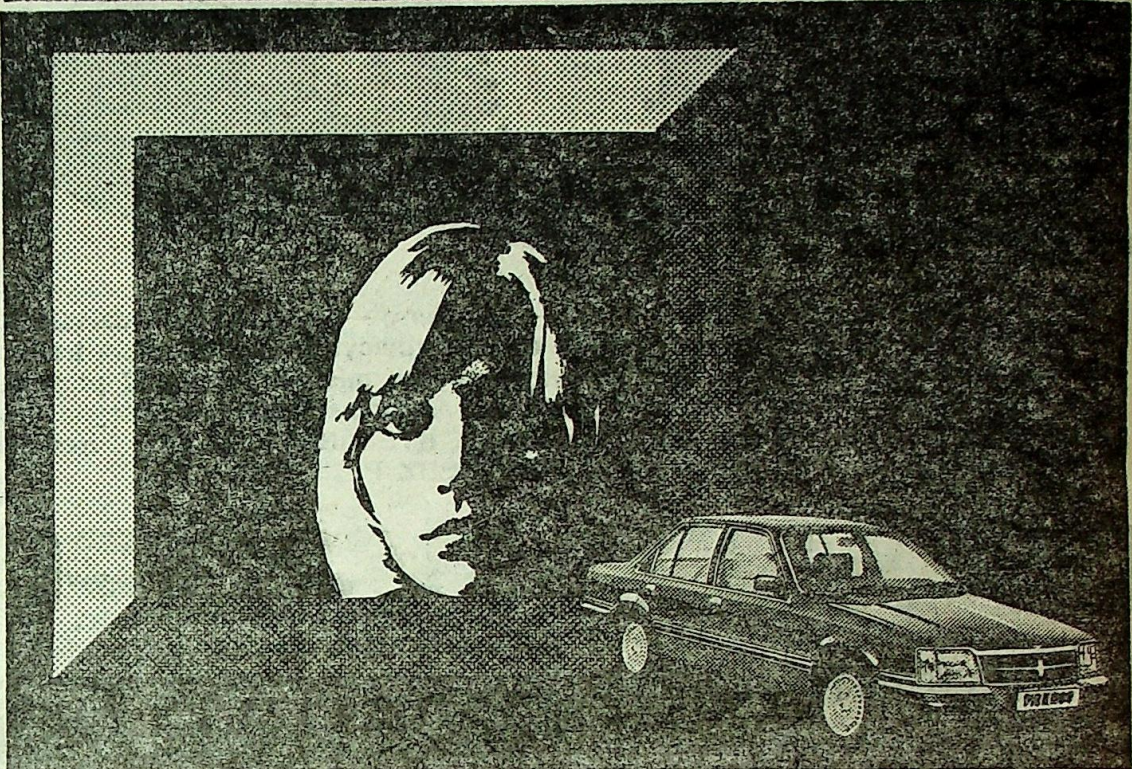
— Abbotson, panna Chandler, no i oczywiście ja — Malowich był nieco zdenerwowany. — Przecież już o tym mówiliśmy!

— Ja tylko upewniam się raz jeszcze — tłumaczył porucznik z anielską cierpliwością. — Istnieje podejrzenie, że ktoś z zewnątrz, komu znany był „rozkład jazdy” do banku, mógł przygotować napad i że to właśnie ten kros uprowadził Coopera. — Spojrzał na trzy siedzące w milczeniu osoby. — Czy mógłbym dowiedzieć się, gdzie państwo byli między godziną 18.30 a 19?

— Mister Malowich i ja byliśmy tutaj, w biurze — powiedział Abbotson. — Może to potwierdzić sprzątaczką, panna Miller.

— Chyba pan nie chce zrobić nas w to

JEDNO DOŚWIADCZENIE WIĘCEJ



obrzydlive przestępstwo, poruczniku?! — parsknął gniewnie Malowich.

— Pytanie o alibi jest czystą formalnością — powiedział Marshall uspokajająco. — A pani alibi, panno Chandler?

— Byłam na nartach w Squaw Valley, o czym pan zapewne wie doskonale. W środę między 18 a 19 siedziałem przy podwieczorku w „Ski Haven Lodge”, potem do północy w barze hotelowym. Wystarczy telefon do pani McGee, na pewno to potwierdzi.

☆

Wieczorem Stella i Jack Abbotson spotkali się w małej kawiarence. Poprosił o to spotkanie Jack, a piękna Stella zgodziła się bez wahania.

— Wprawdzie zawsze pan twierdził, Jack, że wpadłam panu w oko, ale to chyba nie jest najważniejszy powód naszej randki?

Jack powoli zapalił następnego papierosa.

— Coś mi bardzo ciąży na sercu... Muszę z kimś o tym porozmawiać.

— O co chodzi? — Stella była zaintrygowana.

— Moja praca u Malowicha to tylko pretekst. Przysłała mnie tutaj góra — centralny dział kontroli z poleceniem pilnowania Malowicha. On ma olbrzymie karciane długie — to raz. Po drugie — podczas ostatniej dyskretniej kontroli stwierdzono brak co najmniej dziesięciu tysięcy dolarów.

— Co pan mówi?! Nie wiedziałam, że Malowich jest takim graczem. Myśli pan, że on ma coś wspólnego ze śmiercią Sydneya i zagrabionymi pieniędzmi?

— Nie wiem, Stello. W każdym razie Malowich gwałtownie potrzebuje pieniędzy.

— Musi pan powiedzieć o tym Marshallowi.

— Lepiej nie. Jeśli okaże się, że moje podejrzenie jest absurdalne, będę skompromitowany... Mówmy już o czym innym, na przykład o nas Stello...

☆

— Widzę, poruczniku, że jest pan w znakomitym nastroju. — Malowich spojrzał zdziwiony na uśmiechniętego Marshalla.

— Mam ku temu powód! Znaleźliśmy Coopera!

— Znakomicie! A gdzie?

— W basenie, w porcie zachodnim.

— Utopił się? — spytał skonsternowany Malowich.

— Nie. Najpierw go zastrzelono, a potem wrzucono do wody.

— Więc sprawa skomplikowała się jeszcze bardziej?

— Nie dla policji, panie Malowich.

— Pan... Pan wie już kto to zrobił?! — w głosie Malowicha wyraźnie czuło się zdenerwowanie.

Porucznik uśmiechnął się.

— Cooper bał się, czuł, że zostanie usunięty, opisał więc wszystko dokładnie i wysł to zeznanie do paska w spodniach. Wprawdzie woda trochę zatarła pismo, ale policja potrafi sobie z tym poradzić, panie Malowich.

☆

— Jestem teraz bogatszy o jedno doświadczenie — powiedział Jack Abbotson, dowiedziawszy się prawdy od porucznika Marshalla. — Dlaczego Cooper napisał to przedśmiertne zeznanie...?

— Bo nie wydawało mu się bezpieczne owo słodkie życie, jakie miał obiecać. Kiedy samotnie czekał w ogrodowej altance na powrót Stelli, opadły go niedobre przeczucia... Wtedy wszystko opisał... Billy Cooper popełnił to przestępstwo dokładnie według planu Stelli. Był jej niewolniczo oddany...

— I pomyśleć, że za tą anielską buzią kryje się przestępca... — zamruczał posępnie Jack.

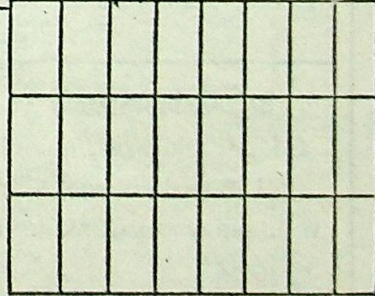
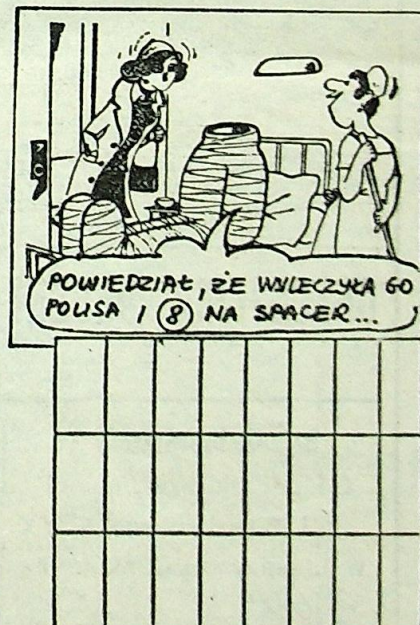
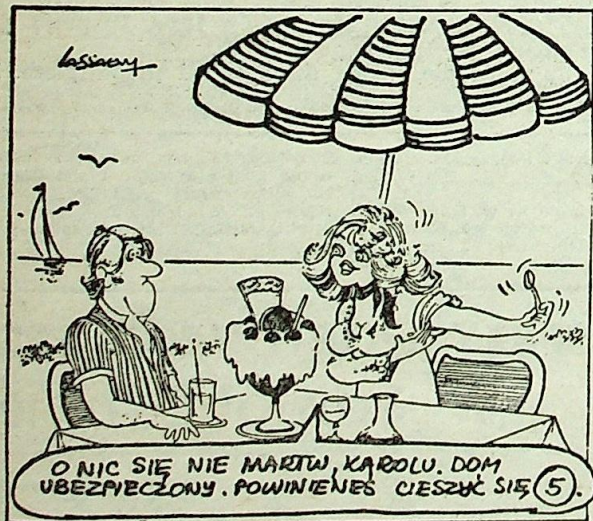
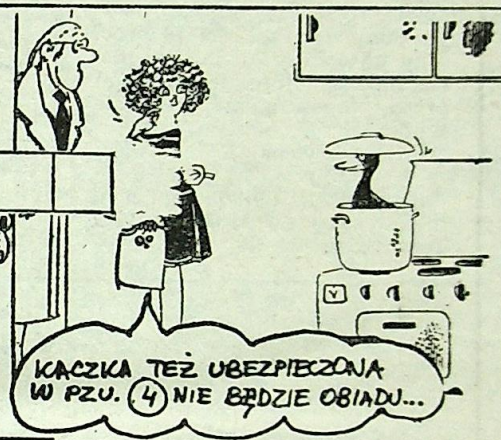
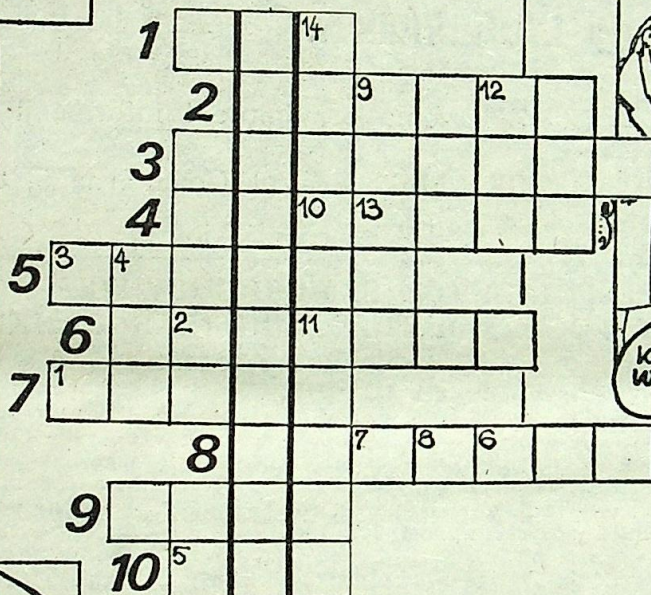
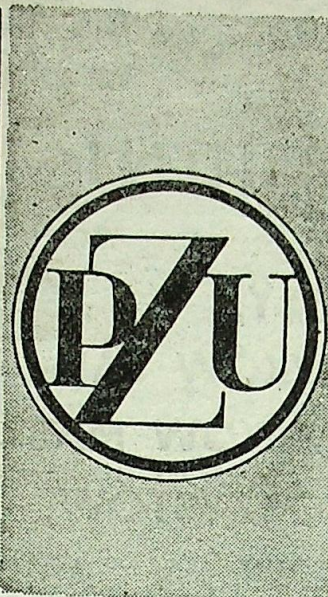
— Stella widząc w naszych rękach zeznanie Coopera, przyznała się do wszystkiego. Poza tym na broni Coopera były ślady jej palców. Zastrzeliła Coopera w nocy, zwiózła go do portu i wrzuciła do wody. Postanowiła wypowiedzieć pracę i wygodnie urządzić się gdzie indziej. Ale, Jack, czy poinformował pan centralę, że wszystkie pieniądze znaleźliśmy w mieszkaniu Stelli?

— Oczywiście, ale co z tego? I tak do stałem wymówienie. Szef twierdzi, że powinienem być wcześniej zorientować się co to za ziółko ta Stella Chandler — westchnął zmartwiony. — I takie jest właśnie podziękowanie dla mnie za wykrycie, że Malowich jest zadłużonym graczem i że też ma lepkie ręce...

— Może to pana pocieszy, Jack — Marshall poklepał Abbotsona po plecach — wiedziałem się z Malowichem. Także i on gdzie musiał zabrać z biura swój kapelusz...

EDWIN WELDON

KONKURS



Stało się już zwyczajem, że w numerze świąteczno-noworocznym „Konkretów” zamieszczamy konkurs rysunkowy, w którym nagrody funduje Oddział Wojewódzki Państwowego Zakładu Ubezpieczeń w Legnicy.

W tegorocznym konkursie na autorów prawidłowych odpowiedzi czekają nagrody w postaci bonów premiowych PKO: I — 1500 zł, II — 1000 zł, III — 750 zł, trzy po 500 zł i jedna — 250 zł.

W widocznych na rysunkach rozmówkach zastąpiliśmy niektóre wyrazy cyframi w kółeczkach. Zadaniem twoim jest odgadnięcie ukrytych wyrazów i wpisanie ich w odpowiednie rzędy poziome diagramu w środku rysunku. Pierwszą część hasła otrzymasz w oznaczonym grubą linią rzędzie pionowym. Litery z krątków oznaczonych cyframi od 1 do 14 ułożą się w drugi człon hasła.

Całe hasło należy wpisać do diagramu umieszczonego w prawym dolnym rogu rysunku. Następnie należy je wyciąć i nakleić na kartkę pocztową. Odpowiedzi prosimy nadsyłać na adres: redakcja „Konkretów”, pl. Chopina 2, 59-220 Legnica, skrytka pocztowa 145. Na kartce należy umieścić dopisek: Konkurs PZU. Czekamy do 15 stycznia 1981 roku.

KONKURS

STACJA OCENY ODMIAN
w Tomaszowie
Bolesławieckim

OGŁASZA PRZETARG

NIEOGRANICZONY

na sprzedaż

- samochodu dostawczego marki żuk A-03, nr fabryczny 36191, rok produkcji 1964, stopień zużycia 75 proc. Cena wywoławcza 53 750 zł.

Przetarg odbędzie się 8 stycznia 1981 roku w siedzibie SOO Tomaszów o godzinie 10.00.

W przypadku niedojścia do skutku I przetargu, w dniu 13 stycznia o godzinie 10 odbędzie się II przetarg.

Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić najpóźniej na jeden dzień przed przetargiem w kasie Banku Spółdzielczego w Warcie Bolesławieckiej.

Pojazd można oglądać codziennie od 7.00 do 15.00 w SOO Tomaszów.

872-k

SPÓŁDZIELNIA KÓŁEK ROLNICZYCH W MIŁKOWICACH

woj. legnickie, ul. Cmentarna 5

ZATRUDNI NATYCHMIAST:

- ŚLUSARZY,
- ELEKTRYKÓW SAMOCHODOWYCH,
- MECHANIKÓW MASZYN ROLNICZYCH,
- TRAKTORZYSTÓW,
- MECHANIKÓW SAMOCHODOWYCH,
- LAKIERNIKA.



Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela Służba Pracownicza

SKR Miłkowice, ul. Cmentarna 5, tel. 275-44.

829-k

ZESPÓŁ SZKÓŁ SAMOCHODOWYCH W LEGNICY OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż:

- samochodu osobowego m-ki SYRENA-105, nr rej. LGA-944K, nr podwozia — 302144, nr silnika — 231698, rok produkcji 1975, ogólny stopień zużycia wynosi 70 proc., cena wywoławcza — 28 200 zł;
- samochodu osobowego m-ki SYRENA-105, nr rej. LGA-945K, nr podwozia — 346478, nr silnika — brak (bez numeru), rok produkcji — 1976, ogólny stopień zużycia wynosi 70 proc., cena wywoławcza — 28 200 zł;

Przetarg odbędzie się dnia 30 grudnia 1980 r. w administracji szkoły w Legnicy, ul. Mickiewicza 10, o godz. 10.00. W przypadku nieupłynięcia pojazdów w pierwszym przetargu, w tym samym dniu odbędzie się drugi przetarg o godz. 12.00.

Wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej należy wpłacić do kasy szkoły najpóźniej jeden dzień przed przetargiem. Pojazdy można oglądać codziennie w godz. 13—15 w siedzibie szkoły przy ul. Mickiewicza 10.

Zastrzegamy sobie prawo unieważnienia przetargu bez podania przyczyn.

873-k

OGŁOSZENIA DROBNE

WYPOŻYCZALNIA Sukien Ślubnych.
Cecylia Gaca, Lubin, ul. Kopernika 6.
83297-g

SKLEP Meblowy w Kunicach k/Legnicy poleca duży wybór mebli produkcji rzemieślniczej. Wiesław Szmuc. Kunice, ul. Gwarna 8.

83303-g
CZYSZCZENIE dywanów i wykładzin w domu klienta. Zgłoszenia z Legnicy

i Lubina, telefon: 411-88, godz. 12—15. Edmund Burda.

83291-g

ZAMIENIĘ dwa pokoje w Katowicach na cztery w Chojnowie. Informacje: Chojnów, ul. Kilińskiego 3 m. 4 po godz. 16.

83304-g

SPRZEDAM 1/4 domu z zabudowaniem gospodarczym i działką 0,36 ha. Nabywca musi posiadać kwalifikacje rolnicze. Wiadomość: Helena Siemientkowska, Piątnica 46 woj. legnickie.

83305-g

Przedsiębiorstwo
Gospodarki Komunalnej
i Mieszkaniowej
w Legnicy, ul. Zielona 7

OGŁASZA PRZETARG

NIEOGRANICZONY

- na wycinkę i konserwację drzew na terenie miasta. Koszt robót około 400 000 zł.

Do przetargu zaprasza się przedsiębiorstwa państwowe, spółdzielcze i prywatne.

Oferty należy składać w Dziale Technicznym tutejszego przedsiębiorstwa. Otwarcie ofert nastąpi w 7 dniu roboczym od ukazania się niniejszego ogłoszenia.

Zastrzega się wybór oferenta lub unieważnienie przetargu bez podania przyczyn.

874-k

PLEBISCYT SPORTOWY

W numerze 50/80 „Konkretów” ogłosiliśmy plebiscyt na najlepszego sportowca i trenera zagłębia miedziowego 1980 roku. Wybór należy do Czytelników. swoje typy należy podać na kuponach. Nasz adres: „Konkrety”, pl. Chopina 2, 59-220 Legnica. Czekamy! Dla głosujących cenne nagrody!



NAJLEPSZY SPORTOWIEC I TRENER ZAGŁĘBIA MIEDZIOWEGO 1980

TRENERZY:

- 1.
- 2.
- 3.
- 4.
- 5.

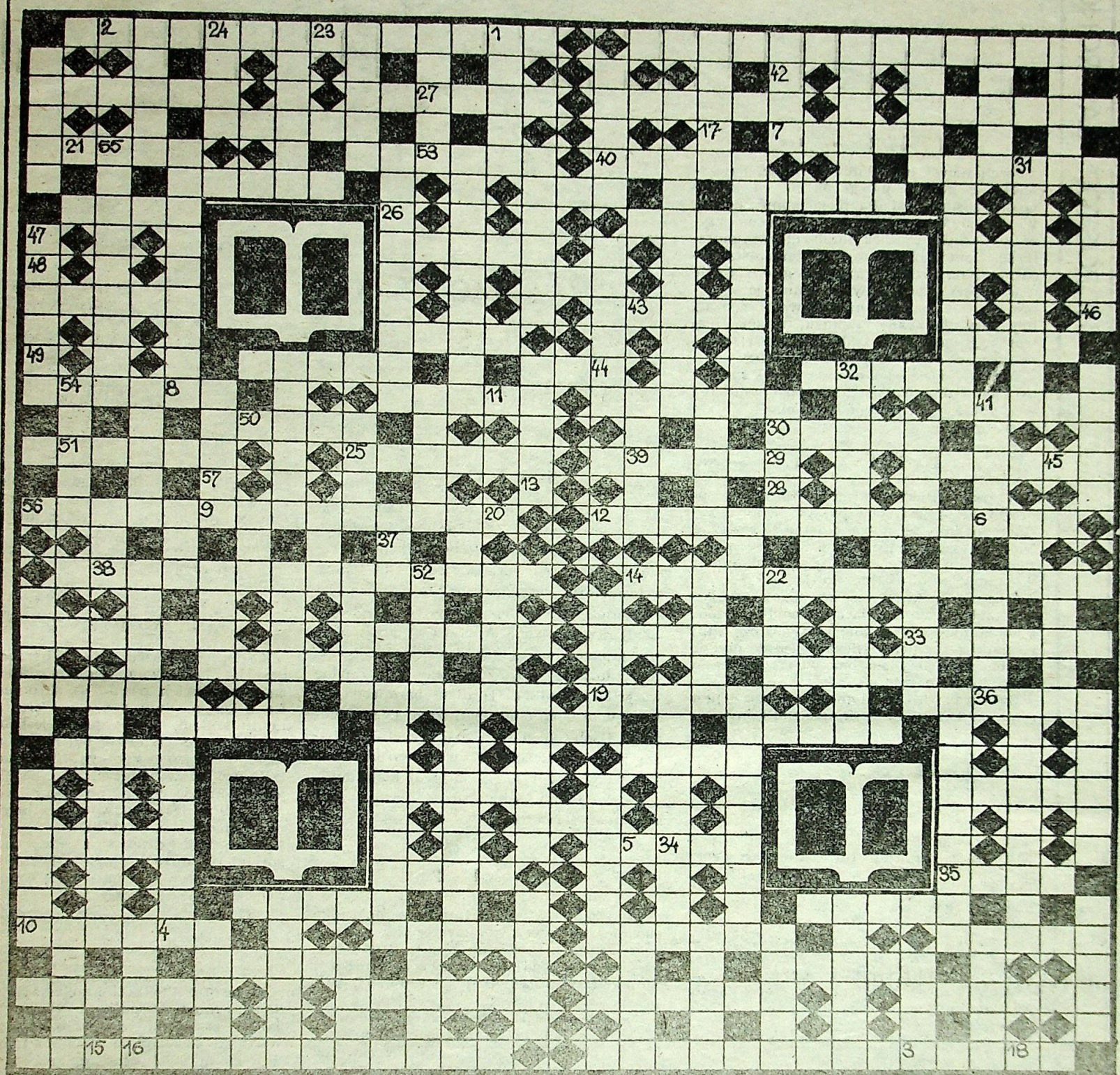
SPORTOWCY:

- 1.
- 3.
- 5.
- 7.
- 9.

- 2.
- 4.
- 6.
- 8.
- 10.

imię, nazwisko i adres głosującego:

KRZYŻÓWKA GIGANT



W numerze świąteczno-noworocznym tradycyjnie już zamieszczamy krzyżówkę gigant z cennymi nagrodami. Tegoroczną przygotowaliśmy wspólnie z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną w Legnicy. Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi rozlosujemy BONY PREMIOWE PKO w wysokości: I — 1000 zł, II — 500 zł, trzy po 250 i dziesięć atrakcyjnych książek.

A więc zaczynamy. W okienka należy wpisać podane niżej wyrazy tak, aby powstała normalna krzyżówka. Litery z krótkich oznaczonych cyframi od 1 do 57 utworzą hasło, które należy nadesłać jako rozwiązanie całego zadania. Na kartce pocztowej należy nakleić wyciętą z diagramu „książkę” i umieścić dopisek: „KRZYŻÓWKA GIGANT”. Nasz adres: Redakcja „Konkretów”, pl. Chopina 2, 59-220 Legnica, skrytka pocztowa 145. Czekamy do 15 stycznia 1981 roku.

WYRAZY DO WPISANIA:

14-lit.: GALWANOTERAPIA, INDYWIDUALISTA, INWENTARYZACJA, RADIONAWIGACJA, REKONWALESCENT, SPADOCHRONIARZ, SUCHORUCZENKOW, ZATWARDZIALOŚĆ.

9-lit.: AMBASADOR, AMBRATURA, ETYKIETKA, ENTOMO-

LOG, GARIBALDI, OPIEKUNKA, ORGANISTA, PITAGORAS, REJKIAVIK, REWELACJA, RUTYNIARZ, SANDURSKI, SZTACHETA, TABLICZKA, TRAFALGAR, ZWYCIĘZCA.

6-lit.: ALASKA, AMULET, ANANKE, APLAUZ, ARNOLD, BIERŁA, CHĘTKA, DUBLET, DYKCJA, EBNIT, EKSCE, EUROPA, FELUKA, IGANIE, KABLAK, KONIEC, KORNAC, KWADRA, LISZAJ, NARCYZ, NEAPOL, OKRUCH, OSKARD, OLIWKA, PARTER, PATERA, PORTER, POWIEW, STOPKA, SZKRAB, SWIETO, URARTU, WIGWAM, WYMIAR, WZROST, ŻELAZO.

5-lit.: ADELA, AGAWA, AGENT, AKRON, AKSUM, ALBUM, ANEKS, ANTYK, ARTUR, BAROK, BOLEC, CERTA, CHELM, CORDA, CYTAT,

DANTE, DINGI, DOTYK, DURAL, DZIÓB, EKLER, ERWIN, ETOLA, GALOP, GORCE, GWIZD, HACEŁ, IBSEN, IMAGO, IMPAS, IZARA, IZYDA, JANEK, JELEC, JURTA, KMITA, KORSO, KWACZ, KWARC, LAMPA, ŁASKA, ŁOSZA, MARTA, MELON, MIRAŻ, NAPIĘD, NISKO, NUREK, OBUCH, OPDYMZA, TYK, OSCAR, OSOBA, OSTEP, PALAC, PIRYT, RYLEC, SCHAB, SEROC, SZUBA, TREFL, UMIAR, UPIOR, WIRAZ, WIZÓW, WŁOCH, WYGON, WYLEW, YEATS, ZAPAL, ZEGAR, ZJAWA, ZŁOTO.

4-lit.: ANSA, ATUT, AŻUR, CENA, EFEZ, GARB, KRÓJ, NARD, OKAP, OPAL, SZUS, TYRS, WĘCH, ZIĄB, ZUCH, ZNIN.

3-lit.: AGA, AIN, AIS, AKR, ALE, AMI, AWO, BOY, EOL,

ICH, IGE, JAK, LEE, NCH, OPW, YOC.

ROZWIĄZANIE KONKURSU „CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA” Z NUMERU 47/80 „KONKRETÓW”.

Organizator i fundator nagród — Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna. Oto prawidłowe odpowiedzi: 1. Lenin, 2. Poczet, 3. Kołobrzeg, 4. Przekroju, 5. Sokołowski, 6. Świat, 7. Zakrzewski, 8. Warszawskie, 9. Stanisław, 10. Kocha. Nagrody — bony premiowe PKO wylosowali: I — 1000 zł — Violetta Sobczyk, 59-222 Miłkowice; II — 750 zł — Jacek Bobrowski, ul. Rewolucji Październikowej 53/8, 59-220 Legnica; III — 500 zł — Ewa Jany, ul. Masarska 5/11, 59-220 Legnica. Gratulujemy! Nagrody do odebrania w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej w Legnicy przy ul. Piastowskiej 22.

Już nasze prababki mawiały, że do serca ukochanej osoby, a zwłaszcza mężczyzny, najlepiej trafić przez żołądek. Aby więc drogi poszukiwań nie były zbyt zagmatwane, proponujemy dzisiaj horoskop gastronomiczny, z którego jasno wynika jak należy trafić do żołądka, aby serce było czule...

GWIAZDY MÓWIĄ

BARAN 21 III—20 IV

Jeżeli nawet lubi dobre jedzenie, najczęściej nie zwraca uwagi na to, co je. Po prostu posiłek jest dla niego koniecznością. Warto jednak pamiętać, że lubi mocne przyprawy: cebulę, czosnek, imbir, pieprz i musztardę. Ponieważ Barany bardzo często podatne są na różnego rodzaju migreny i bóle nerwalgiczne, więc aby utrzymać je w dobrej formie należy im podawać: szparagi lub pory gotowane, szpinak, zieloną pietruszkę, a przede wszystkim zieloną sałatę, znaną z właściwości uspokajających.

Jeśli uważasz, że Baran jest zbyt spokojny i brak mu temperamentu, przygotuj mu węgierskie leczo (przepada za nim!) lub ryż z curry.

BYK 21 IV—21 V

Wszystkie Byki są strasznie żarłoczne i po prostu lubią jeść, pod jednym jednak warunkiem: że przygotowane dania są smaczne. Nie na wszystko jednak można Bykom pozwolić, gdyż ich wrażliwe gardła, skłonność do anginy, zamykanie do jedzenia powodujące niezdrową otyłość wymagają specjalnej diety, uzupełniającej niedobory jodu i witaminy E. Wskazane są zwłaszcza zupy i sałatki z rzeżuchy. Niezbyt jeszcze otyłym Bykom polecamy suszone owoce bogate w witaminy, np. morele.

Bykom bardzo ospałym uczuciowo, dobrze robią bakłażany, lubczyk, dzięgiel leśny.

BLIŹNIĘTA 22 V—21 VI

Urodzeni pod tym znakiem niewiele uwagi poświęcają sprawom gastronomii. U Bliźniąt sprawami żołądka rządzi umysł. A jednak, wbrew pozorom, Bliźnięta wrażliwe są na potrawy wyrafinowane. Nikt z Bliźniąt nie oprze się na przykład smażonemu bananowi czy gołąbkowi w ostrym, węgierskim sosie.

Czym karmić Bliźnięta? Nerwowym — polecamy sałatkę z rzeżuchy zmieszanej z zieloną sałatą i przyprawioną czosnkiem.

Wszystkim — seler, czarna rzepa bogata w witaminy wszelkiego rodzaju i w sole mineralne.

RAK 22 VI—22 VII

Zazwyczaj Raki tak doskonale gotują same, że niczego im proponować nie trzeba. Osoby spod tego znaku lubią kuchnię prostą i lekkostrawną, unikają zbyt ostrych i ciężkich sosów. Raki przepadają zwłaszcza za fasolką po bretońsku, kiszoną kapustą i tradycyjną sztuką mięsa. Nie od rzeczy będzie podsunąć im duszoną cykorię i ryby rzeczne z rusztu.

Uczuciowo lodowatym Rakom zalecamy nasioną dzikiej szalwi. Pije się ją rozartą w drobny pył z herbatą lub winem. Serca Raków „ocieplić” także może napar z nasion selera.

LEW 23 VII—23 VIII

Lew przy stole jest bardzo uciążliwy. Zawsze wybiera to, co najlepsze i jest pod tym względem szalenie egoistyczny. Przepada za pasztetem z zająca, faszerowanymi jajkami, naleśnikami z mięsem w sosie pomidorowym, karpem w galarecie. Ponieważ sam i tak wydobywa maksimum pożytku z podsuwanych mu dań, nie ma sensu by go jeszcze dodatkowo rozpieszczęć. Raczej zmusić go należy, by jadł np. różne rodzaje serów i więcej owoców.

Na ogół Lwy są już z natury tak uczuciowe, że żadnych lubczyków nie potrzebują. Jeżeli masz inne zdanie na temat swojego Lwa podsuwaj mu winogrona pod wszelkimi postaciami bezalkoholowymi.



PANNA 24 VIII—23 IX

Panny zwykły nieco histeryzować i rozczulać się swoim stanem zdrowia. Ta skłonność do hipochondrii sprawia, iż praktycznie ciągle są na jakiejś diecie. Dla Panny najważniejszą w związku z tym sprawą jest świeżość i jakość produktów, z których potrawy przygotowano. Apetyt Panny zaspokajają jajka w koszulkach, faszerowane pomidory, duszone ryby, żółty ser. Panny nade wszystko przedkładają dietę bezmięsną, co na pewno jest obecnie dużym udogodnieniem. Osoby spod tego znaku chętnie zobaczą więc przed sobą leniwe pierożki, biały ser, bakłażany i sok z surowej marchwi.

Każdej Pannie od czasu do czasu przyda się napar z imbiru.

WAGA 24 IX—23 X

Wagi są wyrafinowanymi estetami. Lubią elegancko nakryty stół i wyszukane potrawy — od przystawek do deseru. Z dań tzw. drugich przepadają zwłaszcza za kaczką z jabłkami i szaszłykiem baraniną obficie przyprawioną ziołami.

Ponieważ Wagi skłonne są do zaburzeń nerkowych, winny zamiast potraw ciężkich i tłustych jadać więcej owoców, sałatek i chudego mięsa. Jak najmniej słodczy, gdyż do cukrzycy Wagi mają niestety wyjątkową skłonność.

Polecamy Wagom napary z rumianku a oziębłym uczuciowo — kompoty z brzoskwiń.

SKORPION 24 X—22 XI

Urodzeni pod tym znakiem są wrażliwi i przede wszystkim wymagają potraw gorących. Bardzo lubią dania ostro przyprawione, na przykład flaczki, zupę cebulową, marynowaną paprykę.

Skorpiony obdarzone są na ogół choletrycznym temperamentem, co częściowo przyczynia się do powstania przeróżnych zaburzeń trawiennych. Skorpionowi będą doskonale służyły wszelkie produkty zbożowe, jarzyny, a szczególnie rzepa oraz kompot lub konfitury z rabarbaru.

Skorpiony są tak uczuciowe, że praktycznie nie ma powodu, by do ich serc trzeba było trafić aż przez żołądek.

STRZELEC 23 XI—21 XII

Każdy Strzelec lubi obfitą kuchnię. Sosy, wędliny, ciasta jedzone prawdę mówiąc w sposób nieumiarkowany, powodują u wielu poważną nadwagę. Strzelec przepada szczególnie za risottem, smażoną tłustą rybą, melbą.

Ponieważ na ogół Strzelec ma w charakterze skłonność do uprawiania sportów i za-

jęć fizycznych, potrzebne jest mu pożywie nie bogate w kalorie, a jednocześnie niezbyt tłuczące. Odżywia go więc znakomicie zielona sałata i ryby. Radzimy unikać ziemniaków i tłustego mięsa.

Chłodnego uczuciowo Strzelca karmić należy szparagami.

KOZIOROŻEC 22 XII—20 I

Koziorożce czasem, ale to bardzo rzadko ulegają przypiwowi szalonego apetytu. Na ogół jednak ich posiłki są skromne. Potrzebują dzień po dniu zadowolić się takim samym daniem, nawet jeżeli jest ono mało i niesmaczne. Oczarują ich zatem spaghetti, tortellini, surówka z cykorii z majonezem.

Ze względów dietetycznych, bo Koziorożce ma skłonność do chorób skóry i reumatyzmu, dobrze jest podawać kalafiory na zimno i napary z majeranku.

Koziorożce, niezbyt niestety uczuciowo, potrzebują dużo szpinaku (lekko spierzony z oliwą i czosnkiem na zimno) i rzodkiewek. Zalecamy też ryby morskie.

WODNIK 21 I—18 II

Wszystkie Wodniki przepadają za podjadaniem między posiłkami. Niezbyt odpowiadając im zasiadanie do stołu. Aby zachęcić Wodnika do siadania do stołu trzeba podawać menu atrakcyjne, np. czerwoną kapustę z jabłkami, pory zapiekane z beszamelem, krem orzechowy z bitą śmietaną.

Ponieważ Wodnikom należy poprawiać krążenie krwi, przyda się na wiosnę zupa z młodych pokrzyw z dodatkiem bazylii i młodej zielonej cebulki.

Wodniki bujają w obłokach. Aby pozyskać ich serce dobrze jest nakarmić Wodnika kremem z zielonego groszku oraz duszoną ostrą papryką.

RYBY 19 II—20 III

Urodzeni pod tym znakiem są kapryśni i lubią rozkosze stołu. Imponują im potrawy ekscentryczne i ładnie podane. Na pewno zrobi na nich wrażenie choćby sałatka włoska czy nicejska, hiszpańska zupa, wszystkie rodzaje serów.

Rybam koniecznie trzeba podawać jak najwięcej surówek i sałatek, napar z majeranku, od czasu do czasu napar z korzenia waleriany. Jeżeli Ryba jest zbyt nerwowa, należy częściej karmić ją potrawami z... ryb.

Ryby, wbrew powszechnie krążącemu porównaniu: „zimny jak ryba”, są wrażliwymi uczuciowo. Praktycznie zawsze sercem odpłacają za serce. Mimo to nie zawadzi od czasu do czasu do sałatki dodać nieco bazylii, a także małej ostrej papryczki, zwanej pieprzem tureckim.

PIĄTEK, 19 XII 1980 R.

PROGRAM I
16.15 — Dziennik.
16.30 — Piątek z Pankracym
16.55 — Dzień dobry w kręgu rodziny.
17.20 — Głoda — program reklamowy.
17.35 — Klub dobrej książki.
18.00 — „Tajemnica Enigmy” — odc. VI serialu prod. TP (kolor).
18.40 — Rolnicze rozmowy.
18.50 — Dobranoc.
19.05 — Telewizja Młodych.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — Mała antologia satyry: „X = Z W”.
21.25 — Listy o gospodarce.
22.05 — Dziennik.
22.20 — Kino interesujących filmów: „Skandal” — film prod. japońskiej.
PROGRAM II
10.00—13.10 — Dwójka dla drugiej zmiany — Premiera dnia.
10.00 — „Tajemnica Enigmy” — odc. VI serialu prod. TP.
10.45 — Szanujmy wspomnienia — program rozrywkowy.
11.40 — „Siedemnaście mgnień wiosny” — odc. serialu prod. ZSRR (kolor).
12.45 — Klub dobrej książki.
15.35 — Język francuski.
16.05 — Język rosyjski.
16.40 — Taaka ryba.
17.10 — Kino TDC: „Skąd my to znamy?”
17.40 — Klub Jazzowy Studia Gama.
18.20 — Małe kino — filmy animowane.
18.30 — Spotkania literackie.
19.00 — Piosenki tygodnia.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.15 — „Konstancja” wychodzi w morze” — odc. ostatni serialu prod. TV franc. (kolor).
21.10 — 24 godziny.
21.25 — Gwiazdobiór: Catherine Deneuve.
22.20 — Panorama jazzu polskiego.
23.00 — Język francuski.

SOBOTA, 20 XII 1980 R.

PROGRAM I
9.50 — Koncert symf. WOSPRITV
10.45 — Klub sześciu kontynentów.
11.50 — Dziennik.
12.10 — STUDIO 2.
18.50 — Dobranoc.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — „Michał Strogow” — odc. VI serialu prod. TV franc. (kolor).
Kino nocne: „Zabijcie mnie, jeśli zdołacie” — film sens. prod. USA.
PROGRAM II
14.45 — „Na zdrowie” — program rozrywkowy.
15.30 — „Wyprawa w Himalaje” — film dokumentalny prod. TV CSRS (kolor).
16.50 — Szanujmy wspomnienia: „Teatrzyk trzech” — program rozrywkowy.
17.50 — „Siedemnaście mgnień wiosny” — odc. VIII serialu prod. TV ZSRR.
19.00 — Piosenki tygodnia.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — Spotkanie z gwiazdą.
21.15 — „Z pierwszej ręki” — film dokumentalny.
22.10 — Krąg — program Studia 2.
23.15 — Poeści recytują wiersze.

NIEDZIELA, 21 XII 1980 R.

PROGRAM I
8.55 — Program dnia.
9.00 — Teleranek TDC: „Niedźwiedź pana Adama” — odc. serialu prod. USA (kolor).
10.20 — Antena.
10.45 — Republiki radzieckie.
11.35 — Dziennik.
11.55 — „Gdy się powiedziało A...”
12.25 — Koncert dla rolników.
13.15 — „Zimowa przygoda” — widowisko dla dzieci Teatru Lalek „Rab-cio” w Rabce (kolor).
14.00 — Z kamerą wśród zwierząt.
14.25 — Telewizyjny koncert życzeń.
15.10 — Losowanie Dużego Lotka.
15.25 — Spotkanie z pisarzem: Tadeusz Holuj.
15.50 — Puchar „Izwestii” w hokeju na lodzie.
17.55 — Tele-Echo.
19.00 — Wieczorynka.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — FilMOTEKA arcydzieł: „Antonio das Mortes” — film prod. ang.
21.50 — Sportowa niedziela.
22.20 — Teatr małych form: „Poezje”.
PROGRAM II
9.00 — Tylko dla kibiców.
10.20 — Krótkofalowy — program wojskowy.
10.50 — „Tajemnica Enigmy” — odc. serialu prod. TP.
11.30 — Przeboje tygodnia.
12.20 — „Wśród drzew” — odc. 12 serialu przyrodniczego „Życie na ziemi” (kolor).
13.25 — Teatr telewizji: „Strach na wróble”.
14.45 — Popołudnie fauny i flory.
15.30 — Program rozrywkowy.
15.45 — „Idylla rodzinna” — komedia prod. ZSRR (kolor).
17.10 — Tuzin — teleturniej.
18.00 — Stereo i w kolorze.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — Sportowa niedziela.
21.45 — Kino bez granic: „Człowiek z toporem” — film prod. indyjskiej (kolor).

PONIEDZIAŁEK, 22 XII 1980 R.

PROGRAM I
9.00 — Teleranek — „Spokojny dom” — odc. I filmu CSRS (kolor).
16.15 — Dziennik.
16.30 — Zwierzyńlec.
16.55 — Klinika zdrowego człowieka.
17.15 — „Arsene Lupin” — odc. pt. „Tajemnica siedziba” — film TV franc.

18.10 — Magazyn związkowy.
18.50 — Dobranoc.
19.00 — Echa stadionów.
20.10 — Teatr telewizji — „Strach na wróble”.
21.35 — Horyzont.
22.05 — Dziennik.
22.20 — „Leonard Cohen” — Pieśni miłości i nienawiści.

PROGRAM II
10.00—13.10 — Dwójka dla drugiej zmiany — Premiera dnia.
10.00 — „Opowieści niezwykle” — „Pavoncello” — film TP (kolor).
10.30 — Klinika zdrowego człowieka.
11.40 — Horyzont.
12.10 — „Programy Studia Bis”.
16.00 — Studio Bis.
19.10 — Program lokalny.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — Studio Bis c.d.

WTOREK, 23 XII 1980 R.

PROGRAM I
16.15 — Dziennik.
16.30 — Telewizyjny Klub Seniora.
16.55 — Dom i my.
17.15 — Skojarzenia — teleturniej.
17.35 — Królik Bugs przedstawia — film animowany (kolor).
18.00 — Telewizja młodych przedstawia.
18.40 — Polska Kronika Filmowa.
18.50 — Dobranoc.
19.00 — „Skarbiec” — magazyn historyczny.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — „Syberia” — odc. V — film TV ZSRR (kolor).
21.20 — Czy możemy się wyżywić?
22.00 — Dziennik.
22.15 — Zapraszamy do nas „Szpilki”.
22.45 — Pieśni romantyczne.
PROGRAM II
10.00—13.10 — Dwójka dla drugiej zmiany — Premiera dnia.
10.00 — „Syberia” — odc. VI (ostatni).
11.10 — Skarbiec — magazyn historyczny.
11.40 — Dom i my.
12.00 — Skojarzenia.
12.20 — Rozmówki polsko-polskie.
16.35 — Kino Telewizji Najmłodszych — filmy animowane o tematyce świątecznej.
17.05 — Młodzieżowy Magazyn Techniki — „LIDAR”.
17.35 — Tak czy inaczej.
18.05 — Mój koncert — Witold Gruca.
19.00 — Piosenki tygodnia.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — Wtorek melomana — Recital Ivo Pogorelica.
21.10 — Bez recept — program dla rodziców.
21.40 — 24 godziny.
21.50 — FilMOTEKA Narodowa — Filmy Andrzejewa Wajdy — „Niewinni czarodzieje”.

ŚRODA, 24 XII 1980 R.

PROGRAM I
9.00 — Dla dzieci: „Spokojny dom”.
14.25 — Dla dzieci: „Szklany pantofelek” — film na motywach baśni o Kopciuszku.
16.00 — Losowanie totolotka.
16.30 — Dzień dobry w kręgu rodziny.
17.00 — Pastoralki.
17.30 — Piorkiem i węglem.
18.00 — „Papież u gór” — film dokumentalny Witolda Zadrowskiego.
18.20 — Dla dzieci: „Michałki” — wyd. świąteczne (kolor).
19.20 — Szopka polska.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — Na Boże Narodzenie — poezja polska od średniowiecza do współczesności.
20.35 — „Królowa Bona” — pilotowy odcinek serialu TP (kolor).
21.45 — Koledy i pastoralki (kolor).
22.10 — „Błękitna rapsodia” — film
PROGRAM II
16.10 — Wieczór na Rozewiu
16.40 — Polski film telewizyjny — „Niespotykane spokojny człowiek”.
17.35 — Stopklatka — magazyn filmowy TV.
18.00 — „Wigilijne scherzo” — blok muzyki poważnej (kolor).
19.10 — Program lokalny.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — „Wigilijne scherzo” — cz. II
21.45 — „Opowieści mojej żony.”

CZWARTEK, 25 XII 1980 R.

PROGRAM I
9.00 — Dla dzieci: „Piotruś pan” — (1) filmowa wersja baśni (kolor).
10.00 — Klub sześciu kontynentów — Rowerem przez 12 krajów.
10.55 — Muppet Show w Hollywoodzie
12.00 — Światowa piłka — o piłce nożnej.
12.45 — Telewizyjny koncert życzeń
13.50 — Architektura i sztuka sakralna w Polsce.
14.00 — Dla dzieci: „O Zwyrtale muzykancie” — widowisko lalkowe (kolor).
15.00 — „Dzisiejsze czasy” — film Chaplina.
16.25 — Tele-Echo.
17.30 — „Domek na wsi” — współczesna komedia filmowa — francuska
19.00 — Wieczorynka (kolor).
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.15 — „My Fair Lady” — komedia
22.55 — Teatr sensacji: Leonardo Sciascia — „Każdemu co komu się należy”
PROGRAM II
12.15 — Program dnia.
12.20 — Klub dobrej książki.
12.45 — „Szczęśliwego Nowego Roku” — komedia filmowa (cz. I) kolor.
14.30 — Magazyn motoryzacyjny.
15.00 — „Sprzedana narzeczona” — opera B. Smetany

16.30 — Blok programów rozrywkowych z Poznania (kolor).
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — Mistrzowie tańca na lodzie.
21.10 — Dawne dobre czasy — program rozrywkowy (kolor).
22.00 — Blok rozrywkowy z Poznania.

PIĄTEK, 26 XII 1980 R.

PROGRAM I
9.00 — Dla dzieci: „Piotruś pan”.
10.00 — Gawęda w krainie czarów — program muzyczny (kolor).
11.15 — Z kamerą wśród zwierząt — zwierzęta a mitologia różnych ludów.
11.45 — Gwiazda estrady — film fabularny z udziałem Alfy Pugaczowej
13.10 — Sportowe pożegnania.
13.40 Camerata — Laureat.
14.15 — Dla dzieci: „Gdzie jest Wale-ry?” — widowisko aktorsko-lalkowe
15.00 — „Gdańsk Redivivus” — film dokumentalny W. Zadrowskiego (kolor).
15.20 — Teatr telewizji — „Romans z wodewilu” (kolor).
17.15 — Zapalę gwiazdę — program rozrywkowy (kolor).
17.45 — Polski film telewizyjny — „Bo oszaleć dla niej”.
19.00 — Wieczorynka.
20.10 — Film fabularny.
22.45 — Lista obecności satyryków — Jan Pietrzak.

PROGRAM II
12.45 — Program dnia.
12.50 — „Wyprawa w Himalaje” — film
13.10 — „Szczęśliwego Nowego Roku” — cz. II film fabularnego.
14.35 — Camerata.
15.20 — „Sprzedana narzeczona”.
16.20 — Kino miniatur.
17.05 — Ekran reporterów — Angola.
18.05 — Pegaz.
19.00 — „O młyńskim kamieniu” — film dokumentalny (kolor).
20.10 — Kosmos — 80 — o gwiazdach.
22.45 — Gwiazdobiór — Sophia Loren.

SOBOTA, 27 XII 1980 R.

PROGRAM I
9.00 — Dla dzieci: „Przygody złotego walizeczki” — radziecki film fab.
10.00 — Dla dzieci: Sezam.
10.35 — Wojskowy program historyczny — „Grupa Pomorza”.
11.00 — Dawni mistrzowie — program sportowy.
12.00 — Dziennik.
12.20 — Koncert życzeń (kolor).
13.05 — Studio 2.
19.00 — Dobranoc.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — „Michał Strogow” — odc. VII (ostatni) — film TV francuskiej (kolor).
21.10 — Studio 2 — c.d.

PROGRAM II
SPOTKANIE W DWÓJCE
12.35 — Uśmiech spod parasola — pr. rozr.
13.05 — Sport w krótkim metrażu.
13.40 — Gość programu.
13.45 — J.C. Killy w Avoriaz — pr. rozr.
14.55 — Sport w krótkim metrażu.
15.35 — „Różowa pantera” — anim. film rozr.
16.05 — Sport w krótkim metrażu.
16.40 — Gość programu.
16.50 — „To wszystko jest Gaertner” — film sens. ZSRR.
17.30 — „Siedemnaście mgnień wiosny” — film sens. ZSRR.
18.50 — Piosenki tygodnia.
19.10 — Program lokalny.
19.30 — Dziennik.
20.15 — Szanujmy wspomnienia
21.20 — „Symfonia pastorałna” — film
23.10 — Poeści recytują wiersze — Julian Kornhauser.

NIEDZIELA, 28 XII 1980 R.

PROGRAM I
8.55 — Program dnia.
9.00 — Teleranek — „Niedźwiedź pana Adama” (kolor).
10.20 — Antena.
10.50 — Reportaż filmowy.
11.10 — Spójrzcie na operę — program zrealizowany z okazji 60-lecia Opery Poznańskiej.
12.00 — Dziennik.
12.20 — Kraj za miastem — program redakcji rolnej.
12.50 — Przygody Sindbada — „Przygoda z duchem wody” — film animowany.
13.15 — TYLKO W NIEDZIELE.
19.00 — Wieczorynka.
19.30 — Dziennik telewizyjny.
20.10 — „W poszukiwaniu deszczowego drzewa” — melodramat amerykański.

PROGRAM II
9.05 — Tylko dla kibiców sportowych.
10.00 — Program wojskowy — Artyści w mundurach.
Spotkania w Dwójce.
10.45 — Przeboje tygodnia.
11.45 — „Życie na ziemi” — odc. 13 ostatni.
12.45 — Sąd nad komiksem.
13.20 — „Idylla rodzinna” — cz. II filmu TV radz.
14.30 — „55, czyli o potrzebie ruchu” — pr. rozrywkowy.
15.00 — „Myszka Miki”.
15.30 — Program dla dzieci.
15.55 — „Urodziłem się dla żużla” — film dok.
16.15 — Sportowe sensacje i niespodzianki 80.
16.40 — Program rozrywkowy.
17.40 — Juliusz Słowacki — „Kordian”, reż. Gustaw Holoubek.
19.30 — Dziennik.
20.15 — „Naprawdę Raquel” — program rozrywkowy.
21.10 — Ballady Bulata Okudźawy.
21.45 — „Album poezji polskiej”.
22.30 — „Twórca i jego dzieło” — „Anamorfoza”.



TYGODNIK POLSKIEJ ZIEMOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ. ADRES REDAKCJI: 59-220 Legnica, plac Chopina 2, skrytka pocztowa 145. REDAGUJE ZESPÓŁ: Ryszard Adamów, Grzegorz Chmielewski, Krzysztof Debek, Jerzy Jagodziński, Zbigniew Krupa, Zygmunt Łuszcz, Czesław Pancerz (z-ca sekr. red.), Elżbieta Pomorska (red. techn.), Krzysztof Raczowski (fotoreporter), Maria Samborska (p.o. red. nacz.), Waldemar Sikorski (fotoreporter), Jadwiga Wardach.

TELEFONY: p.o. red. nacz. — 241-46, 241-49, z-ca sekr. red. — 299-25, publicyści — 216-41 i 216-42, fotoreporterzy — 216-43, biuro ogłoszeń i administracja — 292-42. Reklamy nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzeżenie: nie należy przekazywać nadesłanych tekstów.

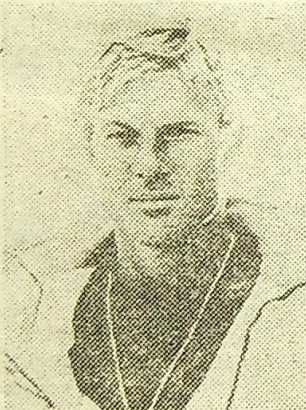
WYDAWCA: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch”, Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy, 50-010 Wrocław, Podwale 64. DRUK: Zakłady Poligraficzne RSW, 50-950 Wrocław, Piotra Skargi 3/5. OGŁOSZENIA przyjmuje Biuro Reklam i Ogłoszeń RSW, 50-010 Wrocław, Podwale 62, tel. 357-55 i 44-49-71; wszystkie biura ogłoszeń RSW w kraju oraz redakcja w go-dzinach 8.30—16.00. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

INFORMACJI o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 208 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, 00-935 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto PKO nr 1153-201045-139-11; prenumerata jest droższa od krajowej o 50 proc. dla zlecających indywidualnych i o 100 proc. dla instytucji i zakładów pracy.

PL ISSN 0137-4630
Indeks 36272 B-18



Z cyklu: „Upominki spod choinki”: Szelki



IDOL

Robert Redford od kilku lat jest idolem numer jeden dla milionów ko-

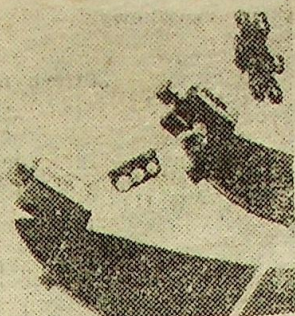
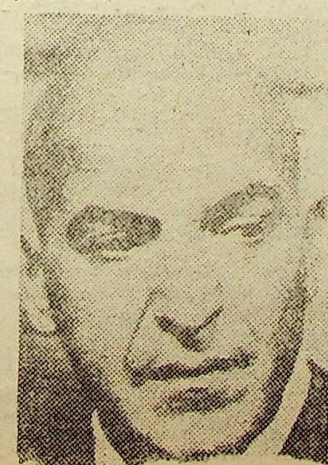
biet na świecie. Dzieje się tak dlatego, że ten wykonawca reprezentuje sobą typ aktora inteligentnego, potrafiącego wygrywać każdą rolę myślowo. Jego ostatni film nosi tytuł „Brubaker”. Redford gra w nim dozorcę więziennego, który chce poznać od środka życie więźniów i dlatego daje się zamknąć na kilka tygodni za sfingowanie przestępstwa. Film reżyseruje Stuart Rosenberg — przyjaciel Redforda. Praca idzie ciężko, albowiem każde ujęcie jest przez nich o- bu bardzo długo i do- kładnie obmyślane.

KOJAK TRACI POPULARNOŚĆ

Telly Savalas — na e- kranie zawsze silny fizy- cznie i moralnie charak- ter zwany Kojakiem, dał powód do rozwłóczenia plotek o sobie, podważa- jących jego osobiste mo- rale. Savalas stale oto- czony jest rojem panie- nek i nigdy nie ma oka- zji, aby się dłużej zasta- nowić i ewentualnie oże- nić. Ostatnio jednak dłu- żej podtrzymywał współ- życie z sympatyczną, młodą matką jego 6-let- niego syna Sally Adams, którą wszyscy uważali za trzecią żonę Savala- sa. Jego niedoszła teściowa twierdziła nawet, że — będący członkiem grec- kiego kościoła ortodok- syjnego — Savalas jeź- dził z Sally do Grecji i tam wzięli ślub.

Jesienią tego roku na Kojaka zagięła parol Ju- lie Houland. Panna A- dams z 6-letnim małym Savalasem czuje się te- raz jak rozwódka. Przy

okazji okazało się, że A- merykanie są bardzo czu- li na tego typu krzywdy, bowiem instytucje bada- nia opinii publicznej stwierdzają malejącą (od października 1980) po- pularność serialu o niezłomnym poruczni- ku amerykańskiej policji. I nikt nie powie, że ży- cie prywatne gwiazd nie odbija się na ich popu- larności.



NA NARTY

Zbliża się sezon nar- ciarski. Przygotowują się do niego nie tylko narciarze ale i produ- cenci sprzętu. Pojawilo się wiele nowych roz- wiązań, a także dro- biazgów ułatwiających narciarzowi życie. Zali- czyć do nich można nowego typu gogle dla okularników, urządzenie przydatne podczas pier- wszej lekcji a zapobie- gające krzyżowaniu się nart, ogrzewane bateria- mi uchwyty kijków czy wreszcie elektroniczne, „myślące” wiązania bez- piecznikowe firmy Mar- ker. Oprócz tego oczy- wiście cała gama no- wych strojów, butów i dodatków także na „po- nartach”.

BUTELKOWE WIEŚCI

● Młody małżonek z Chorzowa wrócił do do- mu późną nocą z pry- watki u kolegi. Impre- za była zakrapiana, więc pan Wojciech postano- wił udobruchać żonę. W tym celu przytasczył do domu wielce oryginalny prezent — potęż- ny betonowy słup z ta- blicą i nazwą ulicy, za- miast — jak wyjaśnił — upragnionego przez nią domku! W odpowie- dzi żona zrzuciła go wraz z 50-kilogramo- wym podarkiem ze schodów.

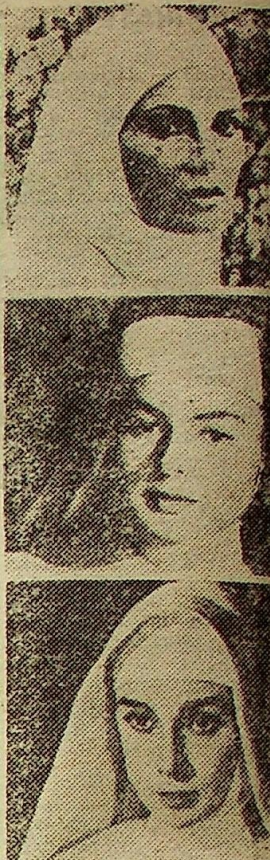
MIKOŁAJEM BYĆ

W amerykańskim mie- ście Concord, stolicy sta- nu New Hampshire, od- bywała się podczas ubie- głego karnawatu zabawa choinkowa zorganizowa- na przez opiekę społecz- ną dla sierot i pólserot oraz dzieci z ubogich ro- dzin. W sali balowej ho- telu „Piazza”, bo tam miały miejsce te atrak- cje, pojawiło się nagle trzech Świętych Mikoł- ajów z pękatymi worka- mi. Ktoś z dorosłych gło- śno domyślił się: — „To chyba prezent od rady miejskiej”. Gdy dzieci to usłyszały, ruszyły hur- mem na owych Mikoł- ajów i po chwili zawar- tość worków była mniej więcej sprawiedliwie roz- dzielona między obecnych na sali. Jednak po kil- ku minutach pojawiła się policja i wszystko ode- brała. Czyżby Mikołaje poskarżyli się? Nic podo- bnego! Po prostu w wor- kach było 750 tys. dola- rów zrabowanych godzi- nę wcześniej w jednym z banków w Concord, a bandyci przebrani w kar- nawałowe stroje ucieka- jąc przed policją, całkiem niechcąc znaleźli się na balu.

Z tej historyjki wyni- ka przestroga przed zbli- żającym się karnawalem: nawet jeśli będziesz miał kieszonkę lub worek pe- len pieniędzy — nie po- jawiaj się na balu bez zaproszenia.

KENNEDY JUNIOR

Dotychczas chyba nikt jeszcze nie słyszał nic złego o Johnie Ken- nedym. Syn Jackie O- nassis, który ma obec- nie już 19 lat, jest mi- lym, kulturalnym i do- brze wychowanym chłopcem. Ostatnio po- święcił się zupełnie stu- diom nad wiedzą o tea- trze. Potrafi go od te- go odciągnąć tylko do- bra muzyka i jego dzie- wczyna. Ostatnio poja- wił się w Parku Cen- tralnym w Nowym Jor- ku na koncercie Eltona Johna ze swoją dziew- czyną, której nazwiska nie chciał podać, a z którą często się ostat- nio pokazywał.



SEKS W HABIT

W Hollywood prze- wadzono plebiscyt najlepszą odtwórc- ą roli zakonniczki ws- kich czasów. Wzię- nim udział 30 akt- riczek. Zakonnica nr 1 za seksbomba Raquel W- drugie miejsce zajęła grid Bergman, a tr- Audrey Hepburn.



ODKRYCIE HOSSEINA

Znany u nas aktor francuski Robert Hos- sein (m.in. serial o mar- kizie Angelice) odkrył tę oto piękność w jed- nym z prowincjonalnych teatrów francuskich. Odkrycie nazywa się Carole Chauvet i swój czas (od kilku miesię- cy) dzieli między pracę w teatrze a występy

na filmowym planie. Najnowszy film na- wany jest w dżu- Carole marzy o aby u jej boku z prawdziwy lew. Znają się na ko- urodzie i pewni- planie filmu ich n- braknie. Swoją — można Hosse- pozazdrościć gustu